

nieregularny

# PULS

kwartalnik literacki

39

**Dawid WARSZAWSKI / O prymacie polityki nad  
ekonomią**

**Andrzej MIETKOWSKI / Rozmowa  
z Andrzejem Gwiazdą**

**PORTRETY: Andrzej GWIAZDA,  
Kornel MORAWIECKI, Czesław BIELECKI  
Andrzej DRAWICZ / I coś tam, panie, w  
*pierestrojce?***

**Ernest BRYLL / Wiersze**

**Tennessee WILLIAMS / Coś z Tolstoja**

**Włodzimierz BOLECKI / „Maisons-Laffitte,  
13 grudnia”**

o r a z   d z i a ł y

Pojedyunki – Przegląd kulturalny i niekulturalny  
– Kwartal – Recenzje – Drugi brzeg –  
Archiwum emigracyjne – Muzeum ruchu rewolucyjnego – Sow show – Poczta

## „JAK NALEŻY POSTĘPOWAĆ Z ROSJĄ?”

„Jak należy postępować z Rosją?” – zastanawiał się Juliusz Mieroszewski. Po dwudziestu z górą latach pytanie wciąż jest aktualne. Zachód z rosnącym zakłopotaniem przyznaje, że trudności z określeniem fundamentalnych zasad *Ostpolitik* rosną w sto pniu proporcjonalnym do kolejnych „zaskakujących” posunięć Moskwy. Amerykański prezydent stwierdza, że określenie „imperium zła” nie jest już adekwatne, kanclerz RFN wycofuje się z niefortunnego – jak dziś mówi – porównania sowieckiego *genseka* z doktorem Goebbelsem.

Nigdy zachodni mężowie stanu nie konkurowali tak zażarcie o względy Kremla, jak za rządów oświeconego Michaiła. Nic dziwnego. Łaskawej zgodzie Moskwy na rozszerzenie wymiany handlowej z Zachodem i poszukiwaniom dogodnych kredytów towarzyszą stałe zabiegi ZSRS o uznanie na arenie międzynarodowej, o przyjęcie w poczet krajów cywilizowanych. Wypatrywana od 1917 roku ludzka twarz komunizmu wygląda zła z węgla.

Kreml od dłuższego czasu forsuje propozycję zwołania w 1991 roku konferencji przeglądowej w sprawie praw człowieka... w Moskwie. Idea pierwotnie wzbudziła zrozumiałe kontrowersje w zachodnich stolicach, mówiono, że przypomina to zaproszenie ludożerców na światowy kongres wegetarianów. Stopniowo głosy sprzeciwu zamierały. Po zapewnieniach Paryża i Bonn, że nie będą czynić sprzeciwów, profesor Sacharow zmuszony był zabrać głos by ostrzec Zachód przed nadmierną łatwowiernością. To prawda, kanclerz RFN zapewnił świat o dobrych zamiarach sowieckich towarzyszy i chęci wypuszczenia do końca bieżącego roku wszystkich więźniów politycznych i osób użnawanych przez Zachód za takich, ale gdy wizyta dobiegła końca, rzecznik władz sowieckich pozwolił sobie na drobne sprostowanie: po pierwsze *do roku 1991*, po drugie tych, którzy *zdaniem władz sowieckich* siedzą za przekonania – w sumie jedenaście osób.

Myślenie życzeniowe charakteryzuje zachodnich przywódców nie tylko w kwestii praw człowieka. Na paryskiej konferencji COCOM-u (Komitetu Koordynacyjnego d/s Wielostronnej Kontroli Eksportu), organizacji powołanej celem ograniczenia sprzedaży zaawansowanej technologii strategicznej krajom komunistycznym, doszło do rozbieżności natury zasadniczej. Przedstawiciele RFN zgłosili propozycję tak daleko idącej liberalizacji eksportu, że Amerykanie zmuszeni byli przypomnieć o zobowiązaniach wynikających z uczestnictwa w strukturze NATO.

Entuzjazm delegacji zachodniemieckiej nie był przypadkowy: dobiegała końca moskiewska wizyta kanclerza Kohla i kilkudziesięciu towarzyszących mu przemysłowców i bankierów. Jeśli to prawda, że *pierestrojka* jest jak psychoanaliza – czym więcej płacimy, tym bardziej wierzymy – to 3 mld marek przyznanych Sowietom przez konsorcjum bankowe pod przewodnictwem Deutsche Bank (najwyższa w dziejach RFN pożyczka udzielona zagranicznemu partnerowi) dowodzi wiary bezgranicznej. W ciągu jednego zaledwie tygodnia Moskwa otrzymała od Zachodu obietnice *bezwzrostkowych* kredytów na łączną sumę ponad 7 mld dolarów. Czy Zachód sfinansuje sowiecką *pierestrojkę*? – zastanawiają się obserwatorzy.

Bezkrytyczny entuzjazm zachodnioeuropejskich przywódców obserwowany jest uważnie zza oceanu. Przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych trzeźwo ocenia stosunki Wschód-Zachód. „Zimna wojna trwa” – stwierdzenie Busha potwierdza krążącą w jego otoczeniu opinię, że nowy prezydent jest bardziej „pragmatykiem” niż „ideologiem”. Na razie wykazuje godną pozazdrosczenia odporność na czar *pierestrojki*. Tym bardziej, że fakty potwierdzają jego diagnozę.

W ostatnim czasie Moskwa dokonała poważnej modernizacji swoich sił zbrojnych. Liczba czołgów oddanych do użytku w 1987 roku przewyższa liczebnie potencjał wszystkich wojsk pancernych NATO; w ubiegłym roku w ZSRS wyprodukowano więcej samolotów bojowych niż posiada całe francuskie lotnictwo; zainstalowano tyle

rakietowych podłasków międzykontynentalnych, że Wielka Brytania potrzebowałaby 150 lat, by zbudować ich ekwiwalent. Hasło republikańskiej kampanii wyborczej – *Peace through strength* – wydaje się w tej sytuacji jedyną logiczną opcją. Zwłaszcza że, jak zauważa Frank Carlucci, „lawina pożyczek, udzielanych Sowiecom bez warunków towarzyszących, umożliwiła Moskwie przebudowę gospodarki bez jakichkolwiek cięć w budżecie zbrojeniowym”.

Zbigniew Brzeziński jest przekonany, że potężny zastrzyk zachodnich kapitałów do bloku komunistycznego może spowodować zaniechanie przez sowiecki *leadership* niezbędnych reform. Zamrożenie zachodnich inwestycji prędzej czy później postawiłoby Kreml wobec konieczności dokonania ważkich zmian strukturalnych. Brzeziński nie jest w tych obawach odosobniony. W dniu 18 października Senat USA przyjął rezolucję zalecającą Reaganowi, by przestrzegł zachodnioeuropejskich sojuszników przed dalszą „wojną kredytów”.

Pośrednie inwestowanie sowieckiego programu zbrojeniowego to tylko jedno z niebezpieczeństw. Zintegrowanie gospodarki ZSRS z zachodnim systemem walutowo-handlowym (przewidziane w planach Kremla, z wymieniałością sowieckiej waluty włącznie) mogłoby doprowadzić do jego podporządkowania interesom kolosalnych rynków zbytu w KDL-ach – innymi słowy, do stopniowego uzależnienia.

Jak postępować z Sowiecami? Jednej z możliwych odpowiedzi udzieliła podczas niedawnej wizyty w Polsce brytyjska *Iron Lady*. Nawiązując do gorbaczowowskiej idei „wspólnego europejskiego domu” Margaret Thatcher nie zawahała się przypomnieć, że „otwarta Europa”, to Europa bez Muru Berlińskiego, bez Żelaznej Kurtyny. Polskiemu kierownictwu dała jasno do zrozumienia, że warunkiem *sine qua non* wszelkiej pomocy ze strony Wielkiej Brytanii jest uznanie podmiotowości polskiego społeczeństwa: przewlekły kryzys gospodarczy w PRL nie ma podłoża ekonomicznego, lecz przede wszystkim polityczne. Przy innej okazji Thatcher zauważyła, że brytyjski podatnik nie będzie finansował niekompetencji sowieckiego systemu.

Jaką taktykę uznać dziś za najskuteczniejszą? Jedną z zasad „przedgorbaczowowskiej” polityki amerykańskiej wobec bloku komunistycznego była mglista koncepcja *differentiation*: premiowanie poszczególnych reżimów za przestrzeganie – tj. względnie rzadkie łamanie – praw człowieka, oraz wszelkie przejawy niezależności względem Moskwy (Caucescu). Dziś mówi się o nowej odmianie tej polityki: przyznawaniu krajom komunistycznym kredytów pod warunkiem ich zaangażowania w *pierstrojke*, i wyłącznie na z góry ustalone inwestycje – sieć zachodnich *fastfood’ów* w Pradze, wyższą szkołę zarządzania w Budapeszcie czy automatyczne pralnie w Moskwie. Miałoby to sprzyjać „okcydentalizacji” gospodarki w krajach komunistycznych i w efekcie stopniowej ich finlandyzacji.

Jedną wydaje się oczywiste. Nowatorska frazeologia ekipy Gorby’ego nie znajduje jak dotąd dostatecznego potwierdzenia w praktyce. Reforma gospodarcza pozostaje teorią. Niepewne perspektywy ekonomiczne systemu nadal są ściśle powiązane z niepewnym losem *pierstrojki*. Inwestowanie w ZSRS jest *de facto* stawianiem na samego Gorbaczowa i jego politykę sanacji reżimu, niewydolnych struktur kwestionujących dotychczasowy status supermocarstwa. 40-miliardowe kredyty pozwalają póki co uniknąć odwiecznego dylematu: masło czy armaty. Czy o to chodzi? Gorbaczowowi na pewno. am

## POJUTRZE, PRZY OWALNYM STOLE

Jest raczej pewne, że jeśli jutro dojdzie do tzw. rozmów przy okrągłym stole pomiędzy władzami PRL a „Solidarnością” – czy szerzej: przedstawicielami społeczeństwa polskiego – to „Solidarność”/społeczeństwo zostaną wykiwane. Zachowanie Rakowskiego i jego ludzi świadczy, że znów chodzi o typową komunistyczną fikcję w

stylu genewskich „rozmów rozbrojeniowych”. Celem tych pozornych rozmów ma być pacyfikacja nastrojów i zyskiwanie na czasie (choćby do „partyjnej emerytury” bezpośrednio zainteresowanych).

Niemniej fikcji tej nie da się na dłuższą metę powtarzać bezkarnie. Świadomość plajty systemu i odpowiedzialności rządzących stała się w Polsce tak powszechna, że coś się będzie musiało naprawde zmienić. Jeśli nie będzie rzeczywistej ewolucji, to nastąpi rewolucja, a ofiarami jej będą zarówno społeczeństwo jak i aktualna grupa u władzy. Co sprytniejsi w tej grupie niewątpliwie wiedzą o tym i do jakichś przetargów dojść muszą – nie jutro, ale powiedzmy pojutrze. Jak mogłyby (miałyby, powinny) one wyglądać?

Naczelną wytyczną powinno być eliminowanie fikcyjności charakteru rozmów, tożsamości rozmówców i wagi tematów. Ad „charakter”: reprezentanci społeczeństwa winni mieć jasną świadomość, że stół będzie raczej owalny i po jego szpelerze stronie zasiądą dysponenti realnej władzy, tzn. policji, wojska i poparcia Sowietów. Ich jedynym celem będzie uniknięcie rewolucji, która by ich tej władzy pozbawiła (vide: Geró, Gomułka, Gierek). To jest ich słaby punkt i tu można z nich coś wydusić.

Tych ludzi nie obchodzi ani Polska, ani „sprawa socjalizmu”, tylko dominacja partii, z której mandatu sprawują władzę. Należałoby się zatem domagać, by występowali w imieniu partii, a nie „rządu” czy innych elementów dekoracyjnych. W tym bowiem wypadku ewentualne koncesje będą wyraźniej podsygnowane; zmianą władz partyjnych to sprawa poważna, bo dotyczy całej mafii, podczas gdy wymiana Dobczyńskiego na Bobczyńskiego na „stanowisku rządowym” jest szopką (Jagielski...? jak! Jagielski!).

Elementu fikcyjnego powinna być pozbawiona szczególnie treść rozmów. O ile pojutrze rozmawiać będą w imieniu społeczeństwa ludzie „Solidarności”, należałoby życzyć sobie, aby pamiętali, iż masowe poparcie dla tego ruchu wynikało z faktu, że dla Polaków „Solidarność” stanowiła nadzieję na prawdziwą reprezentantkę interesu kraju, nie zaś – jak zdają się myśleć niektórzy doradcy – z entuzjazmu dla „prawdziwego socjalizmu”, „modelu jugosłowiańskiego” (wszyscy wiedzą, jakie dał rezultaty) czy syndykalizmu jako takiego. Ludzie po prostu chcieli wówczas – i chcą nadal – większej wolności i wizji jakiejś rzeczywistej poprawy swego losu. Niefikcyjne i konkretne postulaty w tej materii mogą w tej chwili – przypominam: stół jest owalny – odnosić się raczej do spraw ekonomicznych, niż doktrynalno-politycznych, gdyż taka jest hierarchia komunistyczna priorytetów: choćby w przytułku dla ubogich, byle u władzy! Z punktu widzenia społeczeństwa, czyli ubogich, ważniejsze jest w tej chwili zmniejszanie ubóstwa, niż podejrzane abstrakcje w rodzaju „współrzędzenia”, „współodpowiedzialności” i współplajty. Przez postulaty ekonomiczne należy rozumieć nie podwyżki w pseudopieniędżach (w chwili gdy to piszę, dolar równa się 2500 złotych), lecz pociągnięcia zmierzające do urealnienia gospodarki. Jakże konkretnie, to sprawa dla specjalistów. Ogólnie biorąc najpilniejszymi sprawami do uregulowania natychmiast to: ustabilizowanie pieniądza (wymienialność złotych), przykrócenie nieodpowiedzialnych inwestycji i jakieś gwarancje dla ekonomii prywatnej, tzn. jakiś efektywny kaganiec na pysk pasożytniczej administracji, szczególnie w odniesieniu do rolników. Celem ogólnym winno być przekształcenie totalizmu w rzeczywistą dyktaturę, co już byłoby postępem. Innymi słowy: wypierać czerwonego skąd się da, poczynając od ekonomii. Wszystko inne jest fikcją i o ile pojutrzejsi rozmówcy dadzą się w nią wplątać, wykiwają się sami, a koszt poniesie czterdzieści milionów ich współrodaków. ws

## SŁUCHAM, KTO MÓWI?

Planowane są mowy i rozmowy, zresztą trwają od dawna. Aby się w nich rozeznąć, potrzebna jest mała klasyfikacja, będąca wstępem do nieistniejącej jeszcze nauki o mównictwie publicznym i zbiorowym.

**nieregularny**

# **PULS**

**kwartalnik literacki**

## **39**

*Jesień 1988*

*Londyn*

*Redaguje Zespół*



---

Copyright © by Puls Publications

PULS 39

Pierwsze wydanie polskie w listopadzie 1988

Wszystkie prawa zastrzeżone

Zezwolenie na przedruk lub tłumaczenie należy uzyskać, zwracając się do Jana Chodakowskiego (*The Secretary*), Puls Publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom.

*The first Polish edition published in November 1988*

*All rights reserved*

*Permission for reprints, translations and reproductions must be obtained in writing from: The Secretary, Puls Publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom.*

Wszelką korespondencję prosimy kierować na ręce sekretarza redakcji. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy. Zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów w nadesłanych pracach.

*Przedstawiciel w Skandynawii:*

Mirosław Ancypo, Independent Polish Agency,  
Box 2113, S-220 02 Lund, Sweden

*Przedstawiciel we Francji:*

Libella Librairie, 12 rue St-Louis-en-l'Île, F-75004  
Paris, France

ISSN 0143-5531

---

# PULS

## 39

### nieregularny kwartalnik literacki

---

---

- |    |  |
|----|--|
| 5  | <b>Stanisław THUGUTT</b><br>Wolność jest szkołą jawną  |
| 7  | <b>Dawid WARSZAWSKI</b><br>O prymacie polityki nad ekonomią  |
| 13 | <b>Andrzej MIETKOWSKI</b><br>Rozmowa z Andrzejem Gwiazdą   |
| 21 | <b>PORTRETY</b><br>Czesław BIELECKI • Kornel<br>MORAWIECKI • Andrzej GWIAZDA   |
| 25 | <b>Andrzej DRAWICZ</b><br>I cóż tam, panie, w <i>pierestrojce</i> ?  |
| 35 | <b>Ernest BRYLL</b><br>Wiersze   |
| 39 | <b>Tennessee WILLIAMS</b><br>Coś z Tolstoja  |
| 46 | <b>POJEDYNKI</b><br>Neal Ascherson: Dajmy się Polakom<br>pośmiać • Bogdan Deryng: Recenzja<br>recenzji   |
| 53 | <b>Włodzimierz BOLECKI</b><br>„Maisons-Laffitte, 13 grudnia”   |
| 63 | <b>PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTU-<br/>RALNY:</b> Jerzy BONIECKI: O emigracji w<br>ogóle uwag kilka • Robert ZUZOWSKI:<br>Metoda • Jacek GRYNICZ: Z perspek-<br>tywy domowej |
-

---

**77**      **KWARTAŁ**

---

**93**      **RECENZJE**

Janina KATZ-HEWETSON: Sezon u Hereklita • Wanda ZWINOGRÓDZKA: Cień pisarza • Ewa CZERWIAKÓWSKA: „Pomieszanie rzeczy”... czyli stan po zapaści

---

**105**      **DRUGI BRZEG**

Leonard NEUGER: O Janie Strzeleckim • Krystyna MAREK: O Zygmuncie Kallenbachu

---

**115**      **ARCHIWUM EMIGRACYJNE**

Leopold TYRMAND: Fryzury Mieczysława Rakowskiego

---

**129**      **MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO**

Nocne telefony Broniewskiego

---

**130**      **SOW SHOW**

Mówi Benny Lutkiewicz

---

**131**      **POCZTA**

---

---



## Stanisław Thugutt

# WOLNOŚĆ JEST SZKOŁĄ JAWNĄ

Wolność jest tem lepszą szkołą obywatelstwa, iż jest szkołą jawną. Żaden ustrój antydemokratyczny nie może być jawny. Ciężko jest rządzącym ujawniać swe błędy ludziom, którzy mają prawo sądu nad nimi. Byłoby niedorzecznością okazywać je ludziom bezsilnym, którzy nie mogą przeciwdziałać złu, wpadliby w rozpacz, prowadzącą do szaleństwa. Ale ta jawność nie tylko ułatwia ogarnięcie szerszych horyzontów, ale jest słońcem, które tępi miazmaty nadużyć.

Fragment artykułu „Dlaczego jestem ludowcem i demokratą” (1929), z antologii *Polska Myśl Demokratyczna w Ciągu Wieków*, wyd. „Polish Labor Group”, Nowy Jork 1945.

# Dawid Warszawski

## O PRYMACIE POLITYKI NAD EKONOMIĄ

Stanowczo należy mieć nadzieję, że rzecznik rządu świadomie mijał się z prawdą gdy zapewniał, iż decyzja likwidacji Stoczni Gdańskiej podyktowana była jedynie względami ekonomicznymi: z dwojga złego już lepiej, by rządili Polską oszuści, niż ignoranci. Likwidacja stoczni bowiem jest decyzją z punktu widzenia gospodarczego i nieoczywistą, i niejednoznaczną, jej wymowa polityczna natomiast jest zarówno niezwykle znacząca, jak i jednoznaczna właśnie: jest to wyzwanie rzucone «Solidarności». W tym kontekście decyzję rządu Rakowskiego porównać można by do sytuacji, jaka by powstała, gdyby władze zarekwirowały lokal warszawskiego KIK-u, motywując to chęcią przeznaczania go na mieszkanie dla bezdomnej wielodzietnej rodziny: motywacja szlachetna, ale jak gdyby nie do końca przekonująca.

Najpierw więc kwestie ekonomiczne. Jest oczywiście prawdą, że stocznia otrzymywała ogromne dotacje z kasy państwowej, ale to paradoksalnie wcale jeszcze nie musi znaczyć, że była deficytowa: samo państwo bowiem arbitralnie ustalało większość parametrów używanych w rachunku ekonomicznym. Co więcej, polityczne decyzje o wyborze klienta, podejmowane poza stocznia, w dużym stopniu przyczyniały się do jej trudności. Głównym odbiorcą gdańskich statków byli armatorzy radzieccy, płacący w rublach, znaczną zaś część wyposażenia okrętowego stoczni sprowadzała ze strefy dolarowej. Dokonana niedawno przez stronę radziecką zmiana stosowanego przy tych transakcjach przelicznika dolarów na ruble gwałtownie obniżyła dochodowość tego rodzaju przedsięwzięć. Jest wreszcie prawdą, że na całym świecie przemysł okrętowy przeżywa kryzys, ale jest to związane nie tylko ze spadkiem popytu, ale i z radykalnym wzrostem kosztu siły roboczej. Na tym ostatnim polu Stocznia Gdańska mogłaby skutecznie rywalizować nawet z Tajwanem, o ile miałaby pełną swobodę w zawieraniu kontraktów i dysponowaniu zyskiem dewizowym.

Wszystko to zawarte było w planie sanacji gospodarczej zakładu, przedstawionym przez dyrekcję stoczni rządowi w czerwcu, po tym jak – po strajkach kwietniowo-majowych – po raz pierwszy zaczęto mówić o możliwości wszczęcia procedury likwidacyjnej. Plan ten, nawiasem mówiąc, przewidywał także zgodnie z duchem reformy – ograniczenie zatrudnienia i kontrolę płac, co z całą pewnością spotkałoby się z krytyką związków zawodowych. Rząd jednak, jak się wydaje, nawet się z nim nie zapoznał.

Zwrócić wreszcie należy uwagę na fakt, iż likwidacji ma ulec stocznia jako jednostka administracyjna, nie zaś – produkcyjna, skoro większość jej mocy przerobowych ma być

po prostu przekazana innym stoczniom Trójmiasta. Wszystko to pozwala twierdzić, że – jeśli rzeczywiście kierowano się względami ekonomicznymi – to podjęto decyzję zdecydowanie zbyt pochopną. Nie uwzględniono bowiem możliwości ani sanacji zakładu, ani zmiany dyrekcji, ani bardziej nowatorskich rozwiązań wykorzystujących nową ustawę o obligacjach, czy też przygotowywaną – o akcjach, ani wreszcie, jak się wydaje, nie wzięto w ogóle pod uwagę wysuniętej przez Wałęsę propozycji przejęcia stoczni przez samych pracowników. Tymczasem istniejące precedensy: nie tylko francuski LIP, ale także pensylwańska huta, dawałyby tu pewne podstawy do optymizmu.

Zalóżmy jednak, dla dobra dyskusji, że cała powyższa ocena jest błędna, i że likwidacja Stoczni Gdańskiej była absolutną koniecznością ekonomiczną. Podejmując taką decyzję rząd musiał jednak liczyć się ze sprzeciwem zainteresowanych, a wypowiedzi ministra Wilczka świadczą o tym, że tak było. A skoro tak, to należało przeprowadzić ją w sposób taki, by protesty te zminimalizować, po pierwsze poprzez przekonywanie pracowników, iż innego wyjścia nie było, po drugie zaś, poprzez wykazanie im, że nie oni jedni znajdują się w tej sytuacji. Wymagałoby to więc przedstawienia kontrargumentów na wysunięte powyżej oraz podobne zarzuty, jak również umieszczenia likwidacji stoczni w szerszym ekonomicznym kontekście. Powszechnie wszak wiadomo, że to nie stocznia, a Huta Katowice i parę jeszcze innych zakładów jest największymi konsumentami państwowych dotacji: oddzielne potraktowanie stoczni jest więc niezrozumiałe.

Ale tak, jak wiemy, się nie stało. Jeżeli więc motywy decyzji podane przez rzecznika rządu są prawdziwe, to źle to bardzo wróży na przyszłość: rząd, który tak pochopnie podejmuje istotne decyzje gospodarcze, lekceważąc ich kontekst polityczny, nie zasługuje na zaufanie. Tyle tylko, że powyższe było jedynie wprawką retoryczną, decyzja o zamknięciu stoczni zaś to decyzja przede wszystkim polityczna, o niewielkich w sumie – ze względu na przejęcie przez inne zakłady majątku stoczni – globalnych konsekwencjach gospodarczych. Jej celem zaś było ostateczne stordedowanie rozmów „okrągłego stołu” oraz kompromitacja Wałęsy w oczach „młodej «Solidarności»”. Dodatkowo zaś, ogłoszenie decyzji o likwidacji w przeddzień wizyty pani Thatcher u Lecha Wałęsy miało postawić ją w niezręcznej – ze względu na jej własną politykę gospodarczą – sytuacji.

Z punktu widzenia realizacji tych celów, decyzja o likwidacji Stoczni Gdańskiej była posunięciem znakomitym, świadczącym o niezwyklej inteligencji taktycznej nowego premiera. Trudno jest bowiem sobie wyobrazić, by „Solidarność” mogła zasiąść do „okrągłego stołu”, nawet gdyby inne przeszkody zostały usunięte, dopóki decyzja ta nie zostanie cofnięta, a przynajmniej zawieszona, godzi ona bowiem w historyczną kolebkę ruchu i jego najmocniejszy bastion. Zarazem warunki podejmowania decyzji tego rodzaju miały być jednym z głównych, obok pluralizmu związkowego, tematów obrad: likwidacja Stoczni Gdańskiej czyni dyskusowanie tej problematyki w dużym stopniu bezprzedmiotowym.

Zarazem jednak nie wydaje się, by jakakolwiek reakcja „Solidarności” na rzucone przez rząd wyzwanie była właściwa. Strajk w zakładzie byłby zbyt łatwym obiektem poprzędnych szyderstw, nie wiadomo zresztą, czy tak szybko po wygaszeniu poprzedniego strajku udałoby się Wałęsę znów poderwać załogę. Jeszcze bardziej nieprawdopodobna wydaje się możliwość strajków solidarnościowych w innych zakładach pracy; co więcej, podniosłoby to kwestię generalnego stosunku związku do planowanej reformy i jej kosztów społecznych. Do tej pory „Solidarność” udawało się unikać udzielenia jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o jej stosunek do tych kosztów, lecz na dłuższą metę stanowisko takie jest nie do utrzymania.

Wreszcie marginalny w tej sytuacji, ale jednak nie pozbawiony znaczenia szczonek w nos pani Thatcher, jest z całą pewnością źródłem satysfakcji dla ambitnego i pyszałkowego MFR. Trudno zresztą się nie zgodzić z oceną, że w stosunku brytyjskiej premier do „Solidarności” jest pewna doza hipokryzji. Można by jedynie zaznaczyć, że polityka Thatcher cieszy się, w odróżnieniu od polityki Rakowskiego, wielokrotnie wyrażonym przy urnach wyborczych poparciem społecznym – i do tego się ograniczyć. Przypomnienie bowiem władzom PRL, że to dostawy polskiego węgla złamały swojego czasu wielki strajk górników we frankistowskiej Hiszpanii (a przykład to tylko najbardziej jaskrawy z wielu), zakładałoby z ich strony elementarną troskę o zgodność słów i czynów, o którą dalebóg posądzać je nie sposób.

Lecz sprawa likwidacji stoczni, acz bardzo ważna, jest w końcu dość marginalna w kontekście ogólnej sytuacji gospodarczej kraju. Polska nadal produkować będzie, ze stratą dla siebie, towary na eksport do ZSSR, bo taka jest jej sytuacja polityczna, i żadne wewnętrzne posunięcia tego nie zmieniają. Zauważmy jedynie, że o skali radzieckiej nieuczciwości w handlu z Polską pośrednio świadczyć może ujawniony niedawno przez przewodniczącego jugosłowiańskiej Rady Prezydenckiej fakt załatwienia przez ZSSR z zapłatą za otrzymane już jugosłowiańskie towary. Suma ta – powiedział – wynosi obecnie w przeliczeniu miliard siedemset milionów dolarów, i jest w dużym stopniu odpowiedzialna za rozkręcającą się w kraju spiralę inflacyjną. Łatwo sobie wyobrazić, że Polska nie jest w tym względzie lepiej traktowana, obroty handlowe zaś są w naszym przypadku jeszcze większe. Pozostaje natomiast wracając do przerwanej wątku – kwestia dalszych intencji rządu Rakowskiego i konsekwencji, jakie jego polityka mieć może dla sytuacji społecznej i politycznej Polski.

Głównym celem politycznym decyzji o likwidacji stoczni było najwyraźniej ostateczne storpedowanie szans „okrągłego stołu”, „Solidarność” bowiem nieuchronnie musi uznać jej odwołanie za warunek wstępny ewentualnych dalszych rozmów. Osiągnięcie tego skutku było dla rządu Rakowskiego kwestią pierwszorzędną wagi, bowiem groźba zwołania „okrągłego stołu”, a jeszcze bardziej – jego ewentualnego powodzenia – stanowiła poważną hipotekę na stosunkach nowej ekipy z jej bazą społeczną, czyli partyjną nomenklaturą. Hipoteka ta nie mogła zaś pozostać nietknięta nie tylko dlatego, że nomenklatura jest w końcu realizatorem polityki każdego rządu i może ją – jak widzieliśmy to choćby w odniesieniu do losów gabinetu Messnera – skutecznie sparaliżować. Jak się bowiem wydaje, Rakowski jednak zamierza, wbrew wcześniejszym, w tym i moim przypuszczeniom, realizować przedstawiony w ubiegłym roku przez swoje poprzednika program reform gospodarczych, i to w wersji zastrzonej, a nie łagodniejszej.

Program ten, tymczasem, bardzo poważnie godzi nie tylko w interesy licznych grup pracowniczych – o czym niżej – lecz także w interesy samej nomenklatury. Przechodzenie zakładów na rozrachunek czysto ekonomiczny, zastąpienie prawami rynku dotychczasowych politycznych zależności, oznacza bardzo realne ograniczenie zakresu władzy politycznych mianowców, a w dalszej perspektywie podważenie samych podstaw ich rzeczywistej pozycji. Dalej, liberalizacja przepisów regulujących funkcjonowanie

prywatnej przedsiębiorczości spowoduje wykształcenie się w niedługim czasie warstwy prywatnych właścicieli o ograniczonym, ale rzeczywistym potencjale ekonomicznym, a co za tym idzie – politycznym. Oba mechanizmy nie zadziałają, rzecz jasna, w stanie czystym: przyszłość polityczna lobby przemysłu ciężkiego wydaje się być – w sytuacji monopolu – mimo wszystko zapewniona, zaś bardzo wielu prywatnych przedsiębiorców ma powiązania już to kapitałowe, już to wręcz personalne z aparatem władzy. Pomimo to ewolucja tego rodzaju oznacza kres obecnego automatyzmu politycznego, gwarantującego nomenklaturze bezpieczeństwo polityczne i socjalne w zamian za pełną dyspozycyjność i lojalność. Trudno będzie jej się z tym pogodzić.

Jako że jednak kierownictwo partyjne jest w decyzji realizacji nowego kursu dość jednomyślne, a Moskwa też udziela mu poparcia, to na dłuższą metę wynik jest przesądzony. Koszta poniesie, jak zawsze, nomenklatura niższego szczebla, która nie ma abonamentu na karuzelę stanowisk. Istnieje w tej kwestii, rzecz jasna, historyczny precedens: wielka czystka w aparacie gospodarczym, politycznym i bezpieczeństwa po roku 1956, kiedy to dziesiątki tysięcy ludzi nagle straciły grunt pod nogami. W końcu wyładowali oni na rozmaitych posiadach, z reguły nie gorszych od strony plac, lecz pozbawionych już upajającego atrybutu władzy. Ta część aparatu świadoma jest zagrożenia – i widać to było podczas dyskusji na niedawnym VIII plenum KC, gdzie jej rzecznicy z równą furją atakowali perspektywę rozmów z „Solidarnością”, co dotychczasową politykę rządu Messnera.

Zagrożenie dla nomenklatury płynie bowiem oczywiście z dwóch stron. Reformy gospodarcze w konsekwencji podważą, jak widzieliśmy, jej władzę ekonomiczną; jakiegokolwiek natomiast ustępstwa wobec opozycji stanowiłyby bezpośrednie zagrożenie dla jej władzy politycznej. Nie tylko bowiem oznaczać by musiały ograniczenie suwerenności nomenklatury, tak w dziedzinie głównych opcji programowych władz, jak i – co zwłaszcza bardzo ważne w terenie – polityki kadrowej, lecz także możliwość zasymilowania przez nią tego nowego czynnika życia społecznego byłaby nieporównywalnie mniejsza, niż tworzącej się warstwy prywatnych przedsiębiorców. Wreszcie czystka po Październiku należy do wspomnień odchodzącego już pokolenia ludzi aparatu; natomiast Wielki Strach lat 1980/81 nadal jest dla nomenklatury doświadczeniem żywym i formującym postawy.

Trudno więc było oczekiwać, że nomenklatura przełknie i jedno, i drugie: i radykalną reformę ekonomiczną, i jakiegokolwiek poważne porozumienie z opozycją, które by zapewniało „Solidarności” znaczący wpływ na losy kraju. Dla realizacji takiej polityki rząd musiałby dysponować znacznie szerszą społeczną bazą, to zaś oznaczać by musiało taki rozwój sytuacji, który w konsekwencji prowadziłby do eliminacji *de facto*, jeśli nie wręcz *de jure*, nomenklatury jako podstawowego elementu systemu politycznego. Tego rodzaju skutki nie leżą w zamierzeniach nie tylko konserwatywnego aparatu, ale najbardziej nawet „oświeconych” przedstawicieli skrzydła reformatorskiego. Aby zapewnić sobie niezbędne minimum kooperacji ekonomicznej nomenklatury, Rakowski musiał zagwarantować jej bezpieczeństwo polityczne. Stąd komiczność uniemożliwienia zwołania „okrągłego stołu”; właśnie samego jego zwołania, niezależnie od dalszych konsekwencji, bowiem już wstępne rozmowy Wałęsa-Kiszczak odebrane zostały przez aparat jako niedopuszczalne zagrożenie jego pozycji.

Dla rozumowania powyższego jest sprawą właściwie bez znaczenia, czy Rakowski ośobiście pragnąłby, by „stół” się zebrał, a nawet czy sama propozycja Kiszczaka była, czy też nie, poważną ofertą polityczną. Dla porządku jedynie zauważmy, że jeśli można podejrzewać, iż wstępna oferta była czymś więcej niż tylko taktycznym manewrem, to stosunek nowego premiera do rzeczywistych negocjacji zdaje się być od początku wrogi: sabotując je MFR nie przeżywał zapewne konfliktu sumienia.

Strategia władz wydaje się więc obecnie być dość jasna: reformę prowadzić się będzie bez „Solidarności”, bez uzgadniania poczynań z jakąkolwiek niezależną społeczną reprezentacją. Oznacza to zarazem, że zaakceptowanie tego, co Ernest Skalski nieżyczliwie określił mianem „oferty karbowego” nie wchodzi w rachubę: za ewentualne poparcie reform „Solidarność” nie otrzyma nic w zamian. Niezależny związek stanie się więc nieuchronnie ośrodkiem krystalizacji społeczного protestu. Konsekwencje tego stanu rzeczy mogą zaś być dwojakie.

Po pierwsze więc, „Solidarność” bronić będzie stanowiska, które w pewnym stopniu jest nie do obrony: reforma gospodarcza jest przecież w Polsce koniecznością, a każdy jej wariant pociągać musi za sobą społeczne koszty. Związek pragnął negocjować z władzami ich wysokość i strukturę; po załamaniu się rozmów nie może przyjąć odpowiedzialności za jakikolwiek wariant, będzie więc spychany na pozycje obiektywnie antyreformatorskie, pod groźbą utraty społecznego poparcia ze strony tych grup społecznych, których egzystencja zostanie przez przemiany gospodarcze zagrożona. A będą to grupy niemałe, jeżeli już dziś ponad jedna trzecia polskich rodzin żyje poniżej oficjalnego progu ubóstwa. Mechanizm ten zaczyna działać już na naszych oczach: przedstawicielom związku niezręcznie byłoby użyć argumentu o jeszcze większej, niż Stocznia Gdańskiej, deficytowości np. Huty Katowice, gdyż miałyby to posmak domagania się, by inni ponosili koszty, których załozde stoczni Związek pragnie zaoszczędzić. Na dłuższą metę tego rodzaju porównania będą jednak nieuniknione, wystawiając tym samym solidarność „Solidarności” na ciężką próbę. Jakiegokolwiek wyjścia z tego dylematu Związek by nie przyjął, owocować ono musi spadkiem jego autorytetu.

Zagrożenie dla autorytetu Związku przyjdzie jednak także zapewne z innej strony. Polityka przyjęta przez Wałęsę po sierpniowych strajkach, zasadzająca się na zaakceptowaniu oferty Kiszczaka, zakończyła się nie tylko niepowodzeniem, ale wręcz – w kontekście decyzji o likwidacji stoczni – zagrożeniem dla kolebki i bastionu Związku. Nie może to nie odbić się negatywnie na autorytecie dotychczasowego przywództwa wśród „młodej «Solidarności»”. W konsekwencji doprowadzić to może do sytuacji, w której następnej fali strajków, nieuchronnie nadciągającej, nie będzie komu koordynować, bowiem „starym” zabraknie autorytetu, a „młodym” – doświadczenia. Także i to byłoby doraźnym sukcesem likwidatorskiej polityki nowego rządu.

Nie tylko, że w ostatecznym rozrachunku polityka ta sprowadza się do eliminacji struktur mediujących między autorytarną władzą a coraz bardziej zdesperowanym społeczeństwem. Skutki takiego biegu wydarzeń łatwe są do przewidzenia i budzić muszą głęboki niepokój.

**NOWOŚĆ**

**10 tom serii „Puls Politicus”**



**Mały jawniak**  
**MACIEJ**  
**POLESKI**

**cena £5.60 plus przesyłka**

**Puls Publications**  
**BCM Box 697, London WC1N 3XX**  
**United Kingdom**

## ROZMOWA Z ANDRZEJEM GWIAZDĄ

**ANDRZEJ MIETKOWSKI:** *Czy fakt, że podczas ostatnich strajków władze zaproponowały Wałęsę rozmowy, można, Pana zdaniem, uznać za sukces „Solidarności”?*

**ANDRZEJ GWIAZDA:** Nie, dlatego że propozycja została przyjęta. Należało ją odrzucić.

*Pośrednim celem każdego strajku są negocjacje. O co według Pana należało w takim razie strajkować?*

To jest rzeczywiście pytanie zasadnicze. Postulaty załóg nie były skoordynowane, załogi nie były przygotowane do wysuwania postulatów, bo strajk wybuchł spontanicznie: nie miał żadnego kierownictwa, żadnej wspólnej bazy. Niewątpliwie rozrzut żądań i brak komunikacji między zakładami osłabiały sam strajk.

*Od kilku lat kierownictwo „Solidarności” mówi jednak nieustannie o chęci dialogu...*

Dotyczy to struktur nazywających się „Solidarnością”. Jak powiedział Andrzej Celiński w wywiadzie dla «Newsweeka», NSZZ kończy działalność jako związek zawodowy i zmierza do działalności czysto politycznej. To stwierdzenie rzeczywiście odzwierciedla pewną sytuację, tyle że odnosi się do grupy KKW, a nie do „Solidarności”. Ugrupowanie KKW jest frakcją wywodzącą się z „Solidarności”, ale na pewno nie ma żadnych praw do reprezentowania i wypowiedzania się w imieniu całego Związku.

*A kto ma takie prawo?*

Zgodnie ze statutem tylko Komisja Krajowa.

*Proponuje, abyśmy pozostali w sferze realnej sytuacji...*

Jesteśmy w sferze realnej sytuacji. Kilkunastu członków Komisji Krajowej oraz polskojezyczne zachodnie rozgłośnie nazywają „Solidarnością” grupę doradców i członków władz NSZZ.

*Pana zdaniem ta grupa nie jest reprezentatywna dla Związku?*

Ma się rozumieć, że nie jest. Ta grupa prowadzi działalność polityczną, ale działalność związkową zostawiła na uboczu, całkowicie się jej wyrzekła. Można przytoczyć dziesiątki, setki wypowiedzi członków tej grupy, jak również Tygodnika «Mazowsze», który jest niemal jej organem.

*Odnoszę wrażenie, że w Pan ustach polityczność nabiera pejoratywnego zabarwienia. Tymczasem przez 15 miesięcy legalnego istnienia „Solidarność” nie była związkiem zawodowym, lecz szerokim ruchem społecznym, zawierającym zarówno prąd czysto związkowy, jak prądy właśnie polityczne. Czy według Pana dziś ma rację bytu jedynie klasyczny trade-unionizm?*



W systemie komunistycznym autentyczny związek zawodowy jest organizacją w najwyższym stopniu polityczną. Realizując swój podstawowy cel – walcząc o zmianę podziału dochodów między pracownikiem i pracodawcą – staje się przeciwnikiem tego systemu, podczas gdy opozycyjne partie polityczne, zmierzające, powiedzmy, do obsadzenia stanowisk administracyjnych lub poselskich są dla PZPR zaledwie konkurencją. Swego czasu Stefan Olszowski, jeden z czołowych ideologów partyjnych, powiedział na tajnej naradzie: – Towarzysze, nie ma zagadnień bardziej politycznych, niż zagadnienia gospodarcze.

Wróćmy do samego pojęcia „Solidarności”. „Solidarność” pisana dużą literą, w cudzysłowie i określonym krojem czcionki jest rzeczownikiem własnym, nazwą organizacji. To, czym jest ta organizacja i co się mieści w polu jej działania określa tylko jeden dokument: statut.

*Czy Pan uważa, że ta organizacja dzisiaj istnieje?*

Organizacja nie istnieje, natomiast istnieją jej członkowie i członkowie władz wybranych na zjeździe Związku.

*Czy można dzisiaj mówić o władzach wybranych siedem lat temu? Wielu ludzi zaprzestało działalności, wielu wybrało emigrację...*

To bolesna sprawa. Będąc na Zachodzie, głównie w Stanach i w Kanadzie, rozmawiałem z kolegami o przyczynach, które skłoniły ich do emigracji. W Polsce te decyzje często były dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Znałem tych ludzi, ich wierność Związkowi i bezgraniczne oddanie. Dopiero tutaj, po „długich nocnych Polaków rozmowach” zrozumiałem, że w wielu wypadkach głównym powodem wyjazdu była izolacja. Oni wyszli z internatów, więzień – i napotkali wokół siebie całkowitą pustkę. Struktury stworzone przez działaczy, których policja nie zdołała aresztować, były absolutnie hermetyczne, zamknięte. Okazywało się, że nikt z tych struktur nie może się z nimi kontaktować, bo to jest dekonspiracja. Pozostawiono ich poza nawiasem. Wtedy niejeden uznał, że wyjedzie na Zachód i tam rozwinie działalność dla dobra Sprawy. Przeważnie ciężko się zawiedli.

Co do grupy KKW powiem tylko, że została wyselekcjonowana na zasadzie kooptacji ludzi o podobnych poglądach. Składa się z osób, które godzą się – choć nierzadko bez przekonania – żyrować linię porozumienia, linię dialogu. Z osób, które, jak mówi Urban, zgodziły się być „konstruktywną opozycją”. Ten stan rzeczy trwa nie od wczoraj, choć deklaracja założyelska TTK głosiła m.in., że celem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej jest doprowadzenie w najkrótszym możliwym czasie do posiedzenia legalnych władz związku. Do tej chwili TTK podejmowała się prowadzić działalność koordynacyjną regionów. Na tej zasadzie TTK się organizowała i na tej zasadzie uzyskała bezwarunkowe poparcie całego społeczeństwa.

*Jest Pan bardzo krytycznie nastawiony do ostatnich posunięć kierownictwa związku. Jaki w takim razie należałoby, Pana zdaniem, zaproponować dziś program działania?*

Przed wszystkim nie można było doprowadzić do sytuacji, jaka ma miejsce. Teraz ja nie wiem co zrobić. Wiem, co trzeba było robić, żeby do takiej fatalnej sytuacji nie doszło.

*Ślucham Pana.*

Zgodnie z przyjętymi na siebie obowiązkami i złożoną przysięgą, należało bronić interesów ludzi pracy, bronić członków „Solidarności”. Należało walczyć o poprawę warunków pracy i płacy. Tego ta grupa nie robiła, więc nic dziwnego, że to nie oni znaleźli się na czele ostatnich strajków. Jeżeli zakłada się z góry, że rozmowy są celem, tym

samym wyklucza się prowadzenie działalności związkowej, jest to bowiem działalność, z którą komuniści pogodzić się nie mogą. Skoro ich celem jest zwiększanie wyzysku, oznacza to, że są skłonni porozumieć się tylko z tą grupą, która się na zwiększanie wyzysku godzi. Wyklucza to możliwość porozumienia z rzeczywistą reprezentacją związkową, chyba że się komunistów przycisnie do muru. Tak było w Sierpniu i tak było przez całe 15 miesięcy działania „Solidarności”.

*Zgodzi się Pan jednak, że o ile rozmowy nie są celem samym w sobie, o tyle mogą cel przybliżyć?*

Tak, ale proszę zauważyć, jak Wałęsa i jego doradcy podchodzą do tych rozmów: „Musimy przekonać rząd, że nie spowoduje to powrotu do sytuacji z roku 1980.”

*Czy pomysł legalizacji NSZZ w oparciu o ustawę z 1982 roku uznaje Pan za kompletnie chybiony?*

Godząc się na działalność w myśl ustawy z 1982 roku obie strony – zarówno „czerwony” jak i „konstruktywna opozycja” – zakładają, że związki mają się wyrzec tworzenia struktur ponadzakładowych. Wałęsa stwierdził w jednym z wywiadów, że to nic strasznego, bowiem powołają wspólną radę, jak np. w RFN. Wiadomo jednak, że będą to związki słabe, co do tego nie ma wątpliwości.

Inny aspekt, to ogromne możliwości presji, jakie w tej sytuacji uzyskałaby władza w procesie rejestracyjnym. Precedensy istnieją. Kiedy nie tak dawno towarzystwa przemysłowe występowały o rejestrację, zwracano im złożone wraz z wnioskiem statuty, na których widniały nanesione ołówkiem poprawki. Życzliwe zapewniano przy tym, że po uwzględnieniu sugestii zostaną prawdopodobnie zarejestrowani.

Pamiętajmy, że gdyby nastąpiło masowe zgłaszanie się zakładowych związków do rejestracji, sądy zostałyby zavalone wnioskami, co stanowi świetny pretekst do dowolnie długiego przeciągania procesu rejestracyjnego. Jednych się zarejestruje, innych nie, jeszcze innym postawi się warunki personalne – znamy to wszystko aż nadto dobrze.

Wreszcie zastrzeżenie czysto formalne, ale natury zasadniczej. Pierwszy paragraf statutu NSZZ „Solidarność” mówi: „Terenem działania związku jest cały kraj”. Jestem współautorem statutu, dlatego z pełną odpowiedzialnością stwierdzam, że nie przypadkiem umieszczono to na samym początku.

Co do programu działania, uważam, że przede wszystkim należy budować związek. Byłem jednym z autorów „Listu do członków NSZZ Solidarność”. Pisaliśmy, że wobec całkowitej degradacji i rozkładu struktur związku należy niezwłocznie przystąpić do ich odtwarzania. W tym celu proponowaliśmy organizowanie komitetów założycielskich, przeprowadzanie w zakładach wyborów do statutowych władz związku i podejmowanie działalności związkowej. Rejestracja nastąpi wtedy, gdy okaże się, że związek osiągnął taką siłę, iż może zagrozić pracodawcy. Wówczas pracodawcy będzie wygodniej uznać związek i rozmawiać z reprezentacją, bo reprezentacja podczas negocjacji zajmuje zawsze bardziej ugodowe stanowisko niż stanowisko załogi. Praktyka to potwierdza.

*Cofnijmy się do sprawy reprezentacji krajowej. Pan kwestionuje wiarygodność obecnego kierownictwa NSZZ, Wałęsy, doradców. Kto więc ma negocjować w imieniu społeczeństwa?*

Jakoś w sierpniu 1980 miał kto.

*Tak, ale dziś nie jest rok 1980.*

Rzeczywiście, wszystko na to wskazuje. Dziś wszystko odbywa się na odwrót. W 1980 roku pierwszą reakcją „czerwonego” na strajki było wysłanie wicepremiera Pyki, aby

rozmawiał z poszczególnymi komitetami strajkowymi, nie uznając MKS. Gdy wreszcie zgodzono się na rozmowy z MKS, postawiono warunki personalne: do rozmów dojdzie, jeżeli wśród reprezentacji nie będzie przedstawicieli opozycji. Ten warunek też został odrzucony. Następnie zaproponowano nam, by delegacja strajkujących udała się do Warszawy. Odrzuciliśmy i to. Wówczas zaproponowano, że będziemy dyskutować postulaty najłatwiejsze do spełnienia, natomiast wolne związki i prawo do strajku zostawimy na koniec. Odrzuciliśmy. Dlatego wygraliśmy. Przyjęcie któregośkolwiek z ich warunków zdecydowałoby o pełnej klęsce strajku sierpniowego. I jeszcze jedno. Rozmowy to jest handel. Stąd moje podstawowe pytanie *à propos* obecnych rozmów: czym my mamy płacić? Komuniści mogą łagodzić cenzurę, łagodzić represje, dawać koncesje na prywatne warsztaty, na działania klubów, stowarzyszeń, mogą zezwalać na nowe pisma, mogą zgodzić się na poprawę stopy życiowej. To wszystko jest w zasięgu ich możliwości...

*Poprawa stopy życiowej? Przy obecnym stanie gospodarki?!*

Uważam, że jest to wyłącznie kwestia decyzji politycznych. Z drugiej strony komuniści potrzebują jednego: zgody społeczeństwa na zwiększenie wyzysku. Zatem grupa osób występujących ponoć w imieniu społeczeństwa może zaferować w tym przetargu jedynie interesy tegoż społeczeństwa. Jeżeli potrafi nakłonić je do bierności wobec pogarszających się warunków bytowych, wówczas porozumienie jest możliwe. Będzie to jednak porozumienie *kosztem* społeczeństwa, a nie *dla* społeczeństwa.

*Ten tok rozumowania można odwrócić. Sytuacja w Polsce jest znana: bez zasadniczych reform – politycznych i gospodarczych – nic nie ruszy z martwego punktu. Warunkiem powodzenia reformy jest udział społeczeństwa: większa wydajność pracy itd. To jest właśnie towar, który można zaferować.*

Tezy, które Pan powtarza, wymyślili ludzie, którzy nigdy w życiu nie widzieli fabryki. Może raz w czasie strajku sierpniowego. Wtedy rzeczywiście robotnicy leżeli na trawnikach. Ludzie, o których mówię, nie mają pojęcia, jak się w Polsce pracuje. Ci właśnie mądrze od ekonomii dochodzą teraz do wniosku, że trzeba zmusić Polaków do zwiększenia wydajności pracy. Powiem jedno: jeżeli komunistyczna gospodarka jest na coś chora, to wyłącznie na niską cenę robocizny.

*Czy chce Pan przez to powiedzieć, że w Polsce pracuje się wydajnie?*

W Polsce pracuje się tak wydajnie, że w żadnym innym kraju nikomu się nawet nie śni. Od czterdziestu lat cały nacisk komunizmu był skierowany na zwiększanie wydajności. Degradowano starych majstrów tylko dlatego, że byli przyzwyczajeni do porządnej roboty, zgodnie z przepisami i normami technicznymi, a pracując w taki sposób nie można było zaspokoić partyjnych żądań co do ilości. Partia obsadzała stanowiska administracyjne w produkcji coraz młodszymi ludźmi, którym obce były stare dobre tradycje, którzy byli w stanie zmuszać do szybszej pracy.

Ciekawa sprawa: w ani jednej fabryce amerykańskiej czy kanadyjskiej nie zetknąłem się z systemem akordowym. Przemysłowcy są zgodni: wprowadzenie akordu to prosta droga do plajty, bowiem firma natychmiast zaczyna produkować buble. Z kolei w Polsce już nie tylko robotnicy, ale nawet inżynierowie pracują na akord. Stosuje się zaskakujące metody przyspieszania produkcji, pracy, projektowania. Równocześnie wiadomo, że są trudności z narzędziami i materiałami, ale każdy jest zainteresowany, żeby zrobić jak najwięcej, więc stosuje się narzędzia zastępcze, materiały zastępcze. Ceny nieustannie

rosną, ludzie muszą więcej zarabiać, więc mówi się, by więcej pracowali. W efekcie już od dawna wytwarzają kilkanaście razy więcej, niż przewidują normy. To, co dziś „doradcy” nazywają kryzysem ekonomicznym to jest po prostu stan, w którym osiągnięto kres możliwości. Kres możliwości następuje wtedy, gdy tempo pracy jest tak wysokie, że wyrób finalny nawet z wyglądu przestaje przypominać założenia produkcyjne.

Mógłbym godzinami opowiadać o metodach obchodzenia procesu technologicznego. Tutaj, na Zachodzie, każdemu inżynierowi czy robotnikowi włos zjeżyłby się na głowie, a w Polsce to normalka. Jeden przykład. Pod koniec lat siedemdziesiątych do WZZ zgłosił się Andrzej Kołodziej z trzema kolegami. Na pytanie, ile zarabiają powiedzieli, że od 9 do 11 tysięcy. Pytam, czy zdają sobie sprawę, że to są doskonałe pensje. Mówią że tak, o zarobki nie mają pretensji, chcieliby natomiast móc rzetelnie wykonywać swoją pracę. Wszyscy czterej byli spawaczami, spawali kadłuby okrętowe. Jest to bardzo skomplikowany proces, spawa się ogromne blachy, które są punktowo nagrzewane do temperatury 2000 C. Powoduje to naprężenia metalu i możliwość pęknięcia takich spawów a nawet krzywienie się całych spawanych elementów. Aby temu zapobiec opracowano cały system kładzenia kolejnych warstw roztopionego metalu między blachy, aby ciepło rozchodziło się równomiernie i nie powodowało potem deformacji. Robi się to cienką elektrodą i spoiny kładzie się wielokrotnie. Ale to wymaga czasu. Stosowano więc elektrody o 4-krotnie większej powierzchni i zalewano przestrzeń między blachami za jednym przejściem elektrody. Ta właśnie metoda dawała 11-tysięczne zarobki w akordzie. Oczywiście, spawy pękały. Wówczas miejsce pęknięcia wycinano młotem pneumatycznym i zalewano jeszcze raz. Jeżeli znowu pękało, operację powtarzano. W efekcie uzyskiwano 8-krotny zysk na czasie. Skutek był taki, że o ile w latach sześćdziesiątych polskie statki cieszyły się renomą na całym świecie, o tyle później ceniono już tylko polskie kadłuby, a dziś okazuje się, że nawet kadłuby nie wytrzymują konkurencji na rynkach światowych.

*Odejdźmy od spraw czysto związkowych. Jak ocenia Pan wpływ tego co dzieje się w ZSRS na sytuację w Polsce? Czy Pana zdaniem można mówić o poszerzaniu się marginesu wolności? Czy w Polsce w porównaniu z sytuacją przedsiębiorczą i późniejszą widać pod tym względem zmiany? Czy szanse, jakie daje pierestrojka, są wykorzystane?*

Uważam, że możliwości działania politycznego są z grubsza takie same. Margines swobody poszerzył się o tyle, o ile zostały złagodzone represje, ale nadal działalność polityczna w krajach komunistycznych sprowadza się do dydaktyki: ugrupowania polityczne stawiają ludziom pewne wzorce do przemyśleń. To ważne, by społeczeństwo znało jakieś inne propozycje oprócz totalitarnej propozycji komunistycznej.

Jedno można powiedzieć na pewno. Dziś po raz pierwszy widać koniec tunelu. Gorbaczow coraz bardziej uwikłany jest w wewnętrzne problemy: ruchy narodowościowe, ferment w całym bloku itp. Czy Polska nie staje wobec szansy pokuszenia się o niepodległość? Dziś jakiegokolwiek wspieranie komuny staje się najgłupszym pomysłem: komuna się sypie i należy tylko starać się ten proces przyspieszać. Perspektywa wolnych wyborów jest już chyba w zasięgu wzroku. Ciekawe, że nawet niektóre republiki bałtyckie, należące do „imperium wewnętrznego” są dziś w stanie stawiać takie żądania, natomiast polska „opozycja konstruktywna” nabrała wody w usta.

*Uważa Pan, że „wybiła godzina”?*

Jeżeli poważnie potraktować zapewnienia o nowym obliczu reżimu, należałoby żądać niepodległości. Stajemy wówczas wobec ryzykownej alternatywy. Pytanie brzmi: czy

Gorbaczow dla Polski zrezygnuje z reform komunizmu – duszącego się, nie wytrzymującego konkurencji z Zachodem, potrzebującego reform jak powietrza – i wprowadzi wojska, przekreślając wszystko co osiągnął, a więc wiarygodność, kredyty, pomoc technologiczną, i w efekcie skazując reżim na zagładę, albo też zgodzi się utracić Polskę za cenę umocnienia komunizmu. Jednego jestem pewny: odpowiedzią na żądanie niepodległości byłaby propozycja rozmów, ale nie od ministra Kiszczaka, tylko jego odpowiednika w Moskwie.

*A kto Pana zdaniem miałby niepodległość Polski ogłosić*

No właśnie. Okazuje się, że w Polsce nie ma takiego człowieka, którego byłoby na to stać. Wałęsa tego zrobić nie może, bo jest Wałęsą, a ci, którzy by mogli, nie mają takiej popularności.

*To chyba znaczące.*

Jest Pan przekonany?

*Myślę, że to sprawa podstawowa. Można mieć śmiałe koncepcje, ale w polityce liczy się umiejętność skupiania ludzi wokół takich programów...*

Proszę Pana, liczy się także poparcie Departamentu Stanu i Kongresu USA. Wolna Europa i Głos Ameryki dostarczają 90 procent informacji i komentarzy. Niezależny ruch wydawniczy to zjawisko wspaniałe, imponujące jak na te warunki, ale zasięg jego oddziaływania w porównaniu z radiem jest niewielki. Pamiętajmy też, że niemal cała zachodnia pomoc materialna, poligraficzna, idzie na KKW, nic więc dziwnego, że 80 procent polskiej prasy niezależnej to linia KKW, linia porozumienia. Zachodnie rozgłoszenie również dokonały swoich wyborów. Dlatego zaufanie do przekazywanych programów maleje.

*Co Pan ma na myśli?*

Ot, taki przykład. 13 grudnia wychodzi manifestacja spod Św. Brygidy. Idzie 5-6 tys. ludzi, skandują „Precz z komuną!”, „Wolność dla Kornela Morawieckiego!”, „Andrzej Gwiazda idzie z nami!”, „Wolność, niepodległość!”, „Komuniści – terroryści!”. Tymczasem Wolna Europa przez tydzień podaje, że w manifestacji wzięło udział 600 osób skandujących „Chcemy Lecha, nie Wojciecha” i „Solidarność żyje!” Tłumy ludzi widziały jedno, słyszą coś zupełnie innego.

Inna sprawa to szafowanie „frazologią porozumienia”, sprowadzającą się do kilku sloganów Wałęsy – „Najpierw musimy wypracować, potem dzielić” – i „Tygodnika Mazowsze” – „Społeczeństwo jest gotowe do wyrzeczeń, ale wynikających z reformy”. To są bzdury. Nikt nie ma ochoty do wyrzeczeń. 10 milionów ludzi przyszło do „Solidarności” wierząc, że ich wybrani reprezentanci wywiążą się z przyjętych na siebie zobowiązań i będą walczyć o interesy ludzi pracy. Prowadzenie przez RWE, Głos Ameryki i BBC polityki namawiania społeczeństwa do wyrzeczeń i spłaty komunistycznych długów nie może spotkać się z popularnością.

*Kto ma zwrócić te długi?*

Proszę Pana, ja nie wiem, kto zawierał umowy, ani o co w nich chodziło, nie wiem, kto dziś handluje weksłami polskich długów. Ja w każdym razie nie pożyczalem ani centa. Nikt mnie o zdanie nie pytał. W związku z tym nie czuję się w najmniejszym stopniu zobowiązany, by wykonać jakikolwiek ruch zmierzający do spłaty tego długu.

Pewien zachodni bankier odpowiadał na łamach wielkiego dziennika na pytanie, czy inwestowanie w komunizm nie wiąże się z ryzykiem. „Nie – powiada – bowiem system

komunistyczny w sposób nieograniczony może obniżyć stopę życiową ludności, a więc zawsze jest wyplacalny". Jasne?

Obserwując to, o czym tu mówimy, zadaję sobie jedno pytanie: – O co nam chodzi? Czy chcemy wspierać system komunistyczny, czy dążymy do jego obalenia? Jeżeli pod tym kątem przeanalizujemy posunięcia polskiej opozycji, pojawia się pytanie następane: – Czy nas łączy rzeczywiście te same cele? Nas, tzn. ludzi o poglądach zbliżonych do moich i „opozycję konstruktywną”. Zaczynam wątpić. Czemu służy pomaganie komunie w wydobywaniu się z ostatniego kryzysu? Jeżeli obecne rozmowy mają doprowadzić do nowego konsensusu między władzami i społeczeństwem, to czy jest to gra warta świeczki? Czy nie lepiej dalej działać niezależnie? Zmusiliśmy system do pewnej tolerancji, osiągnęliśmy stan, kiedy poziom represji za niezależną działalność związkową jest o wiele niższy, niż w początkach działania związków zawodowych w zachodnich demokracjach. Po cóż schodzić z obranej drogi?

I jeszcze jedno. „Solidarność” była wielkim pytaniem o reformowalność systemu. Brzmiało ono: „Czy komunizm potrafi zapewnić nam godziwą stopę życiową?” Odpowiedź była zbrojna. Jeżeli dziś system zaczyna mówić o chęci reform, należy ponowić pytanie: „Czy potraficie zapewnić nam godziwą stopę życiową?” Jeśli powiedzą, że tak, wówczas być może zdecydujemy się ich nie obalać.

*Rozmawiał: ANDRZEJ MIETKOWSKI*

---

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

## KSIEGARNIA POLSKA

BURGASSE 22, A-1070 WIEN

Tel. (0222) 93 87 222

Godziny otwarcia / Öffnungszeiten:

Codziennie / Täglich 10.00–18.00

Sobota / Samstag 9.00–12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

Konto pocztowe / PSK 7227.556



**NOWOŚĆ**

**5 tom serii „Świadectwa”**



**Głos z Gulagu**

*Rozmowa z Ewą Berberyusz*

**OLGIERD  
WOŁYŃSKI**

**cena £5.50 plus przesyłka**

**Puls Publications  
BCM Box 697, London WC1N 3XX  
United Kingdom**

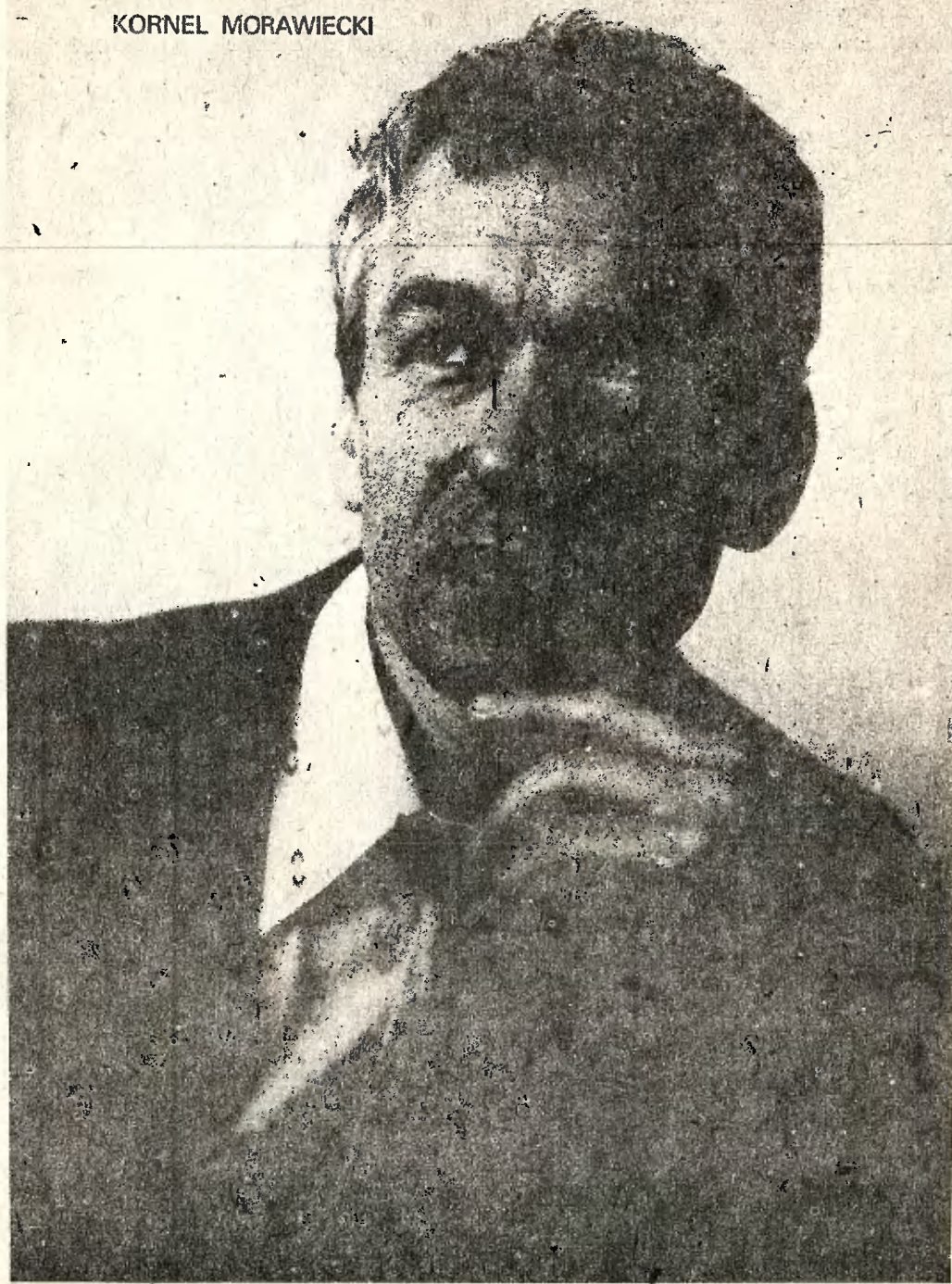
P O R T R E T Y





ANDRZEJ GWIAZDA

KORNEL MORAWIECKI





CZESŁAW BIELECKI

# Andrzej Drawicz

## ICÓŻ TAM, PANIE, W PIERESTROJCE?

1.

Bodaj trzecie, rosyjskie słowo, które w naszych czasach zrobiło międzynarodową karierę. Najwcześniej *vodka*, potem *sputnik*, teraz *pierestrojka*.

Dwa lata temu, kiedy było już widać, że się coś rusza, myślałem, biorąc się do pierwszych opisów, jak to coś nazywać: odnowa, reforma, odwilż-dwa? Wszystko brzmiało źle, bo już było i w dodatku zostało zszargane. Tymczasem słowo przyszło stamtąd, zagnieżdżyło się władczo i rezonuje gromko i hałaśliwie. Przy tym na zgiełk krajowy, sowiecki, nakłada się zgiełk szerszy, międzynarodowy; kohorty komentatorów chwytają za pióra, żeby dać swoje wykładnie i prognozy, w najszerszym wachlarzu, od pełnej aprobaty do skrajnej negacji.

Nie chcę być gorszy i spróbuję uporządkować zespół związanych z pierestrojką, znaczeń według własnego rozumienia. A że jest tego wszystkiego dużo, licząc na czytanie odbiorców «Pulsu» będę operować skrótami.

Zacznijmy od przypomnienia oczywistości. Stosowane przez siedemdziesiąt lat kolejne formy rządów komunistycznych doprowadziły ostatecznie Związek Sowiecki do stanu upadłości. Państwo o aspiracjach totalitarnych może taki stan długo przesłaniać, koncentrując siły i środki na wybranych odcinkach i – za cenę drastycznego zubożenia narodu – strasząc potęgą militarną albo imponując lotami kosmicznymi. W końcu przecież szydło krachu wychodzi z propagandowego worka. Jawność kryzysu i jego strukturalny charakter kazały nowemu przywódcy zaplanować radykalne reformy systemowe. Mają one objąć wszystkie dziedziny życia, od góry do dołu, bo też wszystko, czego dotknąć wali się tam albo gnije albo woła o pomstę czy na alarm. Nie ma kwestii, że zamiar jest poważny; w działania propagandowo-zmyłkowe, obliczone na wyprowadzenie w pole Zachodu, możnaby się wdać znacznie mniejszym nakładem sił i środków, a także ryzyka, które nieodmiennie poczynaniom ekipy Gorbaczowa towarzyszy. Z drugiej zaś strony całe, skomprimowane komunistyczne doświadczenie uczy, że reformy ćwiertciowe i połowiczne są bez sensu. Bodaj Churchill miał rzec, że przepaść pokonuje się jednym skokiem, nie dwoma. To doszło – po wielu latach i za okrutnie wysoką cenę, zapłaconą przez naród – do świadomości władzy. Ostrość kryzysu narzuca ostre środki.

Czy przywódca ma jasny plan działania, a jeśli ma, to jaki? Jest to chyba najtajniejsza tajemnica państwową i ja się temu nie dziwię; wystarczy się przez moment wmyśleć w okoliczności, w jakich Gorbaczow działa. Czy chce podważyć sam system? Nie ma powodu upartywać w nim Wallenroda; nadto pojęcie „systemu” jest z istoty wieloletniego doświadczenia niejasne a obecnie dodatkowo zaciemnione i nikt nie potrafi go

zadawalająco zdefiniować. Można raczej domniemywać, że to co w oczach Gorbaczowa jest „systemem” pragnie on naprawić. Czy to osiągalne? Również na to pytanie nie ma pewnej odpowiedzi. Dotychczasowe doświadczenia składają do wniosków negatywnych. Proponuję jednak pragmatyczny minimalizm. Niech reformator się stara. Niech uruchamia dalej (jak już zaczął) mechanizmy demokratyzacji, liberalizacji, powrotu do tradycyjnych norm etycznych, elementarnego upodmiotowienia społeczeństwa. W najgorszym razie, tj. w razie całkowitego oficjalnego odstąpienia od programu *pierestrojki* – coś z tego zostanie, jak zostało – na szczęście! – ze znacznie mniej radykalnej chruszczowowskiej odwilży. Niezależnie od intencji. Jest taki wiersz jednego z mniejszych poetów-kombatantów o tchórzu, który nauczył się z konieczności udawać na wojnie odważnego: „...i tak wszedł w rolę, że stał się śmiałkiem niemal z natury. Dobrze byłoby, gdyby łajdak z takim samym uporem udawał szlachetnego!” – pisze poeta i trudno się z nim nie zgodzić: dobrze byłoby.

Tu proponuję, w imię zdrowego rozsądku, odstąpić od roztrząsania możliwych intencji. Jeszcze prawo rzymskie głosiło, że nie podlegają sądzeniu. Oceniajmy fakty. Te, niespełna po trzech latach (bo pierwsze sygnały, że coś się dzieje, dobiegły z początkiem roku osiemdziesiątego szóstego) wykładają się korzystnie dla ludzi dobrej woli, gdziekolwiek są. Totalitarny gigant w końcu dwudziestego wieku jest nie tylko drastycznym anachronizmem, ale też niebezpiecznym (w mojej ocenie: najniebezpieczniejszym w historii ludzkości) wyzwaniem, rzuconym samej istocie człowieczeństwa<sup>1</sup>. Wszystko, co się w nim zmienia na lepsze, normalizuje, ucziowiecza, jest w naszym interesie.

Słyszałem, w różnych dyskusjach, głosy kwestionujące ów interes według takiej oto logiki: po co życzyć im powodzenia, skoro, unowocześnieni i sprawniejsi, staną się jeszcze groźniejsi dla świata a tym bardziej dla nas, dla Polaków? Nie zgadzam się z tym. Moim zdaniem czysto technologiczna wizja *pierestrojki* jako generalnego remontu i renowacji totalitarnej maszyny jest myślową pomyłką. Nie można uruchomić choćby tylko praelementów demokratyzacji bezkarnie. Kontynuując przenośnię: to raczej częściowy demontaż i przebudowa. Jeśli się udadzą, system sowiecki będzie wszechstronnie inny niż przedtem i świat, a z nim i my będziemy mieli z nim problemy innego rzędu. Równie mylne, jak sądzę, jest założenie, że w naszym interesie leżałoby dalsze, w breżniewowskim stylu, murszenie i gnicie imperium. U końca takiego programu mieści się marzenie o tym, że pewnego dnia wszystko zniknie, błyśnie jutrzienka i obudzimy się wolni. Jest to jednak utopia: w rzeczywistości mielibyśmy konwulsyjne drgawki i wyładowania o nieobliczonej sile. Jak to się śpiewa? „A mury runą i pogrzebią stary świat”?... Pieśń jest piękna i stanowi wizję poetycką, nie polityczną, toteż nie ma się co jej czepiać. Ale metafora, jeśli się w nią wmyśleć, wieje chłodem i chyba trafia w sedno. Wałczę się mury czerwonego Jerycha zgniotłyby niejedno wokół: zwłaszcza, że i my mamy u siebie własne, choć nie tak efektowne, twierdze komuny.

Ten ostatni tor myślowy wydaje mi się w ogóle podwójnie błędny. Bo i etycznie również. Kryje on w sobie założenie, że trzystu milionom ludzi powinno być coraz gorzej, żeby trzydziestu milionom było lepiej. Tak rozumującym rodakom, z których większość z reguły uważa się za dobrych chrześcijan, chciałbym skromnie przypomnieć, że chociaż Opatrzność widomie nam ostatnio sprzyja, to jednak cele Stworzenia są – jak by to powiedzieć? – szersze, niż pomyślność Polski. Ostatecznie nie trudno sobie wyobrazić kalkulację odwrotną: niejeden Europejczyk, zniecierpliwiony sygnałami naszych ustawicznych niepokojów gotów pomyśleć, że kontynentowi byłoby znacznie wygodniej bez nas...

A obserwować czujnie, sprawdzać po stokroć, nie dowierzać i szykować tarczę antyrakietową Zachód powinien: to jego elementarny, samozachowawczy obowiązek.

## 2.

Powracam do samej *pierestrojki*. Zgódźmy się zatem, że nie wiadomo czym być chce, ale – czymkolwiek się okaże – lepiej, żeby była.

W przeciwieństwie do celu reformy, technika jej przeprowadzenia nie wygląda tajemniczo. Uruchomiono w pierwszej kolejności wybrane mass-media, postawiono na myśl społeczną, kulturę i sztukę. Ma to być rodzaj zapłonu: rozbudzona i ujawniona świadomość elity winna wyrwać z uśpienia i apatii szersze kręgi społeczne, bez których współdziałania nie może się z kolei spełnić cykl zasadniczych reform gospodarczych.

Pierwsza część tego scenariusza spełniła się nad podziw. Zapłon działa. Tu właśnie liczę na pozatekstową wiedzę czytelników «Pulsu», która pozwala mi nie opowiadać jak to książki wydano, jakie artykuły napisano, jak rozkopano bliższą przeszłość, ile dokonano gruntownych demaskacji. Zdawałem z tego dość systematycznie sprawę na łamach krajowego «Tygodnika Powszechnego»: zresztą teraz pisze o tym kto żyw. Więc tylko tyle: efekt jest istotnie imponujący. Komunizm sowiecki jako imperium słowa, aspirujące do totalnej kontroli życia duchowego został poddany właściwie bez walki. Przejechano już ostrzem rewizji przez stalinizm, chruszczowizm i breżniewizm; zaczyna się nadkruszanie leninizmu. Obecna swoboda słowa daje się porównać bodaj tylko z kilkumiesięcznym okresem rosyjskiej demokracji, między obaleniem caratu a przewrotem bolszewickim. Słowa i obrazy (bo również telewizja bierze udział w orgii, czego jeszcze dwa lata temu niepodobna sobie było wyobrazić) ożywczą i orzeźwiająco wirują w powietrzu.

Jest tak dobrze, a zarazem tak źle.

Impulsy myślowe i emocjonalne idą z centrum, z wybranych źródeł: redakcji znanych czasopism, określonych programów telewizyjnych i radiowych, z niektórych związków twórczych, od popularnych twórców, myślicieli, działaczy, z ich wystąpień i książek. Im dalej w kraj, zwłaszcza w Rosję, tym wyraźniej energia słabnie, wsiąkając, jak w ścianę z waty, w niewzruszone, systemowe struktury władzy, kontroli i propagandy. Nieco lepsza sytuacja panuje w niektórych republikach związkowych. Sama Rosja natomiast, o czym na ogół mało się wie, jest zespołem udzielnych, totalitarnych księstw przede wszystkim rejonowych. Partyjni sekretarze rejkomów mają ciągle prawie nieograniczoną władzę i umieją z niej korzystać.

W efekcie zapłon działa, ale maszyna nie rusza. Z biernym i czynnym oporem aparatu średniego szczebla spręża się zwrótnie głęboka apatia i rozjątrzona nieufność mas ludzkich, dla których, po siedemdziesięciu latach bolszewizmu liczą się tylko namacalne korzyści materialne. Cała reszta programów uważana jest za oszustwo, przygotowujące kolejny – jakkolwiek byłby motywowany – zwrot ku gorszemu i uderzenie po kieszeni. Wykształciły się odruchy warunkowe w efekcie których system pada dzisiaj, by tak rzec, ofiarą siebie samego i o ile (tu nawracamy ku poprzednim pytaniom bez jednoznacznej odpowiedzi) podejmuje autentyczny wysiłek autoreformy, to musi pokonać siebie w sobie. Nie uczyni tego wszakże – z istoty sprawy – bez społeczeństwa, które tymczasem odmawia współdziałania. Klasyczne błędne koło: stan świadomości może ulec zmianie pod wpływem namacalnych, ekonomicznych efektów *pierestrojki*, zaś niezbędnym warunkiem pojawienia się takich efektów jest zmiana stanu świadomości.

Wszyscy o tym wiedzą, zaangażowana publicystyka bije na alarm. Nic się jednak w widoczny sposób nie zmienia. W momencie, kiedy to piszę (wrzesień 1988) wyczuwalnie narasta niebezpieczny rozdziew między naciskiem masy słów a brakiem faktów dokonanych. Myśli szubują swobodnie, ciesząc intelektualistów: ale wraz z całym narodem grzęzną oni jednocześnie w ciężkiej, źle urządzonej, źle zaopatrzonej codzienności, w niewygodzie istnienia. Przy tym nic nie wskazuje, by szybko mogło być lepiej, odwrotnie: każda reforma ekonomiczna zacznie się od zaciągania pasa.

Sondaże socjologiczne są zgodne: zwolennicy *pierestrojki* oraz ci, którzy sądzą, że idzie dobrze, stanowią koło szesnastu procent. Wielkie trudności i nikłe rezultaty konstatastują koło sześćdziesięciu procent. Reszta podaje, że nie ma zdania; za tym unikiem kryją się, jak sądzę, przede wszystkim zdecydowani przeciwnicy, którym wieloletnie nawyki nie pozwalają wyrażać opinii odmiennych od linii oficjalnej.

Skoro o przeciwnikach mowa: są oni wszędzie i stanowią, wraz z niechętną masą przytłaczającą większość. Mówiąc „wszędzie” chcę podkreślić, że sprzeciwia się bynajmniej nie tylko znaczna część osiemnastomilionowej nomenklatury. Są przeciw wszyscy, którzy nie życzą sobie zastosowania prawa wartości i bronią „status quo”, ponieważ mają do stracenia niepoparte kwalifikacjami przywileje. Tak powstał scementowany socjalnym egoizmem najszerzy front *antypierestrojkowy*, od kołchozowych brygadzystów do prezydium Akademii Nauk. Komfort jego bojowników polega na tym, że nie muszą nic robić. Wystarczy właśnie, że n i c nie robią, oświadczając przy tym donośnie, że są, a jakże, całkowicie za. W ten sposób nie tylko hamują nowe, ale przyklejając się doń doprowadzają sytuację w pobliże absurdu, zaś obserwatorów do jeszcze głębszego zwątpienia, czy wszystko to ma jakikolwiek sens – poza dobrze znanym z doświadczeń złej i najgorszej przeszłości, sensem zmiany wytycznych do kolejnego etapu.

W efekcie tego stanu rzeczy reformator, by się utrzymać, niejednokrotnie już łagodził ostro zamierzone kroki, przerabiał w duchu kompromisowym przygotowywane wystąpienia, rezygnował z planowanych zmian personalnych. Spektakularnym niepowodzeniem Gorbaczowa była sprawa Jelcyna, partyjnego szefa Moskwy, który musiał zostać rzucony na pozarcie nomenklaturze, wyjątkowo rozwścieczonej drastycznymi, jeliczynowskimi czystkami. Sam fakt, że główny reformator ciągle jeszcze trwa, działa i nie rezygnuje, każe widzieć w nim polityka wielkiej zręczności, który umiał nadto przemysleć i wyciągnąć wnioski z życiorysów swoich poprzedników.

Bardzo pouczająca była ostatnia konferencja partyjna. Gorbaczow potrafił zapewnić sobie zawczasu (są na to dobrze przećwiczone sposoby) jej w zasadzie korzystny dla reformy przebieg i poparcie. Wymagało to jednak reorientacji taktycznej ku partyjnemu centrum. Toteż, choć przed konferencją publiczności szli w krytyce i propozycjach bardzo daleko, już wybory delegatów wyglądały odmiennie. Ich – wyborów, nie delegatów – wielostopniowość pozwoliła rejonowym i obwodowym instancjom partyjnym skutecznie przesiewać i eliminować wysuniętych przez „doły” oddanych rzeczników *pierestrojki*. Na ich miejsce instancje bez żenady wprowadzały siebie. W rezultacie konferencja była w przytłaczającej mierze konwentylem aparatu: przed Gorbaczowem siedzieli ci, o których wie (i daje temu wyraz), iż są reformom w większości niechętni, jeśli nie zgoła przeciwni. Delikatność sytuacji polegała na jej obustronnym, trudnym zrównoważeniu: zebrani, nawet jeśli niechętni, już samą w sobie obecnością i przewidzianym z góry brakiem sprzeciwu uczestniczyli w grze na warunkach pierwszego sekretarza i

## I COŻ TAM, PANIE, W PIERESTROJCE?

udzielili mu poparcia. On natomiast, uzyskując w ten sposób argument na swoją korzyść winien był ciągle pamiętać, kogo ma przed sobą i nie przeciągać struny. Telewizja moskiewska nadawała codziennie dość obszernie relacje; dzięki temu, że w Warszawie można już ją odbierać wpatrywałem się jak urzeczony w pasjonujące widowisko polityczno-psychologiczne w odcinkach. Ciekawe były różne wystąpienia, ale jeszcze ciekawsza reakcja sali. Kiedy usłyszała od Gorbaczowa na samym początku o konieczności politycznej reformy najeżyła się, typiąc nieufnie tysiącem oczu; atmosfera stała się tak namacalnie ciężka, iż, rzekłbyś, można ją było krajać nożem. Natomiast ozywiano się i klaskano z aprobatą, słysząc o jednopartyjności i dalszym gwarantowaniu własnej, kierowniczej roli. I tylko wtedy. W ten sposób sala wysyłała ku reformatorowi intensywnie określone sygnały, które on bezbłędnie odbierał. Dbał też czujnie o samopoczucie sali, kontrolując przebieg dyskusji i wyhamowując tych, którzy zapędzali się w pierestrojkowym ekstremizmie za daleko. Była to odpowiedzialna, socjotechniczna manipulacja o dużym stopniu trudności, również warta uważnego śledzenia. Reformator był ostentacyjnie luźny, kontrastowo pozbawiony patetycznej pozy poprzednich celebrantów, pozornie nawet beztroski. Wchodził mówcom w słowa miękko, jakby od niechcenia. Ale za tą przesłoną czuło się napięcie skrajnej koncentracji. Nie dziwota. Reformator miał przed sobą jakby samych zwolenników reformy, którzy jednak z największym aplauzem przyjmowali wystąpienia kontrreformatorskie, typu Ligaczowa czy Bondariewa, tyle, że podawane w duchu troski o trwałość pryncypiów i dobro sprawy powszechnej. Natomiast głównego szermierza pierestrojki, redaktora naczelnego miesięcznika „Znamia” Bakłanowa brutalnie wyklaskano z trybuny, dając mu dokończyć wystąpienie tylko na parokrotnie ponawiane apele Gorbaczowa o tolerancję. Czuło się w ogóle ostry zgryz antyintelektualny, jeśli intelektualistów skonkretyzować umownie i zwęzić do czołówki rzeczników reformy w słowie i piśmie. Było więc na co uważać i co wyważać.

Celowo zatrzymuję się dłużej nad konferencją, bo stanowiła ona pouczającą lekcję pogładową, wyjawiającą wypukłe sprawy i procesy. Wspomniałem już, że wybory delegatów dały przewagę umiarkowanej konserwie. Reformator i jego ludzie (mający wówczas tylko względną i jakby okazjonalną przewagę w Biurze Politycznym) obserwowali to ze spokojem, tylko tu i ówdzie interweniując i korygując. Skłania to do przypuszczenia, iż efekt był przewidziany i skalkulowany<sup>2</sup>. Konferencja w zasadzie nie mogła się nie udać, natomiast rezultatem przygotowań do niej miał być otwarty ku przyszłości konflikt „dołów” ze średnim aparatem, którego wyborcze machinacje były wprawdzie skuteczne, ale zostały po raz pierwszy od przeszło półwiecza poddane publicznej krytyce. Teraz będzie się to jątrzyło i ślimaczyło, jako psychologiczna reakcja łańcuchowa.

Czy to wszystko razem nie przeinterpretowane? Może. Prezentuję tylko własne domniemania. Zakładam jednak, że reformator wie co robi, a w danym wypadku na co się zamachnął. *Pierestrojka*, o ile będzie trwała, musi przynieść ograniczenie i wypieranie nomenklatury. Z nią jednak nikt jeszcze w systemie komunistycznym na prawdę nie wygrał; ona zaś dała już radę niejednemu. Toteż stała się obecnie widomym przedmiotem działań długofalowych i oskrzydlających. Temu ma zapewne służyć zaprogramowany przez konferencję – choć bez entuzjazmu – wzrost realnego znaczenia lokalnych organów władzy, czyli głośnych kiedyś Rad, którym przewrót bolszewicki teoretycznie wręczał władzy swej pełnię. W tym celu zaplanowano też rekomendowane łączenie stanowisk lokalnych pierwszych sekretarzy komitetów partyjnych i przewodniczących rad.



Pozornie jest to nielogiczne, oznacza bowiem koncentrację władzy w jednym ręku, ale nie w realnych, sowieckich warunkach, gdzie, jak wspomniałem, rejonowy sekretarz jest dotychczas panem częściowo kontrolowanym a nawet faktycznie wybieralnym. Jeśli tak istotnie zamierzono, to manewr jest chytry i może zostać przechytrzony, bo wymaga czasu, mozołu i realnego uruchamiania aktywności społeczeństwa. Ono zaś nie dość że jest, jak się rzekło, bierne, to w głębszym sensie – jako zespół środowisk, układów, mechanizmów i instytucji – właściwie jeszcze nie zaistniało. Siedemdziesiąt lat energicznej działalności władzy dało efekty: „homo sovieticus” na szczęście w pełni nie powstał (to, co się dzieje obecnie, wystarczająco o tym świadczy); natomiast „societas sovietica”, struktura idealnie sypka i amorficzna – owszem.

Teraz ten zasupłany kłęb wzajemnych uwarunkowań i niemożności trzeba rozplątywać, pod groźbą uduszenia, ze wszystkich końców naraz.

Bagatela.

### 3.

Jest tak źle, a zarazem tak normalnie.

Tak jest: normalnie. Proponuję bowiem, by uznać napięty i pogmatwany stan obecny za normalną konsekwencję zapoczątkowanych procesów. Odbywa się, jakkolwiek to nazwać: częściowy demontaż, naprawa, ewolucyjna transformacja, reforma – struktury przecież w niektórych elementach totalitarnej, w innych – przynajmniej totalitaryzującej. Struktury gigantycznej, o wykształconych mechanizmach samoobronnych, utwierdzonej w złem i ku złemu, śmiertelnie niebezpiecznej dla otoczenia. I tak więc wszystko odbywa się (w sferze myśli) bardzo szybko i względnie łagodnie.

Niczego innego niż następstwo nakładających się trudności nie będzie przez wiele najbliższych lat. Będzie też szarpanina i przepychanka: między swobodą wypowiedzi i (ciągle jeszcze) rozpędzaniem ulicznych manifestacji, zorganizowanym postępowaniem w Estonii i dramatycznymi wyładowaniami w Armenii, częściowym ożywieniem rynku i gorącą inflacyjną, potępieniem stalinizmu i lawiną listów do redakcji, upominających się o szacunek dla Stalina. Wszystko to i setki innych współczynników, wzajemnie konfliktowych, będzie tworzyło powszednią codzienność, zwyczajność, mówiąc peerelowskim slangiem „normalkę”. I to w najlepszym, opatrnościowym razie. Będzie to najniższa cena. Dzień bez sygnału alarmowego, że gdzieś wybuchł duży pożar, ekipa reformatorska będzie mogła uznać za podarunek losu.

Kładę na to nacisk, bo w ostatnich opiniach o pierestrojce widzę często efekt patrze-nia wycinkowego, dziennikarskiego, z dnia na dzień, od wydarzenia ku wydarzeniu. Widzi się wszystko oddzielnie, emocje skaczą to w dół to w górę, a zwłaszcza w dół; co chwila ktoś obwieszcza załamanie, koniec albo przynajmniej głęboki kryzys pierestrojki – i owszem, ma to czym uargumentować.

Pozornie jednak. Tylko pozornie. Jak dotąd, na dzisiejszy dzień wrześniowy, wszystko jest – odpukać – normalnie. Przesłanki do takiego wniosku w skrócie przedstawiłem.

Znam oczywiście i inne punkty widzenia, znacznie bardziej krytycznego niż moje. Z uwagą śledzę zwłaszcza stanowisko emigracji rosyjskiej, której cała sprawa bezpośrednio dotyczy, która zna, jak nikt z nas, zaplecze krajowego życia i nie ociąga się z zabieraniem głosu.

Głos ten czy raczej głosy są bardzo różnie brzmiące. Z przyjemnością usłyszałem i przeczytałem wypowiedzi ludzi, których znam i szanuję, a którzy skłaniają się ku

ostrożnemu, sceptycznemu, lecz jednak optymistom. Inni uważają pierestrojkę za oszustwo i mówią o niej z rozdrażnieniem. Można w tym wyczuć także obawę o własną sytuację – jedynie prawomocnych rzeczników wolnej myśli rosyjskiej, na których światowa opinia publiczna siłą rzeczy zwraca teraz mniejszą uwagę.

Jest to zrozumiałe, co nie znaczy, że godne aprobaty. Brakuje chyba głębszego rozpoznania własnej woli. Emigracja to przecież nic innego, jak wyciągnięcie wniosków z warunków życia w kraju, gdy te stają się nie do zniesienia. Emigranci polityczni decyzją swego wyjazdu dają świadectwo owej niezależności, a działaniem na obczyźnie pomagają krajowi. Jeśli w kraju dzieje się lepiej, to jest to współzyciostwo emigracji. Można dowiedzieć bez naciągania, że władza sowiecka uznaje dziś za swoje wiele najbardziej krytycznych diagnoz, publikowanych w rosyjskim *samizdacie* – i otrąbić zastużony triumf<sup>3</sup>. Zamiast tego jednak emigracyjne skrzydło nieprzejednanych z satysfakcją rejestruje wszystko, co dokonuje się w kraju wedle starego stylu, ogłaszając za każdym razem, że skoro tak, to nie dokonuje się nic nowego. Jest to rejestracja tyleż efektowna, co jałowa; zamiast wychodzić od punktu startowego, ze wspomnianym już, realnym ciężarem totalitarnej struktury, którą należy realnie, na codzień, we wszystkich dziedzinach, przy biernym i czynnym oporze przewycięzać – ocenia się wydarzenia z perspektywy pożądanego, ale dziś nieskończenie odległego efektu końcowego: idealnej demokracji według zachodnich wzorów. Zadziwiający brak pamięci u ludzi, którzy kilka czy kilkanaście lat temu byli przecież t a m i ciężar giganta czuli na sobie. Chciałoby się ich spytać: co więcej, realnie, można byłoby w ich kraju zrobić w ciągu dwu i pół lat? W jakich dziedzinach i jakimi sposobami? Chciałoby się również, możliwie delikatnie, przypomnieć im, że oprócz władzy, której przewrotność tak bardzo przyciąga ich, nieprzejednanych, uwagę, w kraju, o który chodzi żyje trzysta milionów ludzi, i nawet częściowa poprawa ich bytu musi być przyjęta z elementarną, solidarnościową satysfakcją. Jak napisał anonimowy, krajowy czytelnik paryskiego tygodnika «Russkaja Mysl»: „Trzeba bardzo nienawidzić tego kraju i tego narodu, aby nie życzyć powodzenia pięćdziesięcioletnim reformatorom, którzy otrzymali władzę”. Prymitywnie proste, ale właśnie dlatego, dla mnie przynajmniej, bardzo przekonujące.

W ciągu dwóch i pół lat władza rozpoczęła wyjście z Afganistanu, zmodyfikowała częściowo swoją neoimperialną, globalną politykę, dopuszczając na przykład wzajemną kontrolę na miejscu, wypuściła dużą grupę więźniów sumienia, ułatwiła wyjazdy zagraniczne, odstąpiła od prześladowania wierzących. Władza ta umożliwiła również dostęp do rozległych, zakazanych przedtem obszarów rosyjskiej i wielonarodowej kultury i spuścizny duchowej i sprzyjała rozpoczęciu gruntownej, krytycznej oceny przeszłości. Wreszcie: cokolwiek rzec o tempie i konsekwencji z jaką się to dzieje – w wielu dziedzinach życia społecznego nastąpiła inwentaryzacja stanu upadłości i zapoczątkowanie instytucjonalnych przemian: dotyczy to również prawodawstwa, gdzie odbywa się przygotowywanie nowych ustaw, których nieodzowną potrzebę odczuwają wszyscy zwolennicy reform. Nie jest to mało. Niezmiernie łatwo jest co prawda dowiedzieć, że w każdej z tych dziedzin i w wielu innych należałoby zrobić więcej i że ci, co chcieli robić więcej na własną rękę, zderzali się z głuchymi ścianami niemożności lub byli przywoływani do porządku, nieraz bardzo brutalnie<sup>4</sup>. Wszystko to prawda, jak prawdą jest i to, że baza ekonomiczna prawie nie drgnęła a lud, według klasycznego, puszkiniowskiego określenia „trwa w milczeniu”. Taka jest wszakże, powtórzmy, norma detotalitaryzacji w końcu naszego stulecia, po tylu latach i na tym obszarze. Norma specyficzna, to fakt. A jakże inaczej?

## 4.

Stulecie zbliża się do końca i zapewne odejdzie w przeszłość jako wiek o różnych przymiotach: wiek atomu, lotów kosmicznych, wojen totalnych, świadomości ekologicznej i kto wie czego jeszcze.

Co do mnie, pragnąłbym, aby wśród tych znaczeń na plan pierwszy wystąpiło takie oto: wiek wlotu i całkowitego upadku idei komunistycznej. Takie jest moje pobożne życzenie i – również dzięki pierestrojce – idzie ku temu bardzo szybko.

Narzekając na swój czas winniśmy mu jednak oddać sprawiedliwość. Oczywiście, dawniej w niejednym było lepiej, luźniej czy spokojniej. My jednak kąpiemy się za to w lukusie jasności.

Nie ma już żadnych złudzeń co do istoty tego, co nas spotkało. Idea wcieliła się w najróżniejsze realizacje, sprawdziła według wszelkich wymagań badania naukowego w cyklu eksperymentów o rozmaitych założeniach, w materiale rozwiniętym, zacofanym i średnim, białym, czarnym i żółtym, europejskim, azjatyckim i afrykańskim. Niestety, laboratoriami dla takich badań mogą być tylko żywe, społeczne organizmy. Koszty okazały się straszliwe. Ich niszczące działanie przedłuża się nadal, jeśli nawet mniej drastycznie niż w Rosji Stalina, Chinach Mao Tse Tunga czy Kambodży Pol Pota; nasza dzisiejsza, polska mizeria jest również pouczającym, trzydziestopięciomilionowym świadectwem do czego to musi doprowadzić.

Komunizm poległ jako program we wszystkich sferach, dziedzinach i płaszczyznach. Z największym hukiem zawałiło się wszystko w środku ciężkości, tj. w ekonomice, ale sięgnęło wszędzie. Wiedzą dziś o tym rządzący i rządzeni na równi. Jeszcze trzydzieści lat temu było inaczej. Chruszczow uważał się, z najgłębszego przekonania, za prawdziwego marksistę, którego misją jest dowiedzenie świata, że jednak się rusza, mało! – rwie się do przodu. Wiadomo ile to przeświadczenie kosztowało, bodaj tylko w jednej, oddzielnej sferze: rolnictwo sowieckie było wówczas jeszcze możliwe do ocalenia, dziś już właściwie nie wiadomo jak je wskrzesić.

Powtórzmy: jasność samowiedzy obejmuje rządzących i rządzonych. Idzie teraz o wnioski, jakie wyciągną ci pierwsi.

Według mojej ostrożnej diagnozy, pierestrojka, jak do tej pory, zdaje się świadczyć o zamiarze wyciągania wniosków głębokich, o charakterze strategicznym. W związku z tym system sowiecki przypomina dziś boksera, który chce zwyciężyć samego siebie przez nokaut. To pozornie beznadziejne, ale próbowałem jak umiałem przestrzegać przed pochopnością wniosków i prostolinijnością analogii. Nasze stulecie jest również wiekiem krzywolinijnych następstw, a bezprecedensowość sytuacji żąda odwagi, mało: zuchwałości myślenia.

Dygresja: polska jesień 1988 stoi, myślę, ciągle pod znakiem niejasności, czy nasza krajowa władza wymęczy z siebie i wydusi decyzje strategiczne, czy jedynie taktyczne. Po raz pierwszy od czterdziestu z górą lat polscy komuniści nie mają alibi w postaci moskiewskiego nacisku; ze wschodu słychać wyraźne sygnały o dystansowaniu się od doraźnych kłopotów bratniej partii.

## 5.

Tutaj mój wątek się urywa, ponieważ wszystko jest w toku. Chwała Bogu, narazie jeszcze jest. Przypominam, że przedstawiłem mój prywatny punkt widzenia. Powstał on najpierw w rezultacie nadśluchiwania, śledzenia i oceniania dochodzących ze

## I COŻ TAM, PANIE, W PIERESTROJCE?

wschodu sygnarów. Potem starałem się to skonfrontować z tamtejszymi realiami; udało mi się, po dwunastoletniej przerwie, odwiedzić Związek. Taka konfrontacja jest konieczna, bo jest to kraj o specyficznych współczynnikach: bezwładu, rozległości, różnaitości używanych kodów, zachowań rytualnych, kontekstów słów i czynów i różnych takich. Świadomość tego wszystkiego nie chroni przed błędnymi wnioskami, ale nieco je utrudnia. W czasie podróży wszystko się na odwiedzającego zwała, potem, po powrocie, trzeba to uporządkować i posegregować; później przychodzi znowu pora wnioskowania pośredniego. Teraz szykuję się do następnego wyjazdu i nadstuchuję zgiełku stamtąd. Wszystko się spiętrza i zachodzi na siebie. Wiem już, że z zaopatrzeniem – zawsze kiepskim – jest jeszcze gorzej i że podczas wizyty w Kraju Krasnojarskim reformator, w rozmowie z rozgoryczonymi mieszkańcami stwierdził „odchłopiliśmy wieś”, wskazując na indywidualne, farmerskie gospodarstwo jako jedyne wyjście. Cieszę się z tego wniosku, ale z goryczą, bo został opłacony milionami chłopskich istnień i półwiekowym niedożywieniem kraju – a teraz skąd wziąć w Rosji rzesze farmerów? Wiem, że na szczęście udało się uchylić zarządzenie kontrreformatorów o ograniczeniu prenumeraty najbardziej zaangażowanych w *pierestrojkę* czasopism (a prenumerata jest tam jedyną gwarancją systematycznego czytelnictwa) i cieszę się z tego z melancholią, bo nie mogąc dojeść będą mogli przynajmniej doczytać, dlaczego są niesycc...

To już wiem, inne sytuacje sobie dopowiadam, a resztę zobaczę na miejscu i co zobaczę – opowiem; także wówczas, jeśli będzie się kłóciło z moimi dotychczasowymi domniemaniami.

A gdyby ktoś potrzebował na koniec metaforycznego skrótu sytuacji, to powiem, jak sam, nieszukany, nawinął mi się pod rękę. Leży przede mną, gdy to piszę, zbiór wydanych w Moskwie publicystycznych wystąpień intelektualistów-rzeczników *pierestrojki* zatytułowany *Jeśli według sumienia*. Jednym z najostrejszych materiałów jest pamflet – zaiste unicestwiający – Jurija Kariakina przeciw stalinowskiemu oprawcy myśli i kultury, Andrzejowi Zdanowowi. Czytając tekst myślałem z satysfakcją o bystro teraz idącej deżdanowizacji Związku: w całym kraju kołchozy, szkoły, wsie, miasta i miasteczka obdarzone czterdzieści lat temu istnieniem wiernego stalinowca rezygnują dziś ze swego patrona. A po przeczytaniu zerknąłem na notę edytorką. *Jeśli według sumienia* zostało jednak wydrukowane w – cytuję: „Odnaczonej orderem Rewolucji Październikowej i orderem Czerwonego Sztandaru Pracy Pierwszej Wzorcowej Drukarni imienia A.A. Zdanowa”.

No, właśnie.

I tak – wedle starego dowcipu – ze wszystkim.

Ale mimo to i właśnie dlatego odpowiedź na tytułowe pytanie będzie brzmiała: normalnie, panie i panowie. Chwała Bogu, normalnie.

### Przypisy

<sup>1</sup> Śmiertelne niebezpieczeństwo tego wyzwania polega, myślę, na zakwestionowaniu w teorii a zwłaszcza w praktyce fundamentalnych wartości i zadań etycznych, z jednoczesnym naciskiem na konieczność uznania odwróconych znaczeń: kłamstwa jako „naszej prawdy”, zniewolenia jako „prawdziwej wolności”, nieludzkości jako „humanizmu socjalistycznego”. Idąca w tych kierunkach perswazja propagandowa, często, zwłaszcza we wczesnych fazach naporu systemów komunistycznych, skuteczna, doprowadziłaby, w wypadku pełnego sukcesu, do duchowego samounicestwienia ludzkości.

<sup>2</sup> Zasadnicza rozgrywka dokonała się, jak wolno mniemać, wcześniej, w starym stylu, przy zamkniętych drzwiach i zaciągniętych zasłonach. Szczegóły nie są znane. Ramy czadowe wyznacza artykuł Niny Andrejewej w gazecie «Sowietskaja Rossija» z 13 marca b.r., zawierający generalne *votum* nieufności wobec *pierestrojki* – i odpowiedź «Prawdy» z 5 kwietnia. Szereg oznak wskazywało na to, że wystąpienie Andrejewej było w istocie zbiorowym manifestem, mogącym doprowadzić do przesilenia politycznego, co gdy nie nastąpiło, wynik XIX Konferencji Partyjnej był w zasadzie przesadzony.

<sup>3</sup> Por. np. stwierdzenie: „W reformach nowego kierownictwa poznajemy wcielenie w życie żądań Aleksandra Jesienina-Wolpina (jawność). Andrzeja Sacharowa, Aleksandra Solżenicyna (wiele elementów z „Listu do przywódców”), Jurija Orłowa (przygotowywana ustawa o prasie i informacji), Włodzimierza Turczyna. Roja Miedwiedjewa (demokracja wewnątrzpartyjna, obiektywne naświetlenie historii KPZR), Lwa Timofiejewa (ekonomika) i innych. Nie wszystko i nie w pełni, ale coś niecoś z tego, czego od nich żądaliśmy. ‘wodzowie’ już spełnili. Dziś w sowieckiej prasie pisze się o sowieckim systemie rzeczy straszniejsze od tych, jakie czytaliśmy w „Kronice wypadków bieżących” (Julia Wiszniewska, „Nadzieży malieńkij orkiestrik pod uprawlenijem”, «Syntaksis» 1987. nr17, str. 90).

<sup>4</sup> Dotyczy to, rzecz jasna, zarówno sytuacji wewnątrzrosyjskich jak i wielonarodowych, gdzie sprawy komplikują się dodatkowo i wyładowują w sposób drastyczny, lub nabrzmiewają w problemy na razie nierozwiązywalne. I to również m u s i się dźać nadal, stanowiąc jeden ze składników powszedniości *pierestrojki*. Ten cykl spraw, nie nadający się do pobieżnego potraktowania, pozostawiam jednak na inną okazję.

# Stodieck's Buchhandlung & Galerie

---

KSIEGARNIA POLSKA

---

Stodieck's Buchhandlung u. Galerie

---

prowadzi sprzedaż wydawnictw w j. polskim

---

od przeszło pięciu lat.

---

Ponad 400 tytułów. Płyty, kasety z podziemia.

---

Katalog wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

---

Richard-Wagner-Strasse 39

Berlin 10 Tel. (030) 341 10 40

---

# Ernest Bryll

## WIERSZE

### A ONI TO UMIEJĄ

Kto tak potrafi o miłość się starać  
Jak on gdy szary jest a ona szara  
Kto tak potrafi bezbarwność odmieniać  
I cień odróżniać od drugiego cienia ?

A oni to umieją. Nie żyją nadzieją  
A nawet niepotrzebna im zwykła wesołość  
Niby się nachylają gdzie chmury powieją  
Ale nie lecą z wiatrem bo ich nikt nie woła

Może ich woła. Ale już nie slysza  
Bo zanurzyli się w sobie głęboko  
Gdzie nie potrafi nawet ryba ciszy  
Odnaleźć drogi...

A też nie ma dokąd  
Bo tam się już nie płynie głębiej. To jest stroaa  
Ta sama tylko spazmem odwrócona  
Więc dom tam jest naopak – i wcale nie chroni  
A kiedy drzwi zamykasz to jest otworzony

A oni tak umieją. Gdy siedzą na skraju  
I nic przed nimi nie ma – są we własnym kraju  
Co otwarte na przestrzał jest dla nich schronieniem  
Najczystszy źródłem najżywsze pragnienie

A oni to umieją. Czasami podchodzą  
Do tej granicy światów. Patrzą jak przez szybę:  
– Co tam u nas? I widzą...

U nas nic nie widać

Tylko w siebie patrzymy. Bo ta druga strona  
Jeszcze dla nas przez boleść nie jest otworzona

## PRZYJDZIE NASZ CZAS

Przyjdzie nasz czas – lecz jaki będzie, niewiadomo  
Może wrócimy z pieśniami do domów  
I drzwi zechcemy szeroko otworzyć  
Ale drzwi znikną – jak ucięte nożem  
I okna też osłepną – jakby nie patrzyły  
Za nami gdyśmy z domu odchodzili

Przyjdzie nasz czas – lecz zegar czasu nie wybije  
Wszystko będzie jak człowiek co zbyt długo żyje  
I każdy jest znudzony już jego dychaniem  
I słowami pustymi jak w trumnę pukanie

Przyjdzie nasz czas. Jeżeli, Boże, nas pamiętasz  
Pozwól nam odprowadzić tę chwilę na cmentarz

Przyjdzie nasz czas – nareszcie te wysnzione święta

## NA STRYCHU

W tym życiu wynajętym jak stare mieszkanie  
Żyjemy i myślimy – jak tu płacić za nie  
Nie stać nas było na pokoje większe  
Więc się trzymamy na ostatnim piętrze  
Gdzie woda nie dochodzi i windy nie bywa

Co my widzimy. Wiele. Tuż, obok, na strychu  
 Pranie całego świata suszy się po cichu  
 Co my czujemy? Wiele. Kuchenne zapachy  
 Spływają nam jak krwiobieg z calutkiego gmachu  
 Co my mówimy? Czasem wysyłamy listy  
 Ale co jasne tutaj gdzie indziej tak mgliste  
 Stąd jeśli kto na szczyty nasze się dosapie  
 I zapomnianą klamkę w kącie złapie  
 To tylko żeby spisać jaki stan licznika  
 Kwit za komorne rzucić...

Tak jak wszedł, tak znika

A my, przez uchylone drzwi w naszym mieszkaniu  
 Słyszemy go jak schodzi powoli w otchłanie  
 Jak zgrzyta winda niżej o trzy piętra  
 I jak dom cały aż do piwnic stęka  
 Co robić by wierzyli w to co my już znamy  
 I jak im wytłumaczyć że ten dom skazany  
 Gdy winda jeszcze chodzi od nieba do ziemi  
 Jak im to wytłumaczyć że wszyscy żyjemy  
 W powietrzu zaczepieni, chmury uwieszeni?

Nie da się. Więc ugotuj co masz na kolację  
 Potem się położymy tak, żeby przez okno  
 Trzymać za rękę niebo. Nie raz się udało  
 Dospaliśmy spokojnie. Nic się nie urwało  
 Marnie, że deszcz dziś pada. Palce będą moknąć  
 I znów się będzie jak krzyżem leżało.

\* \* \*

Wreszcie uciekłem z kraju mego  
 Aby po latach wrócić cały obwieszony  
 Podarunkami dla dawnych znajomych  
 Tyle tam pracowałem i tak byłem wolny  
 Że trzeba było te skarby pokazać  
 Swoim – bo tego nie pojmują obcy  
 Samochód mój się toczył w pyłe drogi polnej  
 Wszystko zniknęło – jakby kto zamazał  
 Co pamiętane...



Jacyś mali chłopcy  
Stali przy rowie. Pytam o znajomych  
A oni na to: – Czemuś tak zmieniony  
To my znajomi. Tu się nie starzeje  
A tylko z dorosłości znowu dziecinnieje  
Tak ustalone i tak dozwolone  
I lepiej... Lepiej. Jak dziecko się bawisz  
Malejesz, nikt nie zostawisz  
Jakby się nic nie stało...

– Co się dzieje z wami?

– Nic się nie dzieje. A ty z walizkami.  
Pokaż prezenty. Wszystko jest za duże  
Wszystko na serio. Wszystko nazbyt nowe  
My tu wymiary mamy zabawkowe  
Tutaj mało powietrza. Płuca nam nie służą  
Ostrożnie oddychamy. Czy zostajesz dłużej?  
Nie. A więc bracie szczęśliwej podróży...

– A co w ogóle? – Cóż. Najpierw niemiło  
Lecz się powoli gładziło, gładziło  
Kraj jest tak przezroczysty jakby go nie było  
Ale lepiej wyjeżdżaj. Czasem gdzieś coś trzaśnie  
I nic się szklisko sypnie

Wtedy bywa strasznie.

## LIBELLA

12 rue St-Louis-en-l'Île, F-75004 Paris

Metro: Pont Marie

Tél.: 43-26-51-09

**Książki polskie  
Książki francuskie dotyczące Polski  
i Europy Wschodniej  
Przekłady z j. polskiego na francuski**

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na żądanie  
Książki wysyłamy na cały świat

# Tennessee Williams

## COŚ Z TOŁSTOJA

Byłem śmiertelnie znużony, czułem na sobie piętno porażki; ten zakątek wydał mi się wystarczająco spokojny, by człowiek mógł się w nim zaszyć z dala od świata, który jawi mu się wrogi; ponadto Brodzky chciał wysłać swojego syna do *college'u* – oto dlaczego objąłem posadę pomocnika w księgarni. W dniu, w którym dostałem tę pracę, od rana przez kilka godzin snułem się bez celu ulicami. Moją uwagę zwróciła schludnie wypisana drukowanymi literami wywieszka w jednej z witryn: „Potrzebny pomocnik”. Wszedłem i odszukałem właściciela. Siedział na zapleczu, chudy, posępny Żyd, za olbrzymim biurkiem zavalonym stosami książek. Trudno właściwie pojąć, co go skłoniło do tego, żeby mnie zatrudnić. Miałem ściągniętą twarz i zmaltretowane bezsennością ciało, moja powierzchowność z pewnością nie miała w sobie nic ujmującego. Może jednak coś we mnie podsunęło mu myśl, że będę uczciwym i wiernym pracownikiem w zamian za spokojne, mroczne schronienie, którego zapowiedź kryła w sobie jego księgarenka.

Tak czy owak, dostałem tę pracę, która w znacznej mierze spełniła moje oczekiwania. Życie wiodłem monotonne, lecz monotonię tę rekompensował – jeżeli w ogóle trzeba mi było rekompensaty – przywilej zostania świadkiem dramatu nie mniej bogatego niż którykolwiek z dramatów ludzkich zawartych w tysiącach tomów stłoczonych na pokrytych kurzem półkach księgarni.

\* \* \*

Syn Brodzky'ego miał wówczas osiemnaście lat. Był typem uduchowionego, pełnego zadumy rosyjskiego Żyda o kruchej budowie, smągłej cerze, subtelnym, artystycznym rysach. Nigdy go właściwie nie zdołałem poznać. Nikt go zresztą nie poznał, był bowiem zamknięty w sobie jak dzikie zwierzątko – taki człowiek, do którego niepodobna się zbliżyć na stopie towarzyskiej. Jest to opowieść o nim – jego ojciec, zatrudniwszy mnie, po dwóch miesiącach umarł.

Młody Brodzky był zakochany po uszy, lecz dziewczyna była aryjką. Właśnie dlatego stary Brodzky pragnął go wyprawić do *college'u*. Podobnie jak większość Żydów jego pokolenia sprzeciwiał się usilnie małżeństwu syna z aryjką; wszystko natomiast wskazywało na to, że tych dwoje pozostawionych samym sobie doprowadzi niechybnie

Odnalezione opowiadanie Williamsa, napisane w latach 1930-31 i opublikowane po raz pierwszy w *Tennessee Williams: Collected stories*, Secker & Warburg, London 1987.

do ślubu. Chłopak stale z nią przebywał. Nie miał innego towarzystwa. Razem się wychowali, przez całe dzieciństwo bawili się we dwójkę na tych samych schodach przeciwpożarowych z tyłu domu: można by rzec, iż dosłownie w siebie wrosli.

Wcale nie byli podobni. Istniała między nimi, rzecz jasna, typowa różnica dwóch ras – krwi galijskiej i krwi hebrajskiej – porównywalna nieledwie z różnicą między słońcem a księżycem. Ale nie tylko to ich dzieliło, także całkowita odmiennosc charakterów. On był, jak już mówiłem, nieśmiały, uduchowiony i pełen zadumy, ona zaś istny trzpiot – pełna zwierzęcej energii, życia i wigoru.

Pomimo to bardzo się od dziecka kochali. Jemu pewno doskwierała samotność, o nią z kolei nikt inny się nie troszczył.

Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, była piękną, atrakcyjną dziewczyną. Jej ciało stanowiło jak gdyby doskonałe odbicie jej ducha. Tchnęło jasnością i ciepłem. Najpiękniejszy jednak miała głos. Wieczorami często śpiewała mu tak urzekająco cudnie, że choćbym był najbardziej zajęty czy zasluchany, nie mogłem się oprzeć słuchaniu.

\* \* \*

Zastąpiłem więc młodego Brodzy'ego jako pomocnik jego ojca, a chłopca wysłano do college'u, lecz niedługo potem starszy pan zachorował. Pani Brodzy posłała niezwłocznie po syna, ale nim zdążył wrócić, zapalono już rozwidlone świece i w mieszkaniu nad księgarnią rozległy się żalobne zawodzenia. Stanowczość pani Brodzy nie dorównywała stanowczości jej męża. Chłopak odmówił powrotu do college'u i nim minął miesiąc, pobrał się z dziewczyną i zamieszkali razem w pokojach na górze. Wtedy to rozpoznać się tragiczny dramat, którego przez piętnaście lat byłem świadkiem.

Natychmiast dał znać o sobie konflikt charakterów. równie silny jak ich dotychczasowa więź. Dziewczyna nigdy nie miała nic przy duszy. Niewykluczone, że w dzieciństwie nierzadko odczuwała niedostatek jedzenia i przyodziewku. Można by sądzić, że powinien ją zadowolić status żony właściciela nieźle prosperującej księgarni. Była z niej jednak nad wyraz energiczna i ambitna dziewczuszka. Pragnęła więcej, znacznie więcej niż mogła jej dać skromna księgarnia. Poczęła zatem molestować męża, żeby sprzedał sklep i wziął się za bardziej intratny interes. Nie rozumiała, jak dalece jest to nierealne. Chociaż знаła go od tak dawna, nie pojmowała, że taki marzyciel jak on nie znajdzie dla siebie lepszego miejsca niż księgarnia. On zaś widział to nader wyraźnie. Bał się po prostu wszelkich zmian. Uwielbiał mroczne schronienie własnego sklepiku – uwielbiał je zupełnie tak samo jak ja. Stąd więc, chociaż obaj nie byliśmy zbyt towarzyscy, połączyła nas silna nić sympatii. Żywiliśmy podobną nienawiść do zgiełku ulicza progiem księgarni.

Ona jednak nie ustępowała; skupiła całą swą olbrzymią energię na walce z nim. Chłopak znalazł w dziedzictwie swojej rasy moc, żeby przeciwstawić się żonie. I oto, co się jej w niespełna rok przytrafiło. Poznała gdzieś impresaria teatryku wodewilowego, który odkrył jej czarowny głos i roztoczył przed nią możliwości wykorzystania go w teatrze. Opowiadał jej zapewne mnóstwo rzeczy, aż w końcu dała się tak bez reszty ponieść nadziejom, że postanowiła rzucić męża.

Chyba nie dość jasno wyłożyłem, jak bardzo ten młody chłopak kochał swoją żonę. Jego uczucie kryło w sobie coś więcej niż typowe żydowskie zaślepienie własną połowicą. Miłość do niej stanowiła sedno jego życia. Taka miłość niesie zwykle niebezpieczeństwo. Utrata ukochanej osoby równa się utracie życia. Rozsypuje się ono w proch. I tak

się właśnie stało z życiem młodego Brodzky'ego, kiedy jego żona odeszła z trupą wodewilową.

Powiniem wam opisać dokładnie, jak od niego odeszła.

Pewnego ranka, po rozmowie, jak mniemam, z impresariem teatryku wodewilowego, wpadła do sklepu i wezwała męża, który rozpakowywał właśnie nową dostawę książek. W jej głosie pobrzmiwała histeryczna nuta, a ona sama trzymała się jedną ręką za szyję, jakby ją ktoś dusił.

Z jej tonu można byłoby wnosić, że oboje mają za sobą straszliwą awanturę. Spadło to jednak na niego jak grom z jasnego nieba – w każdym razie z nieba, które nie było zasnuwane chmurami bardziej niż zwykle.

Oświadczyła mu:

– Moja cierpliwość wyczerpała się do cna. Dłużej nie wytrzymam. Bez przerwy ci to powtarzałam, ale na próżno. Trafia mi się wspaniała szansa i mam z niej zamiar skorzystać. Wybieram się do Europy z teatrem wodewilowym.

Zrazu chłopak nie powiedział nic, patrzył tylko, jak gdyby całe życie z niego uszło, a gdy skoczyła po schodach na górę do części mieszkalnej domu, powiódł za nią nie rozumiejącym wzrokiem. Pamiętam, że dziwnym zrzędzeniem trzymał w rękę książkę w czerwonej oprawie o zabawnym tytule *Zakochani głupcy*, której owego sezonu sprzedałmym kilkaset egzemplarzy. Pomimo prawdziwie tragicznej chwili z trudem powstrzymywałem uśmiech na widok groteskowej trafności tych tytułowych słów wobec zdumienia i bezradności malującej mu się na twarzy.

Kiedy zeszła na dół, chłopak jakby wreszcie zrozumiał, co się dzieje.

– A więc odchodzisz? – spytał bezbarwnym tonem.

Przytaknęła. Wtedy sięgnął do kieszeni i wręczył jej ciężki czarny klucz. Był to klucz do drzwi frontowych sklepu.

– W takim razie weź go – powiedział nie zmaconym nadal głosem – bo pewnego dnia ci się przyda. Twoja miłość nie ustępuje tak bardzo mojej, żebyś mogła od niej uciec. Kiedyś wrócisz, a ja będę czekał.

Chwyciła go w ramiona, ucałowała i ciężko dysząc wybiegła ze sklepu. Stojąc w mrocznym wnętrzu, patrzyliśmy w ślad za nią. Staliśmy tak razem i spoglądaliśmy na ulicę, do której obaj żywiłmymy nienawiść i lęk: na ulicę gwarną życiem, zalaną słonecznym światłem, która radowała się poniekąd złośliwie, że udało się jej zagarnąć w swój wartki strumień wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość dla człowieka stojącego u mojego boku.

\* \* \*

Przez najbliższe miesiące i lata byłem świadkiem czegoś, co było chyba gorsze od śmierci. Jak już mówiłem, stanowiła sedno jego życia. Po jej odejściu chłopak dosłownie się rozsywał. Z początku myślałem, że popadnie w całkowite, straszliwe szaleństwo. Chodził jak błędny krętymi przejściami wśród regałów, pojękując cicho i trąc nieustannie poły marynarki. Klienci rzucali mu zdziwione spojrzenia i czym prędzej zmykali ze sklepu. Usiłowałem go przekonać, żeby lepiej nie schodził z góry, ale nic z tego. Pewno nie mógł tam wytrzymać; część mieszkalną przepelniała dręcząca pamięć o niej. Kilka pierwszych nocy spędził razem ze mną w zajmowanym przeze mnie pokoju na zapleczu. Nie zmrużył oka. Mnie też nie dawał spać, bo ustawicznie coś mamrotał – wszystkie słowa padały pod jej adresem. Najczęściej powtarzał: „Kochasz mnie i pewnego dnia wrócisz”.

Widząc, że mu to nie przechodzi, posłałem po jego matkę, która wyprowadziła się wcześniej stamtąd i zamieszkała z dalszymi krewnymi. Matka trochę go uspokoiła. Wkrótce potem wpadł w nałóg czytania.

Wpadł w nałóg czytania tak jak kto inny sięgnąłby po alkohol lub po narkotyki. Czytał, żeby uciec od rzeczywistości. Zagłębiając się w lekturach osiągnął wreszcie zamierzony cel z potwornym skutkiem.

Siedząc za wielkim biurkiem na zapleczu księgarni, całymi dniami czytał, aż mu się oczy zamykały ze zmęczenia. Jego matka i ja usiłowaliśmy go pobudzić do życia, nakłonić do obsługi klientów, do rozpakowywania i ustawiania książek, nie tyle dlatego, że jego pomoc była niezbędna, ile dlatego, że w naszym odczuciu takie zajęcia mogłyby mu wyjść na dobre. Przejawiał nawet chęć, żeby coś robić, tyle że stał bezradny jak osesek. To wieczne czytanie przyćmiło mu umysł. Nie potrafił spamiętać tytułów książek. o które go pytano. Rozglądał się tylko w głupawym oszołomieniu, jak gdyby ledwo co się ocknął z głębokiego snu.

Miałem nadzieję – zacząłem go bowiem darzyć wielkim współczuciem i sympatią – że to tylko stan przejściowy. Jednakże mijały miesiące i lata, a on się nie mógł otrząsnąć. Najwyraźniej przepadł z kretesem – był jak wypalona świeca. Żadnej nadziei, że uda się go ponownie ożywić. Chyba że ona do niego wróci. Ale nawet wtedy – nawet gdyby wróciła – mogłyby być już za późno.

\* \* \*

Młoda pani Brodzky wróciła do księgarni blisko piętnaście lat od chwili wyjazdu za granicę z trupą wodewilową. Był wieczór w połowie grudnia; zapadł już zmierzch, ale ludzie zajęci przedsięwzięciami sprawunkami nadal kręcili się po mieście.

Księgarnia była zamknięta, wszystkie światła wygaszone, tylko na zapleczu paliła się jedna jedyna żarówka wisząca nad biurkiem, przy którym czytał Brodzky. Stałem koło drzwi, przyglądając się z zaciekawieniem korowodowi przechodniów. Do krawężnika podjechał elegancki samochód z szoferem i z tyłu wynurzyła się kobieta otulona futrem. Akurat nad samochodem paliła się latarnia uliczna, toteż gdy kobieta zwróciła twarz w kierunku sklepu, natychmiast poznałem, że to ona.

Z przedziwnym uczuciem trwoży czmychnąłem spod drzwi i ukryłem się niejako wśród cienistych regałów. Kobieta podeszła do księgarni, utworowawszy sobie dziarsko drogę przez tłum zakupowiczów. Z wyglądu nic a nic się nie zmieniła: sądząc z twarzy i z ruchów ciała, podkreślanych ostrym światłem latarni, była równie żywotna jak niegdyś. Zastanawiałem się, po co wróciła. Czyżby wypełniła się przepowiednia jej męża i ona sama po piętnastu latach pojęła, że nie da rady uciec od tak silnej do niego miłości?

Już miałem się zmusić, przełamując wszelkie opory, żeby podejść do drzwi i ją wpuścić, kiedy zazgrzytał klucz w zamku. Nadal go miała – klucz, który dostała od męża owego ranka przed piętnastu laty!

Po chwili otwarły się z impetem drzwi i już stała w słabo oświetlonym sklepie. Słyszałem jej przypieszony oddech. Powiodła dokoła roziskrzonym wzrokiem, ale jakoś nie dojrzała mnie, skulonego bezsensownie w kącie między regałami. Widziałem, że jest nadzwyczaj podniecona. Dłonią ubraną w rękawiczkę trzymała się za szyję, zupełnie tak samo jak tego ostatniego ranka – jakby ją ktoś dusił.

Przez te piętnaście lat od jej odejścia sklep niewiele się zmienił: doprawdy tak niewiele, że trudno jej było zapewne uwierzyć, iż rzeczywiście minęło tyle lat. Musiało jej się to wydać zgoła niewiarygodne, niczym fantastyczny sen. Pomrok, dziwaczne cienie zawalonych książkami stołów i półek, zapach papieru, stłumione odgłosy zatłoczonej ulicy – zapewne przypomniały jej z całą wyrazistością owe zimowe wieczory przed piętnastu laty, kiedy schodziła z mieszkania na górze pomóc mężowi zamknąć sklep.

Czuła się pewnie jak ktoś, kto dosłownie wstępuje z powrotem we własną przeszłość.

Przycisnęła małą chusteczkę do ust, jak gdyby z największym wysiłkiem starała się pohamować. Niemal bezszelestnie postąpiła krok naprzód. I wtedy go chyba dostrzegła, siedzącego za biurkiem. Wystawał mu tylko czubek głowy, reszta była schowana za wielką książką. Włosy, gęste, granatowoczarne, nie rozczesane, widać się lśniąco w świetle żarówki. Z raptownym przerażeniem uświadomiłem sobie, że dla niej jego wygląd niewiele się zmienił. Przez te piętnaście lat właściwie się nie postarzał; był widocznie tak bardzo wyzuty z życia, że czas się go nie miał.

\* \* \*

Powiedziałem sobie, że muszę do niej wyjść, żeby ją przygotować na to, co ją czeka. Coś mnie jednak powstrzymało, nie ruszyłem się ze swojej kryjówki między regałami. Patrzyłem, jak wolno podchodzi do biurka; sam niemal czułem intensywność emocji. W niemożliwy do wytrzymania sposób udzieliła się jakby i mnie.

Często zachodzę w głowę, co też sobie myślała, kiedy stanęła przez biurkiem i spojrzała z góry na mężczyznę, którego przed piętnastu laty kochała jako swego męża miłością tak namiętną. Mogła ją zdeprymować ta osobiwa pasja, z jaką czytał, bo najwyraźniej jego koncentracji nie rozproszył ani odgłos jej wejścia, ani kroki skrzypiące głośno po wiekowych deskach podłogi. Była jednak pewnie nazbyt przepojona radością i niejakim lękiem, żeby o czymkolwiek myśleć.

Oстрыm, drżącym głosem zawołała go po imieniu:

– Jacob!

Poderwał głowę i mrugając oczyma spojrział w jej stronę. Chwile wlokły się nieznosnie powoli, gdy tak patrzyłem z boku, jak tych dwoje wpatruje się w siebie.

Sądziłem, że ona rzuci się do niego z krzykiem; bardzo by mi to do niej pasowało. Wszakże otepienie, całkowity brak rozpoznania w jego wzroku musiał ją powstrzymać. Co mogła sobie myśleć? Czyżby uznała, że on jej rozmyślnie nie poznaje? Czy też wyobraziła sobie, że przez te piętnaście lat tak się zmieniła, iż stała się dla niego obcą osobą?

Kiedy pomyślałem, że powietrze rozerwie się chyba zaraz od tego napięcia, przemówił.

Przemówił do niej tym swoim pustym, rozedrganym już od tak dawna głosem, w te słowa:

– Pani sobie życzy książkę?

Uniosła dłoń w rękawiczkę do szyi i wydała krótki jęk. Bardzo mi odpowiadało, że stoi tyłem do mnie, bo nie musiałem oglądać jej twarzy. Chwile udręki wlokły się nadal, a ci dwoje wciąż się sobie przyglądali. Wreszcie doszła chyba do pewnego wniosku: uznała mianowicie, że owe piętnaście lat odcisnęło na niej znacznie większe piętno niż

na nim i zmieniło ją do niepoznaki. Tak czy owak, wróciło jej opanowanie. Cała się rozluźniła, odjęła rękę od szyi.

– Pani sobie życzy książkę? – powtórzył.

– Nie... to znaczy... szukałam pewnej książki, ale zapomniałam tytułu – wybąkała.

Zapewne na widok jego wytrzeszczonych oczu nie umiała rzucić tak nagle: „Jestem Lila. Wróciłam do ciebie” i uchwyciła się tego pretekstu, że przyszła po książkę, aby przypomnieć mu się nieco mniej raptownie i niezręcznie.

Usiadła na taborecie tuż przed biurkiem i powiedziała:

– Proszę posłuchać tej historii, może ją pan czytał i poda mi pan tytuł. Jest to opowieść o chłopcu i dziewczynie, którzy od dziecka nie rozstawali się ze sobą. Chcieli na zawsze pozostać razem. Ale chłopak był Żydem, a dziewczyna aryjką. No i ojciec chłopaka bardzo się sprzeciwiał jego małżeństwu z kimś spoza rasy. Posłał go więc do *college'u*. Tyle że wkrótce potem ojciec umarł, syn wrócił i zaraz się z dziewczyną ożenił. Mieszkali razem w kilku pokojach nad małą księgarnką, którą ojciec zostawił chłopcu. Pewno byłiby niestychanie szczęśliwi, gdyby nie jedno – sklep zapewniał im ledwie utrzymanie, a dziewczyna miała spore ambicje. Ubóstwiała tego chłopaka, lecz rosto w niej niezadowolenie, ciągle więc molestowała męża, by się wziął za bardziej lukratywny interes. Chłopak jednak bardzo się od niej różnił. Tak mocno ją kochał, że wszystko by dla niej zrobił – mimo to nie potrafił zrezygnować ze sklepu, który należał przedtem do jego rodziców. Bo chłopak był sentymentalnym marzycielem, dziwnym jak na Żyda. Z kolei dziewczyna nie chciała nijak przyjąć jego punktu widzenia. Jej rodzice – którzy odumarli ją i zostawili z owdowiałą ciotką – pochodzili z Francji. Odziedziczyła po nich niezmożoną werwę, zmysł praktyczny i miłość do świata. Po pewnym czasie impresario trupy wodewilowej wystąpił z propozycją, że wykorzysta jej talent muzyczny na scenie. Zaspiewana oszalałmiającą propozycją kariery teatralnej, zdecydowała się przyjąć ofertę impresaria. Wróciła do księgarni i oświadczyła mężowi, że zamierza od niego odejść. Jego duma nie pozwalała mu uczynić czegokolwiek, żeby ją zatrzymać, wręczył jej zatem klucz do sklepu mówiąc, że kiedyś jej się przyda – i że on zawsze będzie na nią czekał. Jeszcze tego samego wieczoru odpłynęła do Anglii z wodewilowym teatrem. Na scenie w Londynie odniosła wielki sukces. Została słynną śpiewaczką, zjeżdżała wszystkie większe kraje Europy. Prowadziła szalone, ołsniewające życie, toteż czasami bardzo długo w ogóle nie myślała o Żydzie-marzycielu, który był niegdyś jej oddanym mężem, ani o zakurzonej księgarence, co im była domem. Ale zawsze miała przy sobie klucz do księgarni, który mąż wręczył jej owego ostatniego dnia. Jakoś nie potrafiła się z nim rozstać. Ten klucz przywarł do niej jakby za sprawą własnej uporczywej woli. Z wyglądu był to dziwny, staroświecki klucz – ciężki, długi, czarny. Przyjaciele wyśmiewali ją, że zawsze go nosi przy sobie, a ona śmiała się wraz z nimi. Pomału jednak zaczęła pojmować, dlaczego wciąż go trzyma. Blask nowości, jakimi zapełniła sobie życie, przybladł, jął rzednąć niczym mgła, i wtedy dojrzała, że prześwieca zza niego prawdziwe, trwałe piękno tego, co zostawiła za sobą. Wspomnienia męża i ich wspólnego życia w księgarence nawiedzały ją coraz wyraźniej i coraz bardziej boleśnie. W końcu zrozumiała, że pragnie wrócić – chciała sama sobie otworzyć drzwi księgarni kluczem, który chowała przez te piętnaście lat, i stwierdzić, że mąż nadal na nią czeka, tak jak jej to przyrzekł.

Kobieta wstała z taboretu; drżała na całym ciele, aż się musiała przytrzymać biurka. Zdarzają się chwile bezruchu – dławiąco pełne. Kiedy kobieta znów się odezwała, w jej głosie brzmiała nuta przestachu. Najpewniej zaczęła sobie uświadamiać, co tu zaszło – co dotknęło mężczyznę, który był niegdyś jej mężem.

– Na pewno pamiętasz, musisz pamiętać historię Lili i Jacoba!...

Wpatrywała się rozpaczliwie w jego twarz, lecz nie znalazła w niej nic prócz zakłopotania. W końcu przemówił:

– Z czymś mi się ta historia kojarzy. Chyba ją gdzieś czytałem. Zdaje mi się, że to coś z Tolstoja.

\* \* \*

Z ukrycia między regałami dosłyszałem ostry metaliczny dźwięk, zapewne brzęk klucza upuszczonego na podłogę. Następnie dobiegł mnie stukot jej kroków w labiryncie stolów i pótek. Chyba śpieszno jej było w tym ślepym szale wydostać się stamtąd. Zaciskałem powieki – nie śmiałem oglądać jej twarzy ani przerażenia, jakie musiało się na niej malować – aż zamknęły się za nią drzwi. Kiedy otworzyłem oczy, mężczyzna w głębi pokoju znów miał twarz zasłoniętą wielką książką, powrócił do czytania w swej codziennej, przeraźliwej ciszy. Żona do niego wróciła i po raz wtóry odeszła, wszystko znów było po staremu, aż trudno uwierzyć, może bym więc całe to zdarzenie uznał za fantastyczny sen, gdybym nie widział leżącego na podłodze ciężkiego, czarnego klucza do księgarni.

*Przełożyła Anna Kołyszko*

## Książki polskie w dużym wyborze

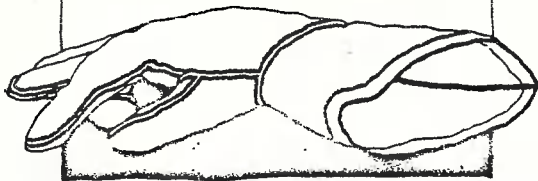
Proza · Dramaturgia · Poezja · Wspomnienia  
Dzienniki · Biografie · Literaturoznawstwo  
Polityka · Historia · Filozofia · Religia  
Sztuka · Literatura dziecięca · Czasopisma  
Słowniki · Podręczniki do nauki języków obcych  
Slawica Antykwariat



«Wawel» · Stephanstraße 11 · D-5000 Köln 1  
Tel. (0221)-24.61.60

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na każde żądanie





## DAJMY SIĘ POLAKOM POŚMIAĆ

Neal Ascherson

Po pewnej awanturze politycznej, która miała miejsce wiosną, polska prasa określiła mnie jako osobę, „której poczucie humoru rozwinięte jest bardziej niż poczucie rzeczywistości”. Mój przyjaciel Tim Garton Ash, redaktor działu zagranicznego «Spectatora», jest niestrudzonym orędownikiem wolności dla Europy Wschodniej, doskonale przy tym zorientowanym w temacie. Czytając jednak jego apel na rzecz prenumerowania «Spectatora» dla odbiorców polskich\* miałem wrażenie, że to jego poczucie humoru przeważało nad poczuciem rzeczywistości.

Czytelnicy pisma proszeni są o wypełnienie formularza, deklarując swą gotowość opłacenia subskrypcji: mogą podać nazwisko i adres osoby, dla której chcą zaprenumerować tygodnik, lub pozostawić wybór „potencjalnych odbiorców do rozpatrzenia z pomocą Jagiellonian Trust i Stefan Batory Trust, dwóch brytyjskich organizacji charytatywnych powołanych do wspierania tego co najwartościowsze w polskim życiu kulturalnym i naukowym”. Czytelnicy opłacać mają w tym szczególnym przypadku połowę kosztów prenumeraty. Zastanawia mnie, kto ma płacić resztę – chyba że «Spectator» siedzi na zyle złota.

Prawo do żartu to rzecz święta i nikt bardziej go nie chroni niż Polacy. Mówi się – ile w tym prawdy, nie wiem – że pierwszym sklepem, który wznowił działalność w zrujnowanej Warszawie 1945 roku, była nie garkuchnia czy piekarnia, ale kapelusznik. Wyobrażam sobie efekt, jaki może dziś dać kartkowanie «Spectatora» w kolejce do jakiegoś krakowskiego sklepu. Ale co może dać zawartość?

Mieszkam w Londynie, w południowo-wschodniej części Anglii, i należę do klasy średniej. Znaczy to, że potrafię zrozumieć większość aluzji w tekstach «Spectatora» – większość, ale nie wszystkie. Gdybym miał wynieść się z tej zapatrzonej w siebie, małej snobistycznej prowincji – co, mam nadzieję, wreszcie zrobię – zamieszczane w tym piśmie przeglądy lokalnych plotek i opinii stałyby się dla mnie niezrozumiałe i straciłyby znaczenie.

W numerze przynoszącym wspomniany apel znalazłem trafną i przenikliwą korespondencję Richarda Bassetta nadesłaną z Czarnogóry oraz napisaną przez Williama Deedesa recenzję biografii Macmillana pióra Alistaira Horne'a. Każdy inteligentny Europejczyk przeczyta oba teksty z uznaniem. Tu jednakże, by tak rzec, kończy się perski dywan, a zaczyna linoleum. Co bowiem można jeszcze znaleźć w tym numerze? Sylwetkę

\* «Spectator», 15 października 1988. Cena tej specjalnej prenumeraty wynosi £30.25.

Davida Harta, którego rozszyfrowanie ma ułatwić określenie „Jeffrey Archer szkoły Eton”. Rozszerzony „wykaz nadużyć wobec konsumenta” Kingsley’a Amisa. Perwersyjny doprawdy w swej ekscentryczności artykuł udowadniający rozwlekłe, iż wszelkie próby ograniczenia prawa obywateli do posiadania broni wywodzą się z nazistowskich Niemiec. Rozliczne mniejsze i większe artykułiki o pani Thatcher, pisane przez „świadomych rzeczy” autorów, wymagające jednakże do ich odcyfrowania znajomości londyńskiej fiskalno-seksualnej giełdy plot. Paula Johnsona (tym razem w nie najlepszej formie) walującego temat hoteli w Blackpool. „High life”, czyli cotygodniowy felieton Takiego i „Low life”, felieton Jeffrey’a Bernarda.

Pochłaniam żarliwie pisanie Bernarda, ale jaki z niej pożytek dla Z., profesora teologii KUL? O „radosnej prozie życia” może się nazytać w lokalnej prasie; od brytyjskiego periodyku spodziewa się faktów, nowych ocen i interpretacji.

«Spectator» to uciecha – jeśli, oczywiście, skończyło się elitarną szkołą angielską. Można mniemać, że jego lektura jest objawieniem dla tych, którzy przez lata byli zdania, że brytyjski proletariatus jest wulgarny, źle pachnie i cechuje go chciwość, ale nigdy nie odważyli się nawet pomyśleć, iż zobaczą podobne opinie w druku. Czy jest to jednak ta właśnie biesiada duchowa, której tak łakną Polacy? Czy aby nie mamy znów do czynienia z kimś, kto sugeruje jedzenie ciastek tłumowi odstepującemu z pustymi rękoma od piekarni?

Swego czasu dostałem broszurę Jagiellonian Trust, wyjaśniającą, iż jednym z jego głównych celów jest zaopatrywanie polskich intelektualistów i organizacji naukowych w myśl „konserwatywną”. Mogę się osobiście obejść bez dzieł Irvinga Kristola, Normana Podhoretza, Friedmana i im podobnych (choć Hayek i nasz Roger Scruton są godni poznania). Polaków jednak pociągają ogromnie wszelkie antykomunistyczne i neokonserwatywne lektury. Nikt nie powinien odmówić im prawa do ich lektury. Sami, w odpowiednim czasie i we właściwy sposób, dokonają oceny, co ma wartość, a co nie. Rozprowadzanie «Spectatora» niesie wszakże ryzyko całkowitego obrzydzenia ludziom idei konserwatywnych.

To «Spectator» właśnie – a może sam Auberger Waugh\* – ukuł określenie „pilgerizm”\*\*. Oznacza ono żarliwe do utraty tchu, „przegadane” zainteresowanie upośledzonymi tego świata. (W „salonach” londyńskich wszelkie natężone wyrazy podobnego zainteresowania są nieodparcie śmieszne.) Trzymając się tego konceptu, chcę powiedzieć coś zdecydowanie „pilgerowskiego”: dajmy sobie spokój ze «Spectatorem». Zapewnijmy Polakom prenumeratę «British Medical Journal», wyślijmy im wszystkie zaprzeszłe, leżące w poczekalniach rozmaitych gabinetów i przychodni numery tego i innych pism medycznych, poprośmy Medical Aid for Poland\*\*\* o adresy szpitali i lekarzy, którzy mieliby otrzymywać te dary.

Dla profesora Z. zaprenumerujmy «Blackfriars», ten doskonały periodyk dominikańców, któremu w przenikliwości oceny rządów Margaret Thatcher ledwo dorównują

\* Jeden z czołowych współpracowników pisma.

\*\* John Pilger, lewicowy dziennikarz brytyjski. ↗

\*\*\* Polsko-angielska organizacja charytatywna, zajmująca się m. in. wysyłaniem do Polski transportów ze sprzętem medycznym i lekarstwami.

niektóre pisma lewicy. Rolnikom wysyłajmy literaturę rolniczą. Intelktualiści skorzystają z «The New York Review of Books», a ekonomiści z któregośkolwiek z licznych periodyków poświęconych zagadnieniom kierowania gospodarką i rozwoju komputeryzacji. Wysyłajmy im gazetę, która omawia wydarzenia światowe szeroko i krytycznie – dla przykładu «The Observer».

A może Thatcher spróbuje w czasie swej wizyty w Polsce rozwikłać tę zagwozdkę wzięwszy pod pachę plik brytyjskiej prasy, by szerokie rzesze czytelników polskich same mogły dokonać wyboru – nie wygląda wszak na to, aby miała wieść coś więcej. Są wśród nas, tu na Zachodzie, tacy, którzy podejmowali próby (jeszcze nim wizyta została odroczona po raz pierwszy) rozpropagowania owej nęcącej wizji „planu Thatcher”, nowego Planu Marshalla, w ramach którego bogaty Zachód użyłby swoich zasobów do wyciągnięcia tego jednego państwa „tamtej Europy” z grzęzawiska. Próbnny balon nigdy nie oderwał się od ziemi. Ale – Hans-Dietrich Genscher, zachodniemiecki minister Spraw Zagranicznych, nawołuje teraz głośno do opracowania planu pomocy dla Europy Wschodniej i do udzielenia przez zachodnie banki ogromnych pożyczek dla sfinansowania gorbaczowskiej *pieriestrojki*. Brytyjczycy, a nawet sami Amerykanie twierdzą jednak, że akcja taka byłaby „niestosowna i niepotrzebna”, pozbawiona tak politycznego jak i ekonomicznego sensu.

Margaret Thatcher powinna tym niemniej dostarczyć Polakom choć jednej rozrywki, jeśli już nie bierze grubej forsy. Sugeruję, aby zamiast «Spectatora» powiozła do Warszawy następującą koncepcję polityczną: Polska, katastrofalnie zadłużona wobec Zachodu, szuka równocześnie dróg w kierunku demokratyzacji ustroju. Proponowano przywrócenie Senatu i wolne do niego wybory. Jest rzeczą jasną, że problemy te wymagają wspólnego rozwiązania – co można osiągnąć przez powołanie do Senatu zachodnich bankierów, wybranych w wolnych i nieskrepowanych wyborach przez społeczeństwo Polski.

Mandat przedstawiciela Górnego Śląska na przykład byłby przedmiotem zażartej walki pomiędzy kandydatami z Royal Bank of Scotland, Dresdner Bank, Morgan Grenfell i Crédit Lyonnais. Wspólny program wyborczy Allied Irish Bank i Banco Ambrosiano okazałby się, utrzymuję, zwycięski w regionie świętokrzyskim, pozostawiając kandydatów National Westminster Bank i Société Générale z garścią zaledwie głosów. Tym prostym sposobem zachodnie kapitały będą zabezpieczone, potrzeba demokracji w Polsce zaspokojona i przetarta zostanie droga dla nowych pożyczek, kontrola nad którymi byłaby tym razem nieporównywalnie prostsza. Pani im pokaże, pani T.!

## RECENZJA RECENZJI

### Bogdan Deryng

Obu autorów – książki i recenzji – znam osobiście.

Jestem pełen podziwu dla mrówczej pracy inż. Z. Siemaszki, jaką włożył w zebranie materiałów i wydanie książki „Narodowe Siły Zbrojne”, pierwszego większego opracowania na ten temat (wyd. w 1982 r.).

Płk. Bohun-Dąbrowski jest dla mnie uosobieniem cnót dowódcy, wychowawcy, żołnierza i partyzanta. On jeden potrafił spełniać zalecenia Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego, i wyprowadził z Kraju w pełni zorganizowaną i uzbrojoną (w broń zdobyczną) brygad partyzancką. Lawirując między lawiną posuwającej się ostatecznej ofensywy sowieckiej a cofającą się armią niemiecką: nie skapitulował; uniknął strat własnych; nie zgodził się na żadne zabiegi niemieckie o wojskową współpracę; nawiązał przyjazne kontakty z podziemiem czeskim; zorganizował drogę przerzutową dla kurierów i uchodźców z Polski przez Czechy do Włoch i do Londynu; uwolnił obóz koncentracyjny w Holiszowie; zakończył wojnę walcząc z Niemcami u boku Trzeciej Armii Amerykańskiej.

Potrafił działać bagnetem i fortem.

Nie wiem, dlaczego autor recenzji stara się książkę Bohuna-Dąbrowskiego zbagatelizować i zakwestionować, a jego samego, wspiąwszy się na palce, poklepać po ramieniu.

Mowa tu o recenzji pt. „Relacja dowódcy Brygady Świętokrzyskiej” w «Zeszytach Historycznych» nr 95 (1986) pióra inż. Z. Siemaszki na temat pamiętników A. Bohuna-Dąbrowskiego „Byłem dowódcą Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych”. Właśnie – na ten temat ... na (ok.) trzy strony druku niestety tylko niewiele więcej niż połowa – środek – zajmuje się książką pod względem formy i treści. Cała reszta to tematy ciekawe, lecz z książką mało związane: o samych pamiętnikach dowiadujemy się stosunkowo niewiele – poza powątpiewaniem w prawdziwość niektórych faktów.

Wywody inż. Siemaszki otwiera próba przeciwstawienia sobie dwóch różnych postaw w Kraju wobec nadchodzących wojsk sowieckich. Jedna, to wyjazd 16-tu przywódców partii politycznych do Moskwy na spodziewaną konferencję z rządem sowieckim oraz ujawnienie się oddziałów AK wobec wschodniego okupanta. Druga postawa, to wyjazd na Zachód ludzi specjalnie zagrożonych, w tym czołowych ludzi „Grupy Szańca”, oraz wycofanie się z Kraju partyzanckiej Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Można by jeszcze dodać: rozkaz rozwiązania się i wejścia w podziemie pozostających w Kraju oddziałów NSZ.

Przeciwstawienie słuszne. Bowiem postawa pierwsza była wyrazem nieskończonej naiwności graniczącej z chęcią samobójstwa, podczas gdy druga była zdrowym przejawem poczucia konieczności zachowania życia i w jak najszerszym zakresie ratowania polskiego elementu. Nawiasem mówiąc, istniały plany wyprowadzenia z Kraju na Zachód kilku takich, jak Świętokrzyska, brygad (co okazało się zgodne z dyrektywami Naczelnego Wodza dla podziemnego wojska), lecz koncentracje ich udaremnił niestety zbyt szybki zalew sowiecki.

\* Dr Kazimierz Głuziński opuścił Kraj dopiero na wiosnę 1946 r.  
Jerzy Illakowicz nigdy nie był członkiem ONR.

Nawet uciekające panie w jaskrawych kapeluszach nie zdołają ośmieszyć tej drugiej postawy.

Autor recenzji nie wyjawia otwarcie swojej własnej opinii na ten temat, lecz niechybnie podziela punkt widzenia „uciekających” przed groźbą sowiecką, gdyż nie przeczyłby przecież swoim własnym słowom wypowiedzianym w pracy „Narodowe Siły Zbrojne” na str. 193: „.... w najważniejszych sprawach (powstanie i szukanie *modus vivendi* z ZSSR) środowisko narodowo-radykalne wykazało więcej przezorności, niż reprezentujące ogół społeczeństwa AK...”

Myli się natomiast gruntownie w ocenie nastrojów polskiego społeczeństwa w tym okresie – sam nie był w Kraju, a otrzymane informacje najwyraźniej okazały się nieścisłe. Nie było potępienia dla uchodzących na Zachód, ani poczucia wstydu uchodzących. Przeciwnie. Ogół zdrowego społeczeństwa żył pod hasłem „uciekaj, kto w Boga wierzy, bo oni (sowieciarze) nie wierzą” i bardzo wielu ludzi z różnych środowisk starało się z Kraju wydostać choćby nawet za pomocą „brank” na roboty do Niemiec. Oczywiście z wyjątkiem środowiska komunistycznego, i jeśli byli jakies „potępienia”, to stamtąd musiały się wywodzić.

Nie usiłujmy insynuować polskiemu społeczeństwu skrajne, głupoty. Robią to za nas inni.

Wyjście na Zachód Brygady Świętokrzyskiej NSZ w tej formie, w jakiej to miało miejsce, było wielkim osiągnięciem, co recenzent stwierdza i przyznaje. Można jeszcze dodać, że była to jedyna formacja wojskowa Polski Podziemnej, która potrafiła uratować parę tysięcy ludzi zamiast ich bezsensownie wytracić.

Szkoda tylko, że recenzent wartości tego osiągnięcia pomniejsza, nie dając pełnej wiary niektórym słowom autora pamiętnika. A nie posiada dowodów na to, że było inaczej. Takiego „podważania” zawsze bać się i unikać będzie historyk. Bezdowodowe domysły i sugestie – to dopiero „fryzowanie” historii!

W głowie się nie może na przykład pomieścić recenzentowi, w jaki sposób Brygada mogła przez trzy miesiące być żywiona przez miejscową ludność czeską bez pomocy ze strony Niemców. Albo, że regularnego żołdu, butów i umundurowania żołnierze Brygady w czasie przemarszu nie otrzymywali. Niemożliwe? A jednak! Może i jest to jedyny taki wypadek w historii XX wieku, jak z niedowierzaniem sugeruje inż. Siemaszko, ale wypadek prawdziwy i potwierdzony przez wielu rybagodców. Inny natomiast, prawdziwszy, można wyciągnąć tu wniosek: jak wiele potrafili ci ludzie znieść tej ciężkiej mroźnej zimy, aby tylko nie dostać się w ręce.... „sojuszników naszych sojuszników”!

Płk. Bohun-Dąbrowski pamięć ma doskonałą. I nie ma nic do ukrycia. Książkę swoją określił w podtytule: „pamiętnik dowódcy – świadectwa żołnierzy – dokumenty”, objaśniając z góry jej zawartość. Przez część pamiętnikarską przewijają się wspomnienia, od dzieciństwa poprzez służbę w armii polskiej, wojnę, okupację i wypadki w Polsce Podziemnej, partyzantkę, stworzenie i wyjście na Zachód Brygady (32 str. na 196) pobyt we Francji, aż po wyjazd do USA w latach 50-tych. Nie sili się na oryginalność, jest prawdziwy, rzetelny, szczery. Fakty z „pierwszej ręki”, włączając w to świadectwa żołnierzy i dokumenty, uczyniły książkę Bohuna-Dąbrowskiego źródłem historycznym. Co więcej, szereg tych samych faktów, mozolnie rozpracowanych i skomentowanych (napewno również rzetelnie, lecz niezawsze trafnie) już uprzednio przez recenzenta w książce o NSZ, po uważnym przeczytaniu pamiętników Bohuna-Dąbrowskiego nabiera

innej barwy i znaczenia. Skąd więc to rozczarowanie u recenzenta, że niczego nowego się nie dowiedział?

Zapytałbym: czego chciał się dowiedzieć? Jego wywody robią wrażenie, że czyhał na coś, że za wszelką cenę chciał w książce Bohuna-Dąbrowskiego znaleźć coś, co potwierdziłoby jakąś jego teorię. I nie znalazł. Może przez „zemstę” za to rozczarowanie postanowił wystrzelić z działa wielkiego kalibru: określił przemarsz Brygady do Czech „drażliwym okresem współpracy z Niemcami”, o którym dowiedział się zbyt mało, co świadczy tym, że albo Bohun-Dąbrowski nie pamięta szczegółów, albo ich pamiętać nie chce.

To niepoważne. I czas już wreszcie skończyć tą „współpracą z Niemcami”, która pod adresem NSZ powtarza się jak papuzi skrzęk za propagandą sowiecką i PRL-owską.

Co to jest współpraca z wrogiem? Współpraca z wrogiem to aktywne działanie na korzyść wroga, a na szkodę własnego narodu. Innej definicji nie ma.

Brygada Świętokrzyska stoczyła jeszcze ostatnią bitwę z Niemcami na terenie Kraju pod Pogwizdowem k/Żarnowca w dniu 14 stycznia 1945, czyli w przeddzień wyjścia z granic Polski. Armia sowiecka następowała szybko, Niemcy byli właściwie już pobici, choć jeszcze stawiali opór. Brygada, między młotem i sierpem a kowadłem, starała się przez linie niemieckie przebić samodzielnie, lecz przewaga Niemców była jeszcze tak duża, że zmusiła Dowódcę i jego Sztab do pertraktacji z lokalnym dowództwem wehrmachtu. W wyniku Brygada „sprzedała” niemieckich jeńców (zdobytych pod Pogwizdowem) za cenę przejścia przez linie umocnień niemieckich. Sytuacja podobna zdarzyła się jeszcze dwukrotnie. Niemieccy dowódcy odcinków tego frontu, szukając sojuszników i widząc wartość bojową Brygady, proponowali połączenie sił. Wszelkie takie propozycje zostały kategorycznie odrzucone, a na pogrózkę „możemy was zniszczyć” padła odpowiedź „spróbujcie!” Dwa razy jeszcze była Brygada zagrożona ze strony armii niemieckiej, potem, już na terenie Czech, zdobyła niemiecki obóz koncentracyjny w Holi-szowie, z podziemiem czeskim nawiązała ścisły kontakt, a wojnę zakończyła walcząc z Niemcami przy Amerykanach. Oto współpraca z Niemcami!

Obawiam się również, że w świetle powyższych faktów upada z hukiem nieudowodniona niczym teoria, którą lansował inż. Siemaszko w książce o NSZ, że przemarsz Brygady Świętokrzyskiej na Zachód z góry ukartowany był z Niemcami, jeszcze przed jej wyjściem z Kraju. Fakty nie chcą nagiąć się do teorii!

Wszystkie te, podsyktowane koniecznością, negocjacje z oddziałami liniowymi wehrmachtu, Bohun-Dąbrowski cytuję szczegółowo z podaniem dat i treści. Na terenie Czech pośredniczył w tych pertraktacjach kpt. „Tom”, postać do dziś niezupełnie wyjaśniona, który po wojnie meldował się w II Korpusie u płk. Bakiewiczza – szefa Oddz. II i natychmiast dostał nowe instrukcje. Jeśli takie pertraktacje możemy nazwać „współpracą z Niemcami”, to równie dobrze możemy tak określić rozmowy kapitulacyjne KG AK po upadku Powstania Warszawskiego. Z tą różnicą, że AK musiało przyjąć warunki niemieckie, a Brygada negocjowała z pozycji niepokonanej oddziału.

Z takimi określeniami jak „współpraca z wrogiem” należy uważać. Szczególnie, że mogłoby to silnie uderzyć w KG AK za postawę i działanie Armii Krajowej na korzyść sowieckiego okupanta, a na szkodę sprawy polskiej. Jedynie przez wzgląd na ofiarności żołnierzy takiego zarzutu nie formułuje. Co np. należałoby powiedzieć o przebiciu się oddziałów „Góry” z AK-Nowogrodek, które walczyły z oddziałami sowieckimi przy boku Niemców i bronią od nich otrzymaną? Ja osobiście pretensji do nich nie mam.

Pamiętajmy, że w okupowanej Polsce zarówno wywiad AK jak i wywiad NSZ musiały z konieczności mieć kontakty z wywiadem niemieckim (np. Hauptsturmfürer Paul Fuchs). W świecie pracy podziemnej konspiracja, wywiad, kontrwywiad i inne, czasem przedziwne, powiązania – nałożone na siebie – tworzą taką poplątaną siatkę działań i faktów, że wiele z nich skazanych jest często na błędną interpretację (opartą na podejrzeniach i domysłach), część zaś na wieczyste niewyjaśnienie i pozostanie w ciemności.

Wielka szkoda, że inż. Siemaszko nigdy nie znalazł żywego środowiska ONR czy NSZ. Mógłby mieć wówczas znacznie lepsze jego wyczucie.

Do uwag recenzenta „na marginesie”, dotyczących stosunków wewnętrznych w armii polskiej przed 1939 r., chciałbym dodać, że, tak jak w każdym skupisku ludzkim zorganizowanym, dużą rolę odgrywają kontakty osobiste między oficerami, a osobowość dowódcy formuje ich charakter i kierunek myślenia, przynajmniej w dużej mierze. I tak: inne były „duch”, postawa i atmosfera tam, gdzie dowodzili generałowie tacy jak Kleeberg, Podhorski, Szyling, Anders, pułkownicy Oziewicz, czy Epler, a inne pod dowódcami takimi jak generałowie Dąb-Biernacki, Młot-Fijałkowski, czy Wieniawa.

## A R K A KRAKÓW

Rada patronacka: Alain Besançon, François Bondy, Leszek Kołakowski, Melvin Lasky, Norman Podhoretz.

### Wybór z numerów 10-12

W wyborze m.in. szkice poświęcone twórczości Józefa Mackiewicza, Jarosława Marka Rymkiewicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Leopolda Tyrmanda, Milana Kundery; fragmenty ankiety o nacjonalizmie, eseje o Józefie Piłsudskim, Józefie Becku, a także – poezja i proza, dokumenty i recenzje.

### Do nabycia u wydawcy:

Aktis, 42 av. de Wagram, F-75008 Paris.

Przedstawiciel pisma: Wojciech Sikora, 5 rue Dorian, F-75012 Paris.

Str.208, ISBN 2-906354-00-7

Cena egz. z przesyłką FF70, US\$10, pocztą lotniczą FF82, US\$12.

Należność prosimy przysyłać na adres wydawcy międzynarodowym przekazem pocztowym, czekiem lub Money Order wystawionym na konto pocztowe AKTIS CCP PA 24 980 46 Y.

# Włodzimierz Bolecki

## „MAISONS-LAFFITTE, 13 GRUDNIA”\*

Ten zapis w *Dzienniku pisanym nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego jest w całości taki:

„*Maisons-Laffitte, 13 grudnia*  
Ani słowa. Prócz daty. ani słowa”.

Lakoniczność tego zapisu jest szokująca. Wystarczy przypomnieć narracje innych autorów zanotowane pod tą samą datą. Każda z nich wydaje się być nieskończenie bogatsza. Każda była bowiem próbą odpowiedzenia na pytania w tym dniu najważniejsze. W każdej więc pytano: Co się naprawdę zdarzyło w PRL 13 XII 1981 r. ? Co ja wiem o tych wydarzeniach ? Co mówią inni ? Co się dzieje z przywódcami „Solidarności”, a co z osobami najbliższymi: rodziną, przyjaciółmi, znajomymi ? Jaka jest rzeczywista skala represji ? Jak reaguje Śląsk a jak Gdańsk ? Oprócz takich narracji kronikarskich, czy sporządzanego na bieżąco sumariusza wiadomości w zapisach poświęconych wydarzeniom 13 grudnia ważne miejsce zajmował komentarz piszącego: jak n a z w a ć to, co się stało ? Czym jest ten dzień w dziejach pojałtańskiej Europy, a czym w wewnętrznych dziejach Polski ? Jak sytuację w Polsce komentuje zagraniczna prasa, radio, telewizja ? No i pytania najprostsze: Co będzie dalej ? ... Jutro ? ... Za tydzień ? ... Jak długo to potrwa ?

Pod datą 13 grudnia 1981 r. nie ma takich pytań w *Dzienniku* Herlinga-Grudzińskiego. Nie ma więc informacji, komentarzy, spekulacji. Naiwnością byłoby przypuszczenie, że ta stylistyczna i informacyjna asceza wynikła po prostu z emigracyjnego oddalenia pisarza od krajowej sceny wydarzeń. O tym, że notatkę z datą 13 grudnia 1981 można było sporządzić zupełnie inaczej – nawet przebywając daleko poza granicami kraju – poświadczają relacje innych autorów. Dość przypomnieć *Miesiące* Kazimierza Brandysa czy *Amerykańskie cienie* Wojciecha Karpińskiego.

Na ile tych wszystkich trzynastogrudniowych notatek zapis Herlinga-Grudzińskiego – by tak rzec – poraża swoim niedopełnieniem, brakiem, swoją manifestacyjną ulomnością. Jest ona tym bardziej zastanawiająca, że pojawia się w *Dzienniku* jednego z najczujniejszych obserwatorów polskiego życia publicznego. A ponadto – jeśli te wstępne uwagi jeszcze kogoś nie przekonały – 13 grudnia 1981 r. mieszkaniec Zachodniej Europy miał na pewno pełniejsze wiadomości o tym, co dzieje się w całej Polsce niż przeciętny obywatel PRL.

\* Tekst odczytany w czasie sesji poświęconej twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którą zorganizowało Koło Polonistów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (Lublin, 11-13 kwietnia 1988) oraz podczas posiedzenia Sekcji Krytyki Literackiej Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza (Warszawa, 28 października 1988).



Więc i z tej perspektywy zapis w *Dzienniku* Herling-Grudzińskiego zaskakuje tym wszystkim, czego w nim nie ma, a co być mogło!!!

Jednakże to, co wydaje się brakiem w zapiskach kronikarza, w dzienniku pisarza może być sygnałem sensów ukrytych. Ukrytych – to nie znaczy specjalnie zaszyfrowanych. Ukrytych czyli dodatkowych, niewidocznych na pierwszy rzut oka – to jest takich, od których zaczyna się literatura jako sztuka pisania.

Jej właśnie poświęcam poniższe uwagi.

Nie będzie mnie jednak interesować całość twórczości literackiej Herlinga-Grudzińskiego, lecz jedynie jej kilka węzłów znaczeniowych, kilka obrazów, figur stylistycznych i słów, które – jak sądzę – znajdują się u podstaw wielu utworów pisarza i w niemalym stopniu decydują o ich problematyce czy kształcie artystycznym. Dostrzegam je właśnie skondensowane, w tej zadziwiającej notatce:

„Maisons-Laffitte, 13 grudnia.  
Ani słowa. Prócz daty, ani słowa”.

Wyobraźmy sobie, że zapis ten ktoś będzie komentował dopiero za lat dwście – tak jak po dwustu latach Gustaw Herling-Grudziński komentował *Dziennik* Samuela Pepysa czy *Dziennik czasu zarazy* Daniela Defoe.

„Prócz daty, ani słowa”.

Ale dlaczego właśnie 13 grudnia „ani słowa”? Czytelnik z przyszłości może mieć nie lada kłopot – o ile będzie się posługiwał wydaniem *Dziennika* bez solidnego komentarza edytorskiego. Cóż to za straszna data, o której „ani słowa” skoro równocześnie pod innymi datami autor snuje wielostronicowe rozważania?

Zostawmy jednak tego wymagowanego czytelnika z jego kłopotami. Widać dzięki niemu wyraźniej rzecz najbardziej oczywistą: Herling zapisał datę, ale wydarzenia nie nazwał. Nie użył żadnej nazwy, żadnego określenia, nie sformułował najmniejszej sugestii na temat tego, co się stało w Polsce 13 grudnia. Nie napisał zatem: ogłoszono „stan wojenny”, zaczęła się „wojna władzy ze społeczeństwem”, nastąpiła „ostateczna rozprawa z Solidarnością” czy „militarnie zduszono wolnościowe dążenia społeczeństwa polskiego”... A przecież przede wszystkim nazwania tego typu komunikowali swym czytelnikom autorzy trzynastogrudniowych komentarzy. Herling natomiast samą datę zamienia w wydarzenie. Buduje więc dramatyczne napięcie między nie nazwanym wydarzeniem a jego nie wyjaśnioną konsekwencją.

„Prócz daty, ani słowa”. Ale jeśli nawet wiemy – nawet po dwustu latach... – co oznaczała w Polsce ta data, to dlaczego Herling pisze tak kategorycznie: „Ani słowa” – bo to jest przecież pierwsze wyrażenie jego zapisu? Będę wracał jeszcze do tego pytania – najpierw jednak spojrzenie z innej strony.

Do kogo jest adresowana cała ta notatka, w której choć siedem słów i aż dwie wypowiedzi, to jednak nie ma ani jednego zdania?

Wszystkie inne trzynastogrudniowe zapiski tworzone były dla „tego drugiego” – tj. dla czytelnika, którego się informuje, z którym autor dzieli się informacjami i komentarzami, i do którego mówi: „piszę to, byś pamiętał” lub: „wiedz, co myślałem”. To zaświadczenie dziejom – by przywołać tu piękny esej Jerzego Jedlickiego – dziwnie nie pasuje do notatki Herlinga-Grudzińskiego. Jest ona bowiem bardziej sformulowaniem reguł własnej poetyki niż utrwalaniem pamięci o dziejach. „Ani słowa” – to przecież nakaz bezwzględno milczenia. Ale nakaz skierowany wyłącznie do siebie: nie pisz

dzisiaj o tym ani słowa. Herling zapisuje więc notatką skierowaną do siebie, ale umieszcza ją w *Dzienniku* przeznaczonym do natychmiastowej publikacji. Pisać publicznie „do siebie” nie oznacza więc pisać „dla siebie” (na swój wyłączny użytek). Ale tak pisać to komunikować jakąś skrytą prawdę osobistą. Osobisty charakter pisarstwa Herlinga – tak różny od tego, co nazywa się w literaturze potocznie prywatnością – rodzi się właśnie w tym miejscu. Pisać publicznie „do siebie” to jakby publicznie myśleć. Otóż dla Herlinga-Grudzińskiego pisarstwo to właśnie „publiczne myślenie”.

Tu jednak zaczynają się paradoksy, których odsłonięcie – jak mi się zdaje – powinno usprawiedliwić te może już nazbyt pedantyczne dociekania.

Pisarz więc formułuje bezwzględny nakaz milczenia („ani słowa”), a jednak nie jest to nakaz bezwzględny. Wyjęta jest bowiem spod jego mocy ta jedna data, 13 grudnia: „Ani słowa. Prócz daty, ani słowa”. Jeśli jednak uważnie wyczytać się w sens tego zapisu, to ujawni się paradoks następujący. Dosłownie traktowany, zapis w *Dzienniku pisanym nocą* powinien tego dnia wyglądać tak jak w tytule mojego szkicu: „Maisons-Laffitte, 13 grudnia”. I nic więcej.

A przecież jest inaczej. Dwukrotnie powtórzony nakaz milczenia to jednak – w sensie literackim – zapis o wyjątkowej sile ekspresji.

Oto paradoks ostatni i najważniejszy: sformułowany nakaz milczenia okazuje się równocześnie nakazem przez pisarza złamanym. Milczenie zostało bowiem wypowiedziane.

Rzecz jasna nie chodzi mi o paradoksy logiczne, lecz o najważniejsze „węzły” sztuki narracyjnej Herlinga-Grudzińskiego. Milczenie nie oznacza przecież dla pisarza zamknięcia, lecz taki sposób pisania, w którym siła ekspresji daty czyni zbędnymi słowa dodatkowego komentarza. Powtórzę za Cyceronem *Cum tacent, clamant*.

Notatka z 13 grudnia jest wszakże w *Dzienniku pisanym nocą* zapisem szczególnym. Czy ukryta w niej niezwykła dyskrekcja w nazywaniu rzeczy strasznych, szokująca asceza narracji a przede wszystkim nieustanne splatanie się milczenia i jego wypowiedziania dadzą się odnaleźć także w innych utworach Gustawa Herlinga-Grudzińskiego? Słowem. Dlaczego w tej lakonicznej notatce zamiast komentarza na temat wprowadzenia stanu wojennego spotkało się to, co nie nazwane a jednak zapisane, z tym, co nie wypowiedziane a jednak nie przemilczane.

Myślę, że odpowiedzi na tak sformułowane pytania szukać trzeba nie w ciśnieniu wydarzeń roku 1981, lecz w sztuce pisarskiej autora *Dziennika pisanego nocą*. Skupię się tu jedynie na kilku utworach Herlinga szukając właśnie tego, co jest w nich, jak sądzę, nieustannie ponawianą próbą opowiadania o tym, co się wymyka n a z w a n i u . Jedyną w swoim rodzaju próbą zapisywania milczenia.

Krytycy już dawno zauważyli, że bohaterowie utworów Herlinga to ludzie samotni, cierpiący, skrzywdzeni przez los. To niewątpliwie trafne, ale i oczywiste rozpoznanie nie jest jednak pełne: samotnych, cierpiących i skrzywdzonych zna literatura wszystkich krajów i epok. W opowiadaniach i w bohaterach Herlinga jest jeszcze coś więcej – coś nieuchwytnego, często nienazwanego, z czym czytelnik zostaje zawsze sam na sam. Myślę tu o tajemnicach tych utworów, z którymi jako czytelnik od wielu lat nie potrafię sobie poradzić. Rzecz nie dotyczy wszakże tego, co nazywamy „zagadką”, gdyż w reguły zagadki wpisana jest jej rozwiązywalność. Tajemniczość opowiadań Herlinga tkwi natomiast w samym sensie spraw, o których pisarz opowiada. A także w samym sposobie

opowiadania i zakreślanych przez autora konturach opowieści. Często jest w nich bowiem tak, jakby pisarz zaczynając opowiadanie od ziarnka maku kończył je spojrzeniem na niebo. To zdanie jeszcze się wyjaśni. Wracam teraz do bohaterów Herlinga.

Są oni dla mnie przede wszystkim postaciami pogrążonymi w milczeniu. To milczenie ma oczywiście wiele wymiarów i wiele odcieni. Bohater opowiadania *Wieża*, chory na trąd Pierre Bernardo Guasco przez 21 lat – między r. 1782 a 1803 – był zamknięty w wieży i pozbawiony kontaktu ze światem zewnętrznym. Bohater opowiadania *Pieta dell'Isola*, murarz Sebastiano, traci słuch, mowę i wzrok na skutek porażenia nerwów żrącym wapnem. Bohater *Mostu*, żebrak, nie wypowiada ani słowa, bohaterowie opowiadania *Gruzy* zastępowali w milczeniu wobec koszmaru trzęsienia ziemi, które dotknęło ich wioskę. To milczenie zostało wpisane w ich los na skutek nieprzewidywalnych i niewytłumaczalnych nieszczęść. Wszystkie te postacie są bowiem figurami ludzkiego losu: figurami rodzaju ludzkiego dotykanego przez nieszczęście przybywające z zewnątrz: przez chorobę wypadek, kataklizm.

Ale jest jeszcze inny wymiar tego milczenia – ten, przed którym staje sam pisarz próbując je opisać i wypowiedzieć. Jak to zrobić, skoro nieprzekraczalną literacką barierą milczenia jest właśnie bezstowność – nieprzekazywalność jego treści? To właśnie pytanie stawiam sobie czytając utwory Herlinga-Grudzińskiego.

W konstrukcji *Skrzydła otarza*, *Gruzow* i innych opowiadań istnieje coś, co można by nazwać krążeniem wokół tematu. Autor zaczyna jakby z obrzeży właściwej opowieści. Coła się w przeszłość (jak w *Moście*) lub dodaje realia współczesne, gdy akcja rozgrywa się w przeszłości (jak w *Skrzydłach otarza*). Szczegółowo opisuje własne miejsce jako opowiadacza, nie stroni od dygresji autobiograficznych – nie związanych z głównym wątkiem czy bohaterem utworu. Wiele miejsca poświęca pejzażowi, opisowi przedmiotów i różnym „lokalnym” szczegółom. Słowem, gromadzi na użytek swej opowieści bardzo różne i drobne informacje, które przy pierwszej lekturze wydają się mało znaczącymi elementami tła lub gatunkowymi odpryskami gawędy, kroniki, czy pamiętnika. Jednak przy ponownym spojrzeniu okazuje się, że te elementy opowieści są tak silnie utopione w główny wątek utworu, że nie sposób wysuplać ich z całości, odróżnić od tego, co w samym utworze miało być od nich ważniejsze. Słowem w utworach Herlinga nie sposób przeprowadzić granicy między tym, co miało być głównym przedmiotem opowieści a tym, co jest w niej tylko narracyjnym ornamentem lub tłem. Tak więc to wszystko, co u początku lektury wydaje się w opowieściach Herlinga „krążeniem wokół tematu”, ostatecznie okazuje się jego integralnym składnikiem. Tematy tych utworów nie są bowiem – wbrew pozorom – przyporządkowane jedynie określonym postaciom: żebrakowi. Trędowatemu czy mistrzowi murarskiemu Sebastiano. Herling-Grudziński zawsze wpisuje w swoje utwory wiele układów odniesienia – i myślę, że temu właśnie służy figura opowiadacza-podróżnika. Często też w jednym tekście pisarz opowiada o losach różnych ludzi, żyjących w różnych miejscach i w różnych czasach. A jest tajemnicą pisarskiej sztuki Herlinga, że czytamy te narracje jak opowieści, w których każdy szczegół jest konieczny.

Tytuły tych utworów wskazują na szerszy motyw znaczeniowy niż ten, który skupiony jest tylko wokół jednej postaci. A więc *Wieża* a nie Pierre Bernardo Guasco, *Pieta dell'Isola* a nie Sebastiano, *Most* a nie Żebrak. Czyniąc tytułowymi bohaterami opowiadań te właśnie przedmioty i poświęcając im tak wiele drobiazgowych opisów Herling

udziela głosu czemuś, co pogrążone jest w całkowitej bezsłowności – co jest jakby zakłętę w milczeniu materii. Jest tak, jakby mowę milczących postaci pisarz chciał zrekonstruować lub uzupełnić opowieściami o tym wszystkim, w czym odcisnęło się ich milczenie, co było świadkiem ich niewypowiedzianej egzystencji. Toteż opowieść o wieży zdaje się być rekonstrukcją zastygłej w jej murach mowy Trędowatego, opowieść o gruzach – zastępczą relacją o ludziach oniemiałych w obliczu trzęsienia ziemi, a opowieść o moście – nie wypowiedzianym nigdy monologiem żebraka. Herling staje się tu cierpliwym kronikarzem egzystencji nienazwanych i niewypowiedzianych. Rekonstruuje skłębiony wir doznań, uczuć i cierpień, które nigdy nie zaistniały w formie głosu.

Literatura naszego wieku chlubi się ocaleniem rozwibrowanej polifonii języków, wypowiedzi, dialektów i najróżniejszych form słowa. Herling natomiast zdaje się być archiwistą i analitykiem przeżyć, które nigdy nie zdołały się utrwalić w mowie. Przekraczały ją swoją dotkliwością lub po prostu nie znajdowały w niej swego wyrazu.

O cierpieniu Sebastiano, majstra murarskiego z Certosy, powiada więc Herling następująco: „Gdzieś w głębi, pod najniższym pokładem tego bólu, pełzało mroczne cierpienie bez twarzy, bez nazwy i bez skojarzeń. Bywały chwile, że bardziej niż przez nie samo, cierpiał przez to, że skradało się w nim ciągle nie nazwane i w swojej ciemnej bezkształtności ustawicznie umykające szeroko rozwartym ramionom”. I nieco dalej pisarz dodaje, że Sebastiano został sam „ze swoim bezimiennym cierpieniem i oślepioną pamięcią” (podkr. W.B.).

Żeby zrozumieć sztukę narracji Herlinga, warto sobie uświadomić, że pisarz ten mógł zupełnie inaczej skonstruować swe opowieści. Mógł na przykład sięgnąć po taki sposób opowiadania, którego określenie streszcza się w tytule słynnej powieści Faulknera: *Wściekłość i wrzask*.

Nie trudno więc wyobrazić sobie opowiadanie pt. *Wieża* napisane w formie monologu wewnętrzznego albo solilokwium, którego podmiotem jest trędowaty z Aosty. Podobnie postać Sebastiano mogłaby nie jednego pisarza skusić do posłużenia się techniką zwaną strumieniem świadomości. Ileż w niej miejsca na zapisywanie meandrow niewysłowionych myśli, myśli niedokończonych, porwanych, bełkotliwych. Ileż możliwości tropienia mechanizmów pamięci, jej alogicznych i atemporalnych skoków i nawrotów...

I znów – jak w przypadku notatki z 13 grudnia – warto pamiętać o tym, co w narracjach Herlinga jest nieobecne, a co mogło być zapisane.

Motyw milczenia – i zarazem sposobu jego wyrażenia – przewija się kilkakrotnie w narracjach Herlinga. W *Wieży* opowiadacz komentując gest Trędowatego, który rezygnuje z utrzymywania korespondencji ze światem ze wewnętrznym pisać, że był to: „wspaniały przykład dany naszej płacziwej epoce i bliski każdemu, kto za najgodniejszy wyraz nieszczęścia uważa nie skargi i żale, lecz milczenie. Milczenie, co czerpiąc soki żywotne z siły ducha, otwiera ramiona samotności i jedynie od Boga oczekuje zapłaty”. W *Gruzach* natomiast czytamy: „Czego usta twoje nie są zdolne wymówić tak, by w głosie twoim dźwięczała pewność, tego nie mów wcale; i módl się bezgłośnie zamiast papiąć po próżnicy”. I jeszcze cytat z *Dziennika pisanego nocą*: „Twarze ludzi określano tu terremotati mają zawsze ten sam wyraz. Po co silić się na opisy, jeśli można po prostu powiedzieć: wyraz gruzów? (...) Czego nie da się powiedzieć jasno, nie należy mówić w ogóle. Zamiast słów, słów, słów, zdanie, które zawiera może najwięcej: człowiek starty na proch jednym uderzeniem Nieznanej Ręki. To ona

budzi uczucie inne niż strach, niemożliwe do opisania, obecne mgliście nawet w milczeniu”.

Przypominam zapis z 13 grudnia: „Ani słowa. Prócz daty, ani słowa”. Wróćmy raz jeszcze do cytatów z dwóch utworów, które już wcześniej przytaczałem.

„Czego nie da się powiedzieć jasno, nie należy mówić w ogóle”.

„Czego usta twoje nie są zdolne wymówić tak, by w głosie twoim dźwięczała pewność, tego nie mów wcale (...)”.

Zapewne wielu czytelników *Dziennika* zestawiało te fragmenty ze zdaniem Ludwika Wittgensteina – z jedną z najsłynniejszych wypowiedzi w filozofii XX w. Podobieństwo treści zdań Herlinga i Wittgensteina jest jednak, moim zdaniem, całkowicie pozorne i lepiej od razu zrezygnować z wyjaśnień, które – jakby napisał Gombrowicz – mogą doprowadzić jedynie do zaciemnienia. Przypomnę zatem, by już później nie wracać do tego tematu, że Wittgensteina interesowała relacja między myślą, językiem a faktami empirycznymi czyli – inaczej mówiąc – sformułowany w słowach pozajęzykowy przedmiot dyskursu filozoficznego. Natomiast problematyka twórczości Herlinga wywodzi się z innego prnia dociekań metafizycznych. Pisarza interesują wypowiedzi na temat rzeczy ostatecznych.

Jakie zatem miejsce w pisarstwie Herlinga przypada milczeniu?

Jak wspominałem, milczenie w prozie autora *Wieży* nie oznacza zamknięcia – zawsze bowiem jest rodzajem ekspresji, odpowiedzią na sytuacje ostateczne, bezgłośnym komentarzem tragicznych węzłów ludzkiego istnienia. Milczenie w tej prozie jest wyrazem czegoś, co samo jest skryte, niewysłowione, nienazywalne, czegoś, co akt nazwania i udosłownienia mógłby jedynie strywializować, sprowadzić w najlepszym wypadku do zgrabnej formuły słownej. Milczenie w prozie Herlinga nie oznacza zatem „niemówienia”, lecz mówienie w szczególny sposób – i to taki, który odróżnia je od „paplania po próżnicy” i od wypowiedzi bez treści („słowa, słowa, słowa” – pisze Herling jakby cytował monolog Hamleta). Owo milczenie – jak mi się zdaje – jest w narracjach Herlinga skierowane przeciw „wielosłowności” literatury. Jest więc krytyką tkwiących w niej pokus ekspresjonistycznych powodujących, że nadmiar słów kłóci się – zdaniem pisarza – z brakiem głębszego sensu w sprawach zasadniczej wagi: moralnej, metafizycznej a także politycznej. Herling – o czym się rzadko pamięta – jest od wielu lat jednym z najkonsekwentniejszych krytyków języka spustoszonego.

To jednak jest tylko połowa prawdy. Z drugiej strony milczenie w prozie Herlinga zdaje się być świadomym za wieszaniem głosu w takich sytuacjach, w których nie może być żadnej jasności czy pewności, do której aspirują słowa, nazwania, czy figury stylistycznej. W takich sytuacjach milczenie staje się dla pisarza nakazem powściągliwości werbalnej, nakazem unikania ekspresji, która to, co jest problemem metafizycznym, ogranicza i zamyka w słowach – zamiast transcendować go poza językowe utrwalenia.

„Przy moim pociągu do zwiększości, przy rosnącej i alergicznej już prawie niechęci do elokwencji a nawet zbytnej swady, nieufny stosunek do sztuki aforyzmów. Czemu? Aforyzmy mają dźwięk czegoś definitywnie i nieodwracalnie rozpoznanego i określonego a więc czegoś, co zawsze każe mi węszyć w pobliżu obecność retoryki”.

Pisarza pociąga więc to wszystko, co wymyka się definitywnemu nazwaniu, określeniu i nieodwracalnemu rozpoznaniu. Muszę tu jednak sprecyzować zakres mojej

interpretacji: Herling-Grudziński jest przecież autorem wyjątkowo precyzyjnych rozpoznań i diagnoz życia publicznego w Polsce i w Europie. Natomiast to, co umieszcza poza możliwościami definitywnych rozpoznań i określeń, należy do sfery metafizycznych pytań o sens i o powołanie istnienia człowieka. Nie muszę tu chyba dodawać, że ta właśnie sfera stanowi najważniejszy obszar zainteresowań pisarza. W opowiadaniu *Gruzy* znajduje się następujący komentarz autora poświęcony ludziom, którzy przeżyli trzęsienie ziemi w miejscowości Tora Alta.

„Nie próbuję nawet ich opisać, zawsze dbałem o wstydlivość słów. Powiem tyle tylko, że przenosząc wzrok z dobijanej wsi na jej pozostałych przy życiu mieszkańców, traściło się pewność czy istotnie pozostali przy życiu. Stali nieporuszeni, okamienieni, odzywali się do siebie rzadko i jakby wyrwanymi ze ściśniętych gardel strzępami słów”. Dość łatwo i w tym cytacie rozpoznać fundamentalną antynomie pisarstwa Herlinga, o której mówiłem analizując zapis z 13 grudnia. Pisarz najpierw deklaruje rezygnację z opisu ludzi, których spotyka niewyobrażalne nieszczęście, ale już w następnych zdaniach – ostatnie z nich tu opuściłem – tworzy precyzyjny szkic takiego opisu. „Wstydlivość słów” pisarza staje tu naprzeciw „strzępów słów” wyrwanych ze „ściśniętych gardel” ludzi, którzy – jak pisze Herling – otarli się o straszliwe „uderzenie Nieznanej Ręki”. Ten autokomentarz nie wymaga chyba dodatkowych wyjaśnień. Moją uwagę przyciąga jednak w tym miejscu inne słowo – inne określenie: ludzie „okamienieni”. Oznacza ono coś więcej niż po prostu ludzi milczących. „Okamienieni” w prozie Herlinga to ci, w których milczeniu skrywa się, nie dające się ani nazwać, ani wypowiedzieć. doznanie rzeczy ostatecznych.

„Okamienieni” są więc *terremotati* w opowiadaniu *Gruzy*, a w opowiadaniu *Piętno* (podtytuł *Ostatnie opowiadanie Kołymskie*) okamieniał y jest umierający bohater – pisarz Szalamow. Autor *Piętna* tak go charakteryzuje: „Siedział na łóżku wychudły, widać, że niegdyś wysoki i barczysty, teraz podobny do skamieliny albo do ogromnego sopła lodowego o ludzkich kształtach. (...) Masywna bryła jego głowy, obrośnięta włosami jak skalinym mchem (...). Zdrętwiał na wieki? Znalazł sposób powściągnięcia śmierci swoją drętwotą? Czy to okamienienie pochodziło stąd, że umierał nie rozumiejąc, iż umiera?”

Z kolei w opowiadaniu o Trędowatym z Aosty motyw okamienienia wpisany jest w najgłębszą symbolikę tytułowej wieży, której mury zdają się dźwigać niewysłowione, trwające dwadzieścia jeden lat, samotność i cierpienie Pierre Bernardo Guasco. Znamienne jest zdanie, jakim autor charakteryzuje w pewnym momencie ową „milczącą Wieżę”. „Poznałem bez trudu kwadratową kanciastość jej kształtu i one miały w pół słowa motyw kamiennej korony na szczycie (...)”. A nieco dalej tak uzupełnia tę zadziwiająca personifikację milczących kamieni. Starzeją się one inaczej – powiada – „gdy służą cierpliwie ludziom, a inaczej, gdy omija je z daleka strumień życia. Opuszczone przez ludzi zdają się schnąć i pękać jak skorupa ziemska nietknięta od lat kroplą wody. Odwiedzane przez ludzi, gęstnieją i twardnieją jak kora wiecznie żywego drzewa. I dzieje się tak, choćby obecność człowieka oznaczała tylko obecność jego pamięci, a nie troskliwe ręki”.

Wariantem motywu „milczącej wieży” są milczące mury Certosy w opowiadaniu *Pietà dell'Isola*. To wewnątrz i na zewnątrz tych kamiennych murów rozgrywa się siedemnaścieletni dramat okaleczonego Sebastiano. Jeśli uważnie wczytać się w stylistykę

tę utwór, okaże się, że słowa „kamień” i „kamienny” są najczęstszymi określeniami pejzażu wyspy. Albowiem właśnie „kamień” jest jedynym milczącym świadkiem dramatów rozgrywających się w tym utworze – już to jako głaz w kamieniołomach, gdzie ginie ojciec Immacolaty i gdzie poznają się przyszli narzeczeni, już to jako mur Certosy, którego naprawianie miało być największym sukcesem Sebastiano a stało się przyczyną jego tragedii, a wreszcie jako skały, skałki i kamyczki, po których przez kilkanaście lat wędruje porażony bólem Sebastiano. Nie twierdzę, że symboliczna funkcja motywu „kamienia” jest w tym opowiadaniu wprowadzona przez pisarza świadomie. Tropię tu znaczenia widoczne być może dopiero z perspektywy innych utworów Herlinga: *Wieża*, *Gruzy*, *Mury Certosy*...

Personifikacja motywu „okamienienia” znajduje się także w *Skrzydłach ołtarza* – w opowiadaniu *Wieża*. Herling wprowadza w nim figurę kamiennego pielgrzyma, która do dziś znajduje się w Nowej Słupi, u podnóża góry zwanej Świętym Krzyżem, a którą pisarz pamięta z czasów młodości. Oto opis tej klęczącej postaci zwanej też „pielgrzymem świętokrzyskim”.

„Kamienny pielgrzym nie ma twarzy, lecz małą zniekształconą głowę osadzaną wprost na korpusic; czoło i nos zlewają się w niej w jedną pionową linię z brodą, a oczy są niby dwa ciemne otwory w kapturze – jak oczy ślepców, patrzą przed siebie nie widząc; włosy opadają mu na umieszczone nienaturalnie nisko ramiona, rękę splóli nabożnym gestem na piersiach; szeroką podstawę kamienną postaci obrasta murawa. Wyżarty przez wiatry i deszcze ze śladami obtłużeń w wielu miejscach, jest osiągnięciem bezgranicznej cierpliwości. I tylko stali przechodnie, którzy omijają go obojętnie jak niezauważalną już część przyrody, uprzytamniają tę obojętnością obcym, że musi być również bezgranicznie samotny”.

Figura kamiennego pielgrzyma jest bez wątpienia uniwersalną symboliczną figurą ludzkiego losu, w którą wpisane zostały wszystkie postaci utworów Herlinga. Skojarzenie z mieszkańcem wieży w Aocście pisarz sam podpowiada. W opisie świętokrzyskiego pielgrzyma odnaleźć można jednak także i mistrza murarskiego z Certosy i postać Szalamowa, czy skuloną w siatce kafkowskiego mostu małą figurkę zebra z Neapolu. W metaforze „okamienienia” spotykają się bowiem milczenie i jego ekspresja, samotne doświadczenie rzeczy ostatecznych i ich niewypowiedziane świadectwo.

Ale jest jeszcze jedno symboliczne znaczenie figury kamiennego pielgrzyma.

Na pogrzebie Szalamowa ktoś z obecnych żegna pisarza jego własnymi słowami z opowiadania pt. *Cisza*. „Na każdej twarzy Kołyma wypisała swoje słowa, zostawiła swój ślad, wyrąbała dodatkowe zmarszczki, odcisnęła wieczyste piętno, niezmywalne piętno, niezatarte piętno!” Herling tak komentuje tę scenę: „Po trzykroć użyte PIĘTNO (...) brzmi (...) jak biblijne przekleństwo i podziemny huk”. Ten „podziemny huk” kończy opowiadanie Herlinga. W utworze pt. *Gasnący Antychryst* Herling-Grudziński opowiada o ostatnich chwilach Fryderyka Nietzschego, który zapragnął być „najniebezpieczniejszym dynamitem świata”. Kiedy umierał – pisze o Nietzsche Herling – „Słyszał nie upragniony huk wybuchu, lecz cichy i nudny szelest papieru”. W opowiadaniu *Most* zebra ginie w noc sylwestrową spadając z Ponte della Sanità na znajdującą się pod nim ulicę. „Jeśli wzywał ratunku – pisze autor – głos jego nie mógł być dosłyszany wśród huku eksplozji witających Nowy Rok (...)”. „Lubię go sobie wyobrażać – pisze Herling o Trędowatym z Aosty – jak dociera wreszcie na klęczkach na szczyt Świętego

Krzyża i z okrzykiem triumfu osuwa się bezgranicznie zdrożony i sterany przez czas. na nagie skały. Ten krzyk ginie natychmiast w ogłuszającym huku końca świata”.

Skąd zatem tyle huku u kresu ziemskiej wędrówki pielgrzymów Gustawa Herlinga-Grudzińskiego?

Raz jeszcze trzeba wrócić do kamiennej figury świętokrzyskiego pielgrzyma. Mądrość ludu – mówi pisarz – otoczyła ją legenda: pielgrzym posuwa się „co roku na kłęczkach o ziarno maku i gdy dojdzie na szczyt Świętego Krzyża, nastąpi koniec Świata”. Wolno przypuszczać – dodaje Herling – „że w swojej nieskończonej wędrówce, raniąc sobie kołana o przydrożne kamienie, pielgrzym świętokrzyski dojdzie kiedyś i nie dojdzie nigdy do celu swej wędrówki; gdyby zaś nawet doszedł, w nagrodę za swoją wytrwałość uzyska tylko tyle, że równocześnie ze światłem zbawienia ujrzy ogień ostateczny pochłaniający wraz z nim całą ziemię”.

Myślę, że jest to obraz kluczowy dla wszystkich opowiadań Herlinga. Są weń bowiem wpisane – jak podpowiada sam autor – „subtelniejsze związki między nadzieją a beznadziejnością, wiarą a rozpaczą”.

Figurze kamiennego pielgrzyma towarzyszą w tych utworach także inne figury ludzkiego losu: są to Chrystus, mitologiczny Syzyf a przede wszystkim Hiob. Każdy z bohaterów Herlinga ma swój *via crucis*, i los każdego zdaje się być niewypowiedzianym pytaniem o ostateczny sens ludzkiego zmagania się z cierpieniem.

Nie podejmuję się tu interpretacji tych utworów. Choć pod gęstą siecią współczesnych i historycznych realiów odnaleźć w nich można bogatą inkrustację motywów ze Starego i Nowego Testamentu, to jednak każde z tych opowiadań stawia czytelnika wobec własnej, oryginalnej problematyki. I nawet mimo przywołania przez Herlinga wielu motywów symboliki chrześcijańskiej (np. *homo viator*, *via crucis*, ukrzyżowanie czy zmartwychwstanie), znaczenia tych utworów wymykają się jednoznacznemu nazwaniu. To, między innymi, stanowi o ich literackiej niezwykłości. Tylko na pozór wszystko wydaje się w nich całkowicie jasne – nawet wówczas, gdy nieustannemu rozjaśnianiu losów Trędowatego, majstra Sebastiano, żebraka z mostu w Neapolu czy pisarza Szalamowa towarzyszy jeszcze rozbudowany komentarz narratora. Dojrzeć jednak wszystko – ostrzega pisarz – to równocześnie oślepnąć.

Odbiegłem tu na pozór daleko od głównego wątku moich rozważań. Nie jest to jednak tylko efekt pokusy dygresji, przed jaką staje co krok eseista. W pisarstwie Herlinga bowiem to, co rozciąga się między wypowiedzianą „wstydlivością słów” a krzykiem rzeczy niewypowiedzianych, tworzy wielki obszar niezwykłego – artystycznego i intelektualnego dorobku autora *Skrzydeł ołtarza*.

Myślę, że warto czasem połączyć te na pozór różne sprawy. O jednej z nich chcę jeszcze na zakończenie powiedzieć.

Zastanawiałem się wielokrotnie dlaczego tak trudno nazwać tematykę opowiadań Herlinga. Tylko pozornie przecież wszystko w nich jest tak dokładne, że poprzez poszczególne słowa i zdania widać materialny kształt rzeczy, jest oczywiste, że ta dokładność i precyzja skrywa coś jeszcze, coś, czego nazwać jednoznacznie nie można, a o czym trzeba stale myśleć i o co warto nieustannie pytać.

Kiedy więc pytam siebie, jaka koncepcja losu ludzkiego wpisana jest w twórczość Herlinga, to odpowiedź, choćby najprawdziwsza, że jest nią *homo viator* czy *via crucis* wydaje mi się niepełna. Nawet wówczas jeśli pamiętam, że Herling wielokrotnie



reinterpretuje te dwa fundamentalne topozy kultury chrześcijańskiej. Udzielać więc sobie odpowiedzi innej, chociaż także – jak dwie tamte – w pewien sposób niepełnej.

Na pytanie o istnienie Herling odpowiada wskazaniem na to wszystko, co jest tego istnienia destrukcją, naruszeniem, deformacją. Ale nie śmiercią, nie unicestwieniem, czy też ostateczna zagłada są tematami utworów Herlinga. Myślę, że nie chodzi mu też o określanie ostatecznych celów ludzkiego losu. Wyobraźnia pisarza zdaje się natomiast krążyć wokół tego, co w normalnym istnieniu okazuje się nagłą zapaścią, przerwą, jak gdyby metafizyczną wyrwą bytu. To tak jakby wysoki brzeg rzeki opisywać opowiadając o nagłym obsunięciu się lawiny piachu. Herlinga nie interesuje więc sama granica między życiem a śmiercią, lecz ten rozległy obszar, na którym granice między realnym a nierealnym, istnieniem a nieistnieniem stają się problematyczne.

W tym właśnie obszarze – zdaje się mówić Herling – rozgrywa się walka o fundamentalne wartości ludzkiej cywilizacji. Tym obszarem może być (po prostu jednostkowe cierpienie (jak w *Skrzydłach ołtarza*) lub zbiorowe nieszczęście (jak w opowiadaniu *Gruzy*) – oba zresztą idą ze sobą w parze, czego przykładem *Inny świat*, *Zapiski sowieckie*. W tej walce, która toczy się najczęściej w milczeniu i której jednym świadkiem bywa najczęściej kamienny świat, człowiek Herlinga potrafi obronić nadzieję w moralny porządek świata. I to też go różni od wizji człowieka wpisanej w kamienny świat opowiadań Tadeusza Borowskiego. Ale zdarza się też – czytamy u Herlinga-Grudzińskiego – że ludzie wychodzą z tej walki okaleczeni, zdruzgotani a pierwszym świadectwem tej katastrofy jest ich język. Lecz nie w sferze składni, bo nie o afazję tu chodzi, lecz w wymiarze znacznie głębszym.

W opowiadaniu *Gruzy* pisarz przedstawia właśnie taką metafizyczną katastrofę. Najpierw jest świadkiem, gdy ojciec mówi do córki (na cmentarzu, gdzie po trzęsieniu ziemi została pochowana cała ich rodzina): „*Andiamo. Concetta, andiamo, figlia mia. Dio non c'è*” („Chodźmy już Concetto, chodźmy, córeczko moja. Boga nie ma”).

W końcowej części tego utworu pisarz wraca raz jeszcze do wcześniejszego zdarzenia.

„A zatem do obrazu gruzów, by stał się naprawdę pełny, trzeba było dołączyć i ten dowód zburzenia języka. I zapytać, pamiętając scenę na cmentarzu, czy krzyk *Dio non c'è* nie był czymś w rodzaju przedśmiertelnej drgawki języka przygniecionego zwalami kamienia, niezmiernym ciężarem wiarołomnej ziemi”. Są chwile, zdaje się mówić pisarz, kiedy człowiek, powalony nieszczęściem, przygnieciony rozpoczyna gotów jest wierzyć, że potworność, jaka go spotyka, jest naturalną i jedyną formą istnienia. Nieszczęście oszczędza czasem ciało, ale mąci umysł. Są też potworności, których wyrażenie zostawić lepiej milczeniu – żadne piękne zdania nie oddadzą bowiem rzeczywistych rozmiarów grozy.

Stylistyczny i intelektualny rygorizm Herlinga-Grudzińskiego stawia jego twórczość na antypodach ekspresjonistycznej, lirycznej i gawędziarskiej tradycji literatury polskiej. One też – a rzecz jest chyba bezsporna – określają niemal bez reszty charakter współczesnego nam piśmiennictwa. Może dlatego właśnie ściszony głos pisarza z Neapolu bywa tak wyraźnie słyszany w kraju...

Nie wiem, co Gustaw Herling-Grudziński zamierzał wpisać w swą trzynastogrudniową notatkę – nie chodzi tu przecież o odgadywanie myśli pisarza. Nie pomyłę się chyba jednak twierdząc, że w tym milczącym zdaniu Herlinga rozbrzmiewa do dziś huk stanu wojennego. „Ani słowa. Prócz daty, ani słowa”.

# PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY

## O EMIGRACJI W OGÓLE UWAG KILKA / Jerzy Boniecki

(1) Z właściwym sobie patosem Polacy zwykli widzieć zjawisko emigracji jako swego rodzaju nieszczęście narodowe. W najlepszym wypadku jest ono przyjmowane jako *malum necessarium*. Tak w perspektywie historycznej jak i obecnie jest ono, z nutką żalu, wyjaśniane niesprzyjającymi warunkami politycznymi lub złą sytuacją gospodarczą. A przecież nie ulega wątpliwości, że – i to odnosi się do jakiegokolwiek kraju – emigracja jako zjawisko masowe jest zwykle spowodowana takimi przyczynami.

Z wielu względów mamy tendencje do przesadzania wielkości naszej Polonii. Z dumą lub z żalem (zależnie od rodzaju argumentacji) jest ona określana na 10 milionów, zapominając o tym, że z liczby tej 70 czy 80 procent to przecież Amerykanie polskiego pochodzenia od dwóch, trzech lub czterech pokoleń. Faktem jest jednak, że Polacy obok Greków czy Włochów należą w skali światowej do narodów największej diaspory. W wypadku Włochów, w ciągu ostatnich stu lat opuściło kraj około 25 milionów ludzi. Jest to równe połowie obecnej ludności Włoch. Jeśli idzie o Grecję, ilość emigrantów szacuje się na 3 do 5 milionów, co równałoby się 30 – 50 procent obecnej ludności tego kraju. Nasza polska diaspora liczy więc mniej, 25 – 30 procent obecnej ludności kraju macierzystego.

(2) Chociaż u podstaw masowej emigracji leżeć będzie zwykle jakaś zła czy niekorzystna sytuacja w kraju macierzystym, samo zjawisko z punktu widzenia tego kraju nie musi bynajmniej być oceniane jako negatywne. Ocena zależy będzie od kontekstu historycznego oraz struktury socjalnej i zawodowej tej emigracji. Kiedy po II-jej wojnie światowej setki tysięcy ludzi emigrowało z Włoch czy Grecji, miało to dla tych krajów *oczywiste pozytywne następstwa*. Zmniejszony, lub tu i ówdzie prawie zlikwidowany, został stan permanentnego bezrobocia szerokich mas biednego chłopstwa. Przez sam fakt masowej emigracji uruchomiona została w skali gospodarki narodowej ogromna pozycja transferów dewizowych w ramach pomocy emigrantów dla rodzin. W nowych krajach osiedlenia, w wypadku Greków czy Włochów, miał miejsce oczywisty wpływ pewnych aspektów przywiezionej kultury na styl życia w tych krajach. Świetnym przykładem jest gastronomia, której rozwój przyczyniał się do znacznego zwiększenia zapotrzebowania na

produkty żywnościowe krajów macierzystych. Ilość sklepów i towarów włoskich czy greckich w Ameryce, Kanadzie czy Australii jest tego oczywistą ilustracją. Mamy więc tu znowu wyraźną korzyść gospodarczą w postaci zwiększonego eksportu. Do pozytywnych skutków masowej emigracji dla krajów macierzystych zaliczyć trzeba z pewnością rozwój turystyki z nowych krajów osiedlenia, a także – w ogólnym sensie – ekspansję kultury i popularyzowanie danego kraju w świecie.

Można również przytoczyć przykłady *oczywiście negatywnych skutków* emigracji dla krajów nią dotkniętych. Typowym będzie sprawa wyjazdów lekarzy z biednych krajów takich, jak Indie. Jest to w tamtejszych warunkach wielka strata. Kształcenie nakładem wielkich kosztów kadr lekarskich ma tam bowiem na celu dokonanie jakościowego skoku w rozwoju służby zdrowia – jednego z warunków próby wydzwignięcia kraju z istniejącej nędzy. Niedostateczna ilość miejsc na studiach uniemożliwia zdobycie zawodu tysiącom ludzi. Kończący studia szczęśliwcy, którzy następnie opuszczają kraj, zabierają więc miejsca innym. Sytuacja – aby być oceniana jako negatywna – nie musi koniecznie być aż tak krańcowa. W zamożnej Irlandii, w chwili obecnej, setki absolwentów wyższych uczelni z różnych dziedzin (np. komputerów) nie mogą znaleźć zatrudnienia i decydują się na opuszczenie kraju. To zjawisko masowego odpływu inteligencji do innych krajów znane jest jako „brain drain”.

(3) Ze względu na panujący wśród Polaków *imperatyw patriotyzmu* mówi się często z dezaprobatą o ludziach, którzy opuścili Polskę z powodów ekonomicznych. Implikuje się więc niemal, że każdy Polak „winien być patriotą”, a wszak obowiązkiem każdego patrioty jest mieszkać w ojczyźnie. Z tego więc wynika, że Polak – jako patriota – „ma pełne moralne prawo” emigrować wyłącznie z powodów czysto politycznych. Jeśli zaś jego decyzją kierują przyziemne aspiracje materialnego wzbogacenia się, zasługuje on jako człowiek w najlepszym wypadku na jakiś nieco mniejszy szacunek.

Nie zauważamy nawet, że implikując ten patriotyczny obowiązek mieszkania w ojczyźnie zbliżamy się niechcący do oficjalnej doktryny czy argumentacji komunistycznych rządów. Jednocześnie też odbieramy milionom Włochów, Greków, Holendrów, Irlandczyków czy Niemców prawo do miana „porządnego człowieka”, jako że w ich wypadku *dla przeważającej większości* powodem opuszczenia własnego kraju była zwykła chęć polepszenia sobie i rodzinie materialnego bytu.

(4) W ciągu kilkudziesięciu lat życia w Australii zetknąłem się z setkami ludzi przybyłych tu z różnych krajów. Interesowały mnie zawsze w tych kontaktach motywy opuszczenia przez ludzi swego kraju. Oczywistym truizmem będzie stwierdzenie, że u podstaw tej zasadniczej decyzji leżało w każdym wypadku jakieś *poczucie niezadowolenia* z istniejącej sytuacji i *nadzieja poprawy, czy lepszego losu* w nowym kraju.

Łowcy przygód – choć i tacy znajdują się wśród emigrantów – należą z pewnością do rzadkości. Pomijając tysiące uciekinierów politycznych, dla których emigracja jest w sensie dosłownym *wyrwaniem się na wolność* (jak np. tzw. „boat people”), przypadki desperacji – jako geneza decyzji – nie będą liczne. Ciekawość świata w ogólnym sensie nie wydaje się także typowym składnikiem motywacyjnym,

choć może ona ułatwić decyzję wyjazdu na stałe z własnego kraju. Decyzja taka zawierać musi na pewno jakiś stopień predyspozycji czy gotowości do zmiany. Jest bowiem wiele osób, które nie są do niej zdolne i dla których wyjazd z własnego miasta, nie mówiąc już o opuszczeniu kraju, w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Na podstawie obserwacji dochodzę do wniosku, że podstawowym motywem wyjazdu jest mglista na ogół i bliżej nieokreślona nadzieja poprawy. Jest ona elementem iluzji, na jaką składa się obraz wybranego czy wymarzonego kraju osiedlenia. Użycie słowa „iluzja” jest o tyle trafne, że to wyobrażenie nieznanego kraju musi z konieczności odbiegać od rzeczywistości. Pozostaje to prawdą także wówczas, gdy nasz przeciętny emigrant przyjeżdża do nowego kraju, o którym wie już trochę od przebywających tam krewnych czy znajomych. Owa iluzja czy wyobrażenie musi być, ogólnie biorąc, *zabarwione pozytywnie*, skoro decyzja emigracji łączyła się z nadzieją poprawy.

Taka nadzieja leży u podstaw najbardziej powszechnej decyzji opuszczenia własnego kraju: dążenia do polepszenia warunków bytowych. Często też – jak się zwykle okazuje dopiero przy bliższym poznaniu – w grę wchodzić mogą także okoliczności bardziej osobiste. Do nich zaliczyć można zawarcie drugiego małżeństwa i założenie nowej rodziny lub inne momenty skłaniające do zerwania poprzednich więzów rodzinnych. Dla tych ludzi „nadzieja poprawy” stanie się bardziej próbą „rozpoczęcia od nowa”. W tym wypadku jednak obraz nowego kraju także zawiera element iluzji: rozpoczęcie nowego życia musi zakładać dozę *pozytywnego oczekiwania*.

(5) Stopień, w jakim oczekiwanie to zostanie spełnione, zależy oczywiście od wielu czynników. Należać do nich będą *obiektywne okoliczności* (zdrowie, możliwość znalezienia pracy itp.), *zdolności adaptacyjne* tak całej rodziny, jak i poszczególnych jej członków. Będzie wśród nich także element *zwykłego szczęścia* (przypadek spotkanych ludzi, znalezienia przyjaciół czy znajomych itp.), a także *stopień tęsknoty* do kraju macierzystego oraz sposób w jaki na odległość układać się będą stosunki z bliskimi, którzy tam pozostali. Bardzo istotne będą też *różnice kulturalne*, a więc stopień obcości nowego kraju w porównaniu z krajem pochodzenia. Do nich zaliczyć trzeba nie tylko język i zwyczaje, ale też przeciętnie spotykaną mentalność i temperament tubylców itp.

Jest faktem, iż w początkowym okresie, różniącym się bardzo od przypadku do przypadku ale liczącym zawsze parę lat, jest chyba nieuniknione *pewne poczucie zawodu*. Jest to typowy element procesu adaptacji, w trakcie którego początkowa iluzja czy wizerunek nowego kraju skonfrontowane zostają z rzeczywistością. Z tysięcy ludzi przybywających do nowego kraju pewna część uzna swoją decyzję emigracji za wielki życiowy błąd. Jakiś procent tych ludzi powróci wraz z rodziną do macierzystego kraju. Będą wśród nich nie tylko młodzi Polacy rozczarowani obcością nowego kraju lub brakiem spodziewanego Eldorado, ale nawet (choć nieliczni) sowieccy Żydzi, którzy latami wyczekiwali wymarzonego paszportu do Izraela. Większa część tych niefortunnych emigrantów pozostanie jednak na stałe w nowym kraju, aby podzielić los na zawsze wyobcowanych, często nieszczęśliwych ludzi.

Ogromna większość nowo przybyłych zaadoptuje się jednak i zintegruje pozytywnie w nowym kraju. Poszczególne jednostki czy rodziny będą się różnić w stopniu tej integracji, ale ogólnie biorąc swoją decyzję osiedlenia się w nowych warunkach oceniać będą jako słuszną i pozytywną.

(6) Dla oceny, w jakim stopniu przeciętna decyzja emigracji kończy się sukcesem czy powodzeniem, szczególnie ciekawe będzie spojrzenie na emigrantów z krajów, które od lat cieszą się demokracją i wolnością oraz gospodarczą prosperitą. W wypadku bowiem krajów takich jak Włochy, Holandia czy Grecja ludzie mają pełne *prawo wolnego wyboru* pozostania lub powrotu. Żadna decyzja, którą podejmą nie będzie przecież nieodwracalna czy prawie nieodwracalna, jak to jest *de facto* w wypadku naszych polskich emigrantów.

Jest bardzo typowe, że w początkowych latach, w okresie adaptacji, bardzo wielu ludzi postanawia „zdecydowanie wrócić” jak tylko „dorobią się” w nowym kraju. Rezolucja ta z upływem lat na ogół słabnie. Większość emigrantów odwiedza – wielu nawet regularnie – stary kraj. Niewielki tylko odsetek wraca na stałe. W nowym kraju wyrosła w międzyczasie młoda rodzina. W starym zaś zmieniły się nie do poznania warunki zachowane w pamięci z okresu młodości, rozjechali się przyjaciele i znajomi.

(7) A jednak. Mimo, iż w masowej skali taka przeciętna decyzja emigracji kończy się powodzeniem i osiedleniem na stałe w nowym kraju, nawet najlepiej zaadoptowani emigranci pozostają w jakimś stopniu wyrwani z własnej gleby. Jak jeźdźcy wyrzuceni z siodła bez żadnych cielesnych uszkodzeń. Kiedy przyjeżdżają oni odwiedzać stary świat, patrząc na wsie, miasteczka i większe miasta, nachodzić ich będą typowe ambiwalentne refleksje. Jak dobrze jest *żyć wśród swoich*, w tym samym miejscu gdzie człowiek urodził się i wychował, gdzie zna każdy kamień, gdzie na miejscowym cmentarzu odczyta dobrze znajome nazwiska.

Szybkimi krokami zbliżamy się do XXI-go stulecia. W czasach nowoczesnej technologii, szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, natychmiastowej łączności przez satelity i współzależności świata, ogromna ilość ludzi zmuszona jest i przyzwyczajona do jakiejś zmiany swego stałego pobytu, w ramach ogólnej „mobility”. Nie wszyscy będą pracować i mieszkać stale w miejscu swego urodzenia. Większości jednak dane będzie pozostać we własnym kraju, w zaścianku własnej kultury, korzystać z dobrodziejstw jakie się z tym wiążą, a także być podmiotem związanych z tym ograniczeń.

(8) Jak więc odnoszą się powyższe ogólne refleksje do konkretnej sytuacji Polski A.D. 1989?

Ocenia się, iż w latach osiemdziesiątych tj. w bieżącym dziesięcioleciu opuściło Polskę *na stałe* co najmniej *pół miliona osób*. Niektórzy cyfrę tę szacują znacznie wyżej – w granicach około miliona. Dokładne liczby nie są znane, gdyż oficjalna emigracja z Polski jest ograniczona do pewnych grup czy kategorii osób (np. mniejszość pochodzenia niemieckiego, łączenie rodzin itp.), zaś większość wyjeżdżających swą decyzję opuszczenia Polski na stałe podejmuje lub deklaruje dopiero po wyjeździe.

Fakt tak licznej emigracji oraz wykazywane zainteresowanie lub zamiar opuszczenia kraju przez tysiące osób świadczy oczywiście o tym, że w Polsce ludziom jest źle. Jest to fakt ogólnie znany i nie wymaga dalszego uzasadnienia. Jako motywacja emigracji jest to odczucie normalne dla ludzi gotowych opuścić na stałe kraj swojego urodzenia i spróbować szczęścia czy lepszego życia na szerokim świecie. Pod tym względem sytuacja Polaków nie stanowi żadnego wyjątku.

Od pewnego czasu w polskiej prasie i w ogóle na forum publicznym w kraju toczy się debata na temat emigracji. Ważnym głosem w tej debacie jest oświadczenie Prymasowskiej Rady Społecznej z 15 II 1988 opublikowane w marcu 1988 r. w «Tygodniku Powszechnym». Podkreślając na wstępie fakt, iż prawo do wyboru miejsca zamieszkania oraz do swobodnego przemieszczania się należy do ważnych i uznanych praw człowieka, stanowisko Rady cechuje głębokie zaniepokojenie wzrastającą falą emigracji. Podobnym uczuciom w szeregu wypowiedzi dawał także wyraz papież Jan Paweł II. Oświadczenie Rady uznaje zjawisko licznej emigracji za *oczywistą* stratę dla kraju. Wyraża ono także zrozumiałą troskę o los nowych emigrantów. Charakterystyczne jest jednak, iż – choć nie feruje ono otwarcie negatywnej oceny moralnej wobec decyzji emigracji – implikuje wyraźnie imperatyw patriotyzmu, który powinien nakazywać Polakom pozostanie w kraju.

Troska o los wielu tysięcy Polaków zapelniających obozy uchodźców w Austrii, Turcji, czy we Włoszech lub oczekujących w Niemczech czy w innych krajach „z wolnej stopy” na wymarzoną wizę wjazdową do USA, Kanady czy Australii jest w pełni uzasadniona. Większość tych ludzi, na których w szerokim świecie nikt nie czeka, nie jest przygotowana do życia na obczyźnie i nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji kroku, który podjęli. Mniej oczywisty natomiast jest implikowany obowiązek moralny pozostania w kraju, jako wyraz patriotyzmu przede wszystkim dlatego, że tego rodzaju uczuć nie można od nikogo wymagać. Natomiast negatywna ocena emigracji z punktu widzenia tzw. polskich interesów narodowych lub też pogląd, iż wyjazdy młodych wykwalifikowanych ludzi powodują osłabienie kraju czy zmniejszenie tzw. potencjału narodowego nasuwa już poważne zastrzeżenia.

Można wysunąć tezę, że jest wręcz przeciwnie: że mianowicie liczna emigracja z Polski jest z punktu widzenia obecnej sytuacji kraju *zdecydowanie korzystna*. A oto kilka jej oczywiście pozytywnych następstw:

(a) Zmniejszenie konkurencji na rynku pracy. Dziś jeszcze nie jest ona tak wyraźna, jutro natomiast nie może ulegać wątpliwości. W miarę bowiem niezbędnej – choć dotychczas bardzo powolnej – racjonalizacji gospodarki nastąpią poważne „negatywne” zmiany w sytuacji pełnego zatrudnienia – tego kanonu ideologicznego krajów realnego socjalizmu. Nie do uniknięcia jest perspektywa dużego bezrobocia i w tych warunkach odpływ pewnej ilości ludzi zagranicę zmniejszy nacisk na rynku zatrudnienia.

(b) Emigracja wielu tysięcy ludzi oznacza także zmniejszenie chronicznego zapotrzebowania na nową powierzchnię mieszkalną i spowoduje ona pewne złagodzenie permanentnego kryzysu mieszkaniowego Polski. Nawet gdyby w najbliższych latach budownictwo mieszkaniowe miało pozostać na dotychczasowym poziomie, typowe kilkunastoletnie oczekiwanie na nowe mieszkanie może i powinno ulec skróceniu.

(c) Zainstalowanie się nowych emigrantów w krajach osiedlenia spowoduje znacznie większy poziom transferów dewizowych do Polski w ramach pomocy dla rodzin w kraju. Przykłady licznych krajów (Włochy, Grecja, Hiszpania, Portugalia i wiele innych) mogą zaświadczyć jak ważną rolę w gospodarce kraju spełniają transfery emigrantów, jak poważną pozycję stanowią one w dochodzie narodowym.

(d) Fakt, iż emigracja, o której mowa, składa się często z ludzi wykształconych, przedsiębiorczych i dynamicznych, nie stanowi *ipso facto* straty dla kraju. Polska jest dziś krajem ludzi wykształconych; wyjeżdżający stanowią mogą tylko kilku czy kilkunastoprocentowy odsetek. Będzie to zawsze wyraźna mniejszość, dość ludzi wykształconych pozostanie na miejscu, ponad 30-to milionowy kraj zachowa posiadany potencjał przedsiębiorczości i dynamizmu. Ci wykształceni emigranci będą natomiast nosicielami wpływów kultury polskiej w świecie – już przez sam fakt, iż zostali przez nią ukształtowani tj. nawet wówczas kiedy nie będą aktywnie zaangażowani w propagowanie kultury polskiej w krajach swego osiedlenia. Jeśli słusznie jesteśmy dumni z tysięcy naukowców pracujących na stałe w wielu krajach świata; jeśli mamy swój udział w rozwoju sztuki i kultury innych krajów, w zwiększaniu zainteresowania Polską na świecie – to emigracja nasza otrzymać musi za to należyty kredyt.

Tak więc o ile indywidualna decyzja emigracji stanowić będzie zawsze fundamentalny, niezmiernie ważny i trudny krok życiowy, nie ma powodu, aby zjawisko emigracji w ogóle traktować – z punktu widzenia opuszczanego kraju – jako *sui generis* nieszczęście narodowe.

Sydney, październik 1988

## METODA / Robert Zuzowski

Bezpośrednim powodem do napisania poniższych rozważań była niedawna publikacja książki z okazji czterdziestoletniej rocznicy ukazania się w sprzedaży pierwszego numeru paryskiej «Kultury»\*. W książce tej, będącej zbiorem artykułów pióra kilkudziesięciu autorów, wychwala się «Kulturę» za wszystko (także za to, że ukazuje się niezmiernie regularnie), tylko nie za rzecz najważniejszą. Co uderza przy lekturze tej książki, to rzadka jednomysłność w ocenie działalności «Kultury». Wszyscy autorzy zgodni są co do jednego: pismo to ma spory wpływ na życie polityczne PRL. Brak jednomysłności wyłania się dopiero przy ocenie tego co jest źródłem tego wpływu, skąd się ono bierze? Dlaczego spośród wielu polskich pism oraz instytucji politycznych na emigracji właśnie to pismo oddziałuje o wiele skuteczniej, niż pozostałe, na to co się dzieje w Polsce?

Zabrzmie to jak paradoks, ale siłą polityczną «Kultury» jest to, co wielu Polaków przypisuje jej za słabość: *zmiennność* w dobieraniu środków do celu. Przytłaczająca

\* O «Kulturze» *Wspomnienia i opinie*, Puls, Londyn 1987.

większość Polaków uważa, iż powinno być na odwrót: środki wiodące do celu powinny być stałe (niezmiennie), nawet, co najważniejsze, gdy okazuje się, iż są one nieskuteczne. Ten zgubny politycznie zwyczaj preferowania niezmienności środków do celu, i to bez względu na ich skuteczność, najbardziej właśnie osłabiał, i w dalszym ciągu osłabia, dążenia niepodległościowe i dysydenckie (opozycyjne) Polaków. Największą przeto zasługą «Kultury», czyli Jerzego Giedroycia i śp. Juliusza Mieroszewskiego, jest to, że odrzucili oni (świadomie lub nie, co nie jest tu istotne) ten samobójczy politycznie zwyczaj i przyjęli inną metodę działania, metodę, na której zasadziła się nowożytna nauka: jest to *metoda prób i błędów poddanych publicznej krytyce*. Metoda ta okazała się skuteczna nie tylko w nauce, ale i w wielu innych dziedzinach działalności ludzkiej, włącznie z działalnością polityczną. Tak pojęta metoda jest czymś innym od środków; jest to bowiem ogólna i stała metoda działania, natomiast środki są konkretne i zmienne (o ile w zastosowaniu okazują się nieskuteczne).

Z powyższych rozważań wynika również, iż termin „niezłomny” w odniesieniu do emigracyjnych działaczy politycznych ma dwa, a nie jedno znaczenie. Powszechnie uważa się, że „niezłomnym” jest tylko ta osoba, która, bez względu na konsekwencje, nie zmienia (tradycyjnych) zwyczajów działań politycznych, tak jak to na przykład czyni przytłaczająca większość polskich działaczy emigracyjnych osiadłych w Londynie. Ale, przecież słowo „niezłomny” oznaczać może także osobę, która nie zmienia raz obranych celów politycznych, jak na przykład Jerzy Giedroyc; zmienia on jedynie środki w dążeniu do osiągnięcia postawionego sobie celu. Redaktor «Kultury» nigdy wszak nie zrezygnował z dążenia do odzyskania przez Polskę niepodległości, a mimo to, praktycznie, nikt wśród Polaków nie uważa go za „niezłomnego”. Świadczy to niezbicie o tym, co już tu zostało powiedziane: Polacy utożsamiają niezłomność nie z celem, e wyłącznie ze środkami.

Na poparcie dotychczasowych stwierdzeń przytoczmy parę dalszych dowodów. We wspomnianej już książce o «Kulturze», Lidia Ciołkosz, znana działaczka emigracyjna pisze: „...w dążeniach niepodległościowych stronnictw politycznych [na emigracji] jest pewna konsekwencja, natomiast stanowisko «Kultury» jest często zupełnie niespodziewane, zaskakujące, nieraz sprzeczne z poprzednimi wypowiedziami. Można było przewidzieć na ogół, jakie w ocenie bieżących wydarzeń w kraju będzie stanowisko Ignacego Matuszewskiego, Aleksandra Bregmana, Adama Pragiera, Adama Ciołkosza czy Wojciecha Wasiutyńskiego, natomiast nie wiadomo było, jakie będzie stanowisko «Kultury». Nigdy nie było to takie wyraźne – kontynuuje Lidia Ciołkosz – jak w ocenie Października 1956 roku i Gomułki, gdy w imieniu zespołu «Kultury» Mieroszewski oświadczył: 'Dajemy kredyt Władysławowi Gomułce. Ufamy, że jego celem jest pełne uniezależnienie Polski od Rosji. Ufamy, że z udzielonego mu poparcia przez naród polski wyciągnie konsekwencje i chcąc się oprzeć na nie-komunistach da im głos i reprezentację'.”

Oczywiście, gdy Gomułka zawiódł pokładane w nim przez «Kulturę» nadzieje, pismo to wycofało swoje poparcie dla niego. O czym ten incydent świadczy? Świadczy on o pewnej naiwności politycznej redakcji pisma z jednej strony, ale także o zdolności do korygowania popełnionych błędów, z drugiej. Zdolność do



korygowania własnych błędów, a więc do odrzucenia hipotez, które nie sprawdziły się w praktyce, czy też zdolność do odrzucenia nieskutecznych środków, jest dowodem na to, iż «Kultura» w swojej działalności politycznej stosuje metodę eksperymentów, czyli prób i błędów. Zastosowanie tej metody bez wątplenia zwiększa ogromnie szanse na odkrycie skutecznych środków, które w końcu doprowadziłyby do urzeczywistnienia postawionego sobie celu (niepodległości Polski). A oto przecież chodzi.

Wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego w PRL, w grudniu 1981 roku, wielu zamorskich czytelników «Kultury» przeczytało ze zdumieniem, że Instytut Literacki (wydawca «Kultury») zawarł w dniu 18 października 1981 roku umowę z Niezależną Oficyną Wydawniczą (Nowa) w Warszawie. W umowie tej czytamy: „Instytut Literacki upoważnia ‘Nową’ do reprezentowania Instytutu Literackiego w stosunku do wszystkich wydawców i organów administracji i państwa” \*. Przykład ten również świadczy o błędnym rozeznaniu ówczesnej sytuacji politycznej w PRL, o nie przewidzeniu wprowadzenia, tuż potem, stanu wojennego.

Uważny czytelnik «Kultury» mógłby przytoczyć więcej podobnych przykładów. Jednym z takich uważnych czytelników jest Stefan Kisielewski, najpopularniejszy w Polsce katolicki publicysta polityczny. W artykule zatytułowanym „Spotkania z Jerzym Giedroyciem”, Kisielewski pisze, iż «Kultura» jest dla niego pismem „często irytującym swą zmiennością”. Zauważa on przy tym, z dezaprobatą, że „zmiennością też i taktyki Redaktor raczej się nie przejmował. Sekundował mu w tym [aż do śmierci] główny ideolog pisma Juliusz Mieroszewski”. Według Kisielewskiego również Mieroszewski „zmieniał koncepcje jak rękawiczki, czym się jednak Giedroyc nie przejmował”.

Stefan Kisielewski, w przeciwieństwie do redaktora «Kultury», jest bowiem zwolennikiem *stałych*, niezmiennych koncepcji politycznych, bez względu na to czy są one w praktycznym zastosowaniu skuteczne czy też nie. „Moją ideę dogadania się z Rosją [Sowiecką] ponad głowami Partii – pisze Kisielewski – Giedroyc uznał za mrzonki”. Jak wiadomo Stefan Kisielewski głosi swoją ideę porozumienia z Moskwą „ponad głowami Partii” prawie pół wieku, bez żadnych widocznych rezultatów. To go jednak nie zraża, ceni on bowiem sobie wyżej „ideę” niż rzeczywistość; uważając, iż jego idea jest „sluszną” tylko rzeczywistość doń nie pasuje. Takie, doktrynerskie podejście do polityki jest bezużyteczne, jest ono receptą na (niezamierzone w intencji) podtrzymywanie obecnego stanu rzeczy. Ale tym z kolei Kisielewski wcale nie przejmuje się; nie przejmuje się, bo nie zdaje sobie zapewne sprawy z konsekwencji wynikających z przyjętego przezeń sposobu działania politycznego.

Wydaje się, że niezrozumienie na czym polega skuteczność działań «Kultury» jest powszechne nie tylko w Polsce ale i na emigracji. Wacław A. Zbyszewski, czołowy publicysta emigracyjny, tak oto pisał na łamach «Kultury» w 1959 roku: „Gdyby mi powiedziano w 1939 roku, że po dwudziestu latach Giedroyc potrafi stworzyć sobie własny organ, własną platformę, własne środki egzystencji, niezależnie się od koniunktury, od czynników politycznych, nigdy bym w te przepowiednie nie uwierzył. Tyłu innych wydawało mi się zdolniejszych, o większych

\* «Kultura», listopad, 1981, str. 4.

talentach realizatorskich. Dzisiaj jeszcze patrzę na rezultaty jego wysiłków z niedowierzaniem raczej niż z podziwem. Jak on to zrobił? Jak to się stało?" Stało się to, jak już o tym wspomniano uprzednio, w wyniku zastosowania metody umożliwiającej najskuteczniejsze działanie polityczne: metody prób i błędów poddanych publicznej krytyce. Na emigracji jedną z dwóch osób stosujących tę metodę jest Jerzy Giedroyc (drugą był jego najbliższy współpracownik, Juliusz Mieroszewski). Na ironię więc zakrawa twierdzenie, że jest „tylu innych [Polaków] zdolniejszych, o większych talentach”. Jeśli tacy rzeczywiście na emigracji istnieją, to dlaczego w ciągu półwiecza jej istnienia żaden inny nie objawił się?

Objawił się natomiast krajowy odpowiednik «Kultury» paryskiej, czyli Giedroyc i Mieroszewski. Jest nim, a raczej był, Komitet Obrony Robotników (KOR), a w szczególności jego czołowy działacz, Jacek Kuroń. W PRL właśnie KOR był pierwszą organizacją dysydencką (opozycyjną), która w swojej działalności oparła się na tej samej metodzie co, wcześniej już to uczyniła, «Kultura» paryska. Przede wszystkim dzięki zastosowaniu tej, nowej wśród opozycji politycznej w PRL, metody działania, KOR odniósł spore sukcesy, w znacznym stopniu przyczyniając się, na przykład, do powstania wolnego związku zawodowego „Solidarność”, a także do przełamania państwowego monopolu informacji. Zaslugi KOR-u są jednak znacznie większe niż wymienione tu osiągnięcia, gdyż organizacja ta, ogólnie rzecz biorąc, przyczyniła się w walnej mierze do zmiany tradycyjnego wzorca działań dysydenckich (opozycyjnych) poprzez wprowadzenie, w słowie i czynie, nowej metody działania, metody znacznie skuteczniejszej od dotychczasowych. I na tym właśnie polega największa zasługa KOR-u.

Opisana tu metoda działania składa się, jak to łatwo zauważyć, z dwóch elementów: (a) prób (eksperymentów) oraz (b) publicznej krytyki konkretnych koncepcji i ich praktycznych zastosowań (ocena skuteczności). Niestety, ten drugi, niezmiernie ważny, element omawianej metody rzadko jest w rzeczywistości stosowany, czy to przez dysydentów w Polsce czy też działaczy politycznych na emigracji. I chociaż na ogólne stwierdzenie mówiące, iż krytyka jest użyteczna, bowiem często przyczynia się do skuteczniejszego działania, zgodzi się chyba każdy, to w praktyce polskiej publiczna krytyka rzadko jest stosowana. Dotyczy to również «Kultury». W swoich „Spotkaniach z Giedroyciem” Stefan Kisielewski twierdzi, iż „z biegiem lat redaktor [«Kultury»] stawał się coraz mniej liberalny wobec inaczej myślących”. Prawdopodobnie bliższe prawdy będzie jednak stwierdzenie, że redaktor «Kultury» nigdy nie był liberalny, a „liberalizm”, o którym wspomina Kisielewski, był pozorny. Choć bowiem na łamach «Kultury» pojawia się wiele artykułów krytycznych, to jest to krytyka stanowisk osób i organizacji, które nie podzielają *aktualnego* stanowiska redaktora Jerzego Giedroycia. A przecież prawdziwy liberalizm polega wszak na dopuszczeniu do głosu, na łamach własnego pisma, ludzi głoszących poglądy inne aniżeli jego redaktor. Tak pojęty liberalizm rzadko był, czy też jest, praktykowany na łamach «Kultury».

Niedocenianie, w praktyce, wartości krytyki publicznej wydaje się być powszechne wśród Polaków. Dla ilustracji przytoczmy kilka wypowiedzi na ten właśnie temat, wypowiedzi osób związanych z opozycją polityczną w Polsce i na emigracji. Tadeusz Mazowiecki, były redaktor «Tygodnika Solidarność», w opublikowanej

relacji z okresu internowania zanotował: „Niepisaną umowę naszego życia [w obozie dla internowanych] w Jaworzu stanowi nierozniecanie dyskusji dotyczących najnowszej przeszłości” \*. Podobnego zdania na temat publicznej krytyki jest Zdzisław Najder, były dyrektor sekcji polskiej Radia Wolna Europa. W liście do redakcji «Kultury» tak oto przedstawił swój punkt widzenia na krytykę publiczną: „Uważam za szkodliwe publiczne podawanie do wiadomości krytyki sojusznicznych oddziałów: to sieje zamęt i uleźwia walkę wrogowi. Takie sprawy omawiać się powinno na konferencjach sztabowych” \*\*. Pogląd Zdzisława Najdera co do krytyki publicznej podzielany jest przez Jerzego Milewskiego, kierownika zagranicznego przedstawicielstwa „Solidarności” (z siedzibą w Brukseli). Jerzy Milewski na publicznym spotkaniu z Polakami w Melbourne, w marcu 1988 roku, na pytanie dotyczące pewnych kontrowersyjnych posunięć ze strony krajowego kierownictwa „Solidarności” oświadczył, iż nie jest tu miejsce i pora na krytyczną ocenę „Solidarności”. Powstaje więc pytanie, jeśli nie tu, to gdzie? Jeśli nie teraz, to kiedy?

Częściowej odpowiedzi na te pytania udzielił niedawno wybitny polski pisarz, Kazimierz Brandys. W opublikowanym w 1987 roku czwartym tomie *Miesiące* pisze on: „zostałem gwałtownie napadnięty” publicznie przez poetę Zbigniewa Herberta \*\*\*. I dodaje: „Herbert zaskoczył mnie”. Dlaczego? Dlatego że „ani razu nie wypowiedział mi w oczy zarzutów, jakie teraz ogłosił przeciw mnie publicznie. A mógł je wypowiedzieć [prywatnie] choćby przed niespełna rokiem, kiedy był u mnie”. Z dalszej wypowiedzi Kazimierza Brandysa wynika niedwuznacznie, iż nie jest on przeciwnikiem krytyki jako takiej, jest on tylko przeciwnikiem publicznej krytyki. Według niego najlepszym miejscem do uprawiania krytyki są miejsca prywatne. Co jest jednak ważniejsze, wypowiedź krytyczna powinna być ograniczona, jeśli chodzi o zasięg, do osoby krytykowanej. Krytyk, w przekonaniu Kazimierza Brandysa, nie powinien się dzielić krytyczną wypowiedzią z nikim innym poza osobą krytykowaną, czyli winien unikać wystąpień publicznych.

Wydawać by się mogło, że Kazimierz Brandys jest z zasady przeciwnikiem publicznego oceniania działalności człowieka. Otóż okazuje się, że tak nie jest. Uważa on bowiem, iż opinie pozytywne należy właśnie głosić publicznie: „Znajomy – pisze Kazimierz Brandys – przywiózł mi książkę świeżo opublikowaną przez redakcję *Europeo*, rekomendującą sto najwybitniejszych tomów literatury obcej przełożonej na język włoski w latach 1948-1986. Literaturę polską reprezentują *Transatlantyk*, *Żywe i martwe morze* oraz *Miesiące* [Kazimierza Brandysa]”.

Jest bezspornym faktem, iż omawiana tu metoda działa najskuteczniej, gdy stosowana jest w całości, gdy używane są oba jej elementy składowe (próby i publiczna krytyka), a nie tylko jeden. Zdzisław Najder, jeden z członków założycieli (w 1976 roku) niejawnie działającej organizacji opozycyjnej, Polskie Porozumienie Niepodległościowe (PPN), w książce zatytułowanej *Ile jest dróg?*, to znaczy, ile jest środków na urzeczywistnienie celu tej organizacji, czyli niepodległości, odpowiedział: „Droóg jest wiele”, zaznaczając, iż „najistotniejsze jest, abyśmy

\* Tadeusz Mazowiecki, *Internowanie*, «Aneks», Londyn, 1982, str. 58.

\*\* «Kultura», maj 1984, str. 173

\*\*\* Kazimierz Brandys, *Miesiące: 1985-1987*, Instytut Literacki, Paryż, 1982, str. 148.

w dążeniu do niej różnymi drogami nie przeszkadzali sobie”\*. Z tokiem rozumowania Najdera nie zgodził się Jacek Kuroń, który twierdził, iż nie można z góry założyć, że w każdej konkretnej sytuacji istnieje wiele sposobów na zrealizowanie celu. Hipotezę tę należy uprzednio udowodnić, czego Zdzisław Najder nie uczynił. Kuroń ponadto twierdził, i to stanowi sedno omawianego tu sporu, że jeśli nawet istnieje wiele sposobów na zrealizowanie określonego celu, to jeszcze z tego wcale nie wynika, iż wszystkie owe sposoby są równie skuteczne. Jest wielce prawdopodobne, kontynuował Jacek Kuroń, iż w rzeczywistości spośród wielu możliwych sposobów niektóre są skuteczniejsze od pozostałych; i te właśnie należy przede wszystkim zastosować, a odrzucić mniej skuteczne lub nieskuteczne, bo i takowe bywają również stosowane.

Z rozumowania tego Kuroń wyciągnął wniosek, że należy publicznie, na łamach niezależnej prasy, krytykować środki używane przez polskich opozycjonistów bowiem jest to najlepszy sposób na dotarcie do jak największej ilości osób zainteresowanych działalnością opozycyjną, a to z kolei stwarza szanse na wypracowanie najskuteczniejszych środków wiodących do celu. Innej, równie skutecznej drogi, w praktyce nie ma. Zdzisław Najder uznał metodę Kuronia za błędną, za równoznaczną z „przeszkadzaniem sobie”. Oczywiście, w sporze tym, fundamentalnym jeśli chodzi o przyszłość opozycji politycznej w PRL, rację miał Kuroń a nie Najder.

Na całe to zagadnienie, zagadnienie dotyczące metody działania, można spojrzeć z innej jeszcze, szerszej, perspektywy, która sprowadza się do odpowiedzi na kluczowe, ogólne, pytanie: co jest powodem, że w życiu społeczeństw (narodów) obserwujemy zadziwiająco *ciągłość* pewnych form zachowania z jednej strony, i zmian tychże form zachowania, jakie się jednak od czasu do czasu pojawiają, z drugiej. Odpowiedź na tak postawione pytanie brzmi: ciągłość zachowań jest rezultatem kontynuowania przez każde społeczeństwo pewnych, określonych, *wzycząjów*

Raz jeszcze ucieknijmy się do przykładu, aby wytłuszczyć ogólnie tu przedstawioną myśl. Kilka lat temu odwiedził mieszkających w Australii Polaków chór niewidomych dziewcząt z miejscowości Laski pod Warszawą. Chór ten, po odbyciu serii koncertów, miał powrócić do Polski tą samą trasą, jaką przybył. W międzyczasie jeden z działaczy emigracyjnych w Sydney zaproponował chórzystkom powrót nie przez Taszkent, lecz przez Rzym, a to w celu spotkania się z papieżem Janem Pawłem II. Niewiarygodne, ale propozycja ta spotkała się z mocnym sprzeciwem, oczywiście nie ze strony chórzystek, a ze strony innych działaczy emigracyjnych. Twierdzili oni bowiem, że chór powinien wrócić do Polski dokładnie tą samą trasą, jaką przybył do Australii. W końcu postanowiono spór ten rozwiązać w sposób następujący. Osoby zainteresowane, czyli chórzystki, same miały zdecydować, czy pragną wrócić do Polski zaplanowaną uprzednio trasą, czy też nową trasą, poprzez Rzym. Czytelnik pomyśli sobie zapewne, iż wyboru powrotnej trasy dokonano poprzez głosowanie, i o ile zaistniała różnica zdań, to mniejszość podporządkowała się woli większości. Otóż nie, działacze emigracyjni z Sydney narzucili bowiem chórzystkom metodę *liberum veto*, to znaczy, że gdyby nawet

\* Zdzisław Najder, *Ille jest dróg?*, Instytut Literacki, Paryż, 1982, str. 84.

jedna chórzystka wyraziła sprzeciw przeciwko zmianie trasy powrotu, to wówczas cały chór miał powrócić do Warszawy uprzednio zaplanowaną trasą. Powie kto, że przykład ten, choć prawdziwy, dotyczy, po pierwsze, sprawy błahej, a po drugie, Polaków mieszkających na emigracji a nie w kraju. Kto inny mógłby dodać jeszcze, iż dotyczy on ludzi mało znanych i być może „prostych”.

Przytoczmy więc inny przykład, krajowy, odnoszący się do spraw nie błahych i dotyczący ludzi bez wątplenia „nie prostych”, bo odnoszący się do, pod wielu względami, elity intelektualnej dzisiejszej Polski. Przykład ten dotyczy Komitetu Obrony Robotników. W pierwszą rocznicę powstania Komitetu jego członkowie postanowili zwołać zebranie w celu przedyskutowania dalszej przyszłości KOR-u. W czasie zebrania kilku członków Komitetu twierdziło, że KOR powinien rozwiązać się, ponieważ zrealizował postawione sobie doraźne cele (przyczynił się bowiem do zwolnienia wszystkich uwięzionych robotników aresztowanych w czasie zajęć czerwcowych w 1976 roku). Przytłaczająca jednak większość członków KOR-u była przeciwna rozwiązaniu Komitetu. Autor opublikowanej w 1983 roku książki o KOR-ze, Jan Józef Lipski, pisze, iż jeden ze zwolenników rozwiązania Komitetu, Wojciech Ziemiński, „jako argument w dyskusji podniósł zasadę *veta*, obowiązującą jego zdaniem w KOR-ze. Rzeczywiście – zauważył Lipski – wytworzył się w Komitecie obyczaj, by przy sprzeciwie choć jednej osoby w miarę możliwości odkładać decyzję aż do znalezienia formuły kompromisowej. Nigdy jednak KOR zasady *veta* nie przyjął formalnie, natomiast zarysowała się perspektywa sparaliżowania KOR-u metodą *liberum veto*” \*.

Fakt, iż w nawet tak elitarniej, w sensie intelektualnym, organizacji jak KOR „wytworzył się obyczaj [zwyczaj]” jedynomyślności, świadczy dobitnie o tym, że to nie rozum jest przewodnikiem w życiu ale zwyczaj, [bez] niego nie wiedzielibyśmy nigdy jak dopasować środki do celu.” „Wszystkie [bowiem] wnioski z doświadczenia są skutkiem zwyczaju a nie rozumowania”. Jak to zauważył pewien osiemnastowieczny filozof europejski: „Taki jest wpływ zwyczaju, że tam, gdzie jest najmocniejszy, nie tylko kryje naszą naturalną ignorancję, ale nawet ukrywa się przed nami; i pozornie nie istnieje tylko dlatego, że występuje w najwyższym stopniu.” \*\* To, że osoby tak odległe od siebie w czasie jak, na przykład, dysydent Wojciech Ziemiński i szlachcic Jan Chryzostom Pasek są Polakami, jest również skutkiem praktykowania określonych zwyczajów.

Przeko największym, niezaprzeczalnie, osiągnięciem KOR-u było, podkreślmy to ponownie, przełamanie, w znacznej mierze, pewnego zwyczaju politycznego dotychczas nagminnie praktykowanego, zwyczaju, który okazał się w praktyce mało skuteczny. Zwyczaj ten zastąpiony został w szerokim stopniu przez metodę o wiele skuteczniejszą, metodę prób i błędów poddanych publicznej krytyce.

Laureat literackiej nagrody Nobla, Czesław Miłosz, na zadane mu publicznie pytanie, co, według niego, jest największym osiągnięciem paryskiej «Kultury», odpowiedział: „publikacja moich dzieł”. \*\*\* Patrząc na to z szerszej nieco perspektywy

\* Jan Józef Lipski, *KOR*, Londyn, 1983, str.174.

\*\* David Hume, *An Inquiry Concerning Human Understanding*, The Liberal Arts Press, Inc, Indianapolis, 1955, str. 43, 57 i 59.

\*\*\* Video – film, «Kultura», produkcji paryskiej firmy Video-Kontakt.

wyduje się jednak, iż największe osiągnięcie «Kultury» dotyczy innej sfery działalności owego pisma, sfery *polityki*. I jest nim, jak to już wielokrotnie wspomniano, wprowadzenie w sferę życia politycznego Polaków, tak na emigracji jak i w kraju, nowej metody działania politycznego: metody prób i błędów poddanych publicznej krytyce.

Jeśli osoby stosujące ową metodę nazwać metodystami, to – w tak pojętym sensie tego słowa – metodystą numer jeden w dwudziestowiecznej historii politycznej Polaków jest niewątpliwie Jerzy Giedroyc.

Melbourne, lipiec 1988

## Z PERSPEKTYWY DOMOWEJ / Jacek Grynicz

Jest taki kraj, gdzie władza kobieta-tyran, perfidna, kłamliwa i okrutna, która przebrana za kozaka wyżywa się bezwzględnie na ludziach i zwierzętach. W państwie tym prześladowana jest nie tylko wszelka próba oporu społecznego i to zarówno wtedy, gdy przybiera formę ruchów pracowniczych, ekologicznych, czy politycznych, ale również religia i duszpasterze. Uciskani mieszkańcy tej krainy dać mogli wyraz swej niedoli tylko dzięki temu, że straszna władczyni wyjechała na kilka dni zagranicę, by szerzyć tam hipokryzję a nawet uprawiać ludobójstwo.

Jeśli ktokolwiek miałby wątpliwości, to wyjaśniamy od razu, że tym padolem też i rozpaczy jest Wielka Brytania AD 1988. Niekompletny obraz jej nieszczęść powyżej zaserwowany to wyciąg z wystąpień czołowych przedstawicieli opozycji i związków zawodowych Zjednoczonego Królestwa oraz opinii wyrażanych przez mniej lub całkiem nieczołowych reprezentantów tutejszych prądów myślenia, którym prasa udostępniła swe łamy, by podzielić się mogli swymi poglądami na temat podróży pani Thatcher do Polski.

Przywódcy Partii Pracy i działacze związkowi zaatakowali panią premier za to, że w Warszawie domaga się legalizacji „Solidarności”, podczas gdy u siebie działalność związkowej zakazuje. Tak się właśnie złożyło, że na kilka dni przed wyjazdem pani Thatcher do Warszawy rząd postanowił sfinalizować podjętą przed kilku laty decyzję zakazu działalności związkowej w GCHQ w Cheltenham. Zainteresowanym wyjaśnijmy, że za tym eleganckim skrótem kryje się najważniejszy ośrodek nasłuchowy w Wielkiej Brytanii, a jego pracownicy zajmują się ogólnie mówiąc czynnościami należącymi do dziedziny kontrwywiadu. Tak się składa, że ograniczenia i zakazy zrzeszania się dla ludzi zatrudnionych w służbach specjalnych – a nawet w zwyczajnej policji – są na świecie czymś powszechnym i tolerowanym przez międzynarodowe konwencje prawa pracy. Jeżeli sprawa związkowców z Cheltenham ciągnęła się tak długo, to właśnie dlatego, że zainteresowani nie omieszkali wykorzystać wszystkich dostępnych im środków apelacji w sądach krajowych i w trybunale europejskim, za każdym razem jednak wygrywał rząd Jej Królewskiej Mości.

Oczywiście można się z takim podejściem nie zgadzać i Partia Pracy możliwość tę wykorzystuje. Nie zadowolili się ona jednak obietnicą, że w momencie dojścia do władzy, momencie, który, jak wskazuje sposób głosowania mieszkańców tego kraju, tak szybko nie nastąpi, przywróci prawa agentów do działalności związkowej, ale zaatakowała panią Thatcher za to, że w identycznej rzekomo sytuacji w Polsce, zajmuje odwrotne niż w Anglii stanowisko. „Solidarność” – krzyczał leader labourzystowski, Neil Kinnock – zaczyna się u siebie!

Prawem i zwyczajem w krajach demokratycznych jest systematyczne atakowanie rządu przez opozycję. Kiedy jednak minister spraw zagranicznych w labourzystowskim gabinecie cieni odrzuca panią Thatcher obelgami za to, że wzywa gen. Jaruzelskiego do uznania „Solidarności”, a jego rzecznicy porównują jej wystąpienia z hitlerowskim atakiem na Polskę, to działają nie tylko przeciw zasadom politycznego *fair play*, z których ustanowienia Brytyjczycy są tak dumni. Wyrabiają oni bowiem w opinii publicznej, słabo zorientowanej w sprawach międzynarodowych, przekonanie, że Polska rządzona jest przez Jaruzelskiego, tak jak Wielka Brytania przez panią Thatcher. I że niejaki Wałęsa, domagając się od władców PRL przestrzegania podstawowych praw człowieka, przesadza dokładnie tak samo jak oni, gdy atakują rząd konserwatywny za tych praw rzekome łamanie. Żeby obraz był pełniejszy, a przy tym jeszcze bardziej pomieszany, do angielskich związkowców, przywódcy labourzystowskie przypinają brytyjskich biskupów, których lokatorka numeru 10 Downing Street też miała jakoby wystrychnąć na dudka i załamują ręce nad brakiem wstydu pani Thatcher. Jeśli już o bezwstydnosci mowa, to jedynie w wypowiedziach Neila Kinnocka odczytać można aluzyjne tylko, ale zawsze poparcie dla związkowców w Polsce. Jego towarzysze partyjni takimi głupstwami nie zawracają sobie głowy.

Szczytem skromnego a dobrego smaku jest natomiast list pani wiceprzewodniczącej CDN – Akcji na Rzecz Rozbrojenia Nuklearnego, organizacji, która historycznie występuje przeciw uzbrojeniu Wielkiej Brytanii i Zachodu w ogóle, nie wykazując zainteresowania zbrojeniami sowieckimi. Pani ta, nawiązując wyraźnie do wieńca złożonego przez szefa rządu brytyjskiego na grobie ks. Popieluszki, pisze, że czeka na dzień, w którym „zagraniczni dygnitarze” składać będą kwiaty na grobie chłopca, który zginął, gdy konwój atomowy zderzył się z jego samochodem”.

Do deformacji sensu podróży pani Thatcher i zarazem do banalizacji totalitaryzmu przyczyniły się też jakoś różne marginalne lub ekscentryczne wypowiedzi kolportowane przez tzw. prasę popularną, która się z reguły polityką międzynarodową nie zajmuje. Moi znajomi zwrócili uwagę na protest towarzystwa obrony praw zwierząt przeciw futrzanej czapce pani premier, która nie spodobała się również pewnemu Polakowi, ponieważ przypominała mu rosyjską modę nie do pogodzenia z szacunkiem dla suwerenności Rzeczypospolitej.

Istnieje obawa, że wśród tej kakafonii wielu Brytyjczyków nie zauważy tego, co z tutejszego punktu widzenia jest najważniejsze w podróży pani Thatcher. Wizyta ta położyła zdaniem poważnych komentatorów fundamenty do nowej, aktywnej i spójnej polityki brytyjskiej w Europie Wschodniej.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----

**K W A R T A Ł**

### **SIERPIEŃ**

• Kartka z kalendarza w partyjnym dzienniku «Głos Wybrzeża»: „Dziś poniedziałek, 8 sierpnia; Swędzących rąk nie drap cudzymi banknotami; Imieniny obchodzą – Alban, Cyriak, Emil, Emiliana, Esmeralda, Gustaw, Ugolin, Joanna, Niezamyśl, Serafina, Sobiesław, Sylwia, Szczęsny, Szmaragd; 1883 – urodził się Marcei Nowotko, współorganizator grupy inicjatywnej PPR, I sekretarz KC PPR; Słońce weszło o 5.10, zajdzie o 20.32”. • Mecenasa Władysława Siła-Nowickiego w rozmowie z redaktorem «Tygodnika Kulturalnego» opowiada m.in. o procesie ośmiu osób z kierownictwa WiN, na którym zapadło osiem wyroków śmierci: „...wszystkie, poza jednym – moim, zostały w marcu 1949 r. wykonane. Mnie uratowała interwencja rodzonej siostry Feliksa – Aldony Dzierżyńskiej u ambasadora ZSRR Wiktora Lebediewa. Otóż moja rodzona ciotka, starsza siostra mego ojca – Stanisława Siła-Nowicka, wyszła za mąż za Ignacego Dzierżyńskiego, rodzony brata Feliksa. Dodam, że ten ostatni w 1905 r. przez czas pewien ukrywał się w naszych Wylągach. Zaś z Aldoną Dzierżyńską, I voto Bułkoczną, II voto Kojotowiczową łączyły mnie i moją żonę bardzo serdeczne stosunki, niejako niezależne od wspomnianych koneksji rodzinnych. Ze względu na fakt, że z całej rodziny była ona najbliższa dla Feliksa, liczone się z nią bardzo. Potężny ambasador przyjmował ją zawsze natychmiast, ale nie interweniował w tego typu sprawach nigdy i musiała nawet ona prosić go wiele razy – wystarczy powiedzieć, że ostatnia rozmowa, po której wreszcie pojechał do Belwederu, do Bolesława Bieruta, trwała 6 godzin”. • «Tygodnik Powszechny» zamieścił na swoich łamach recenzję z książki Leszka Proroka *Inicjacje Conradowskie*. Recenzję napisał Zdzisław Najder. Zdaniem «Trybuny Ludu» wybór „takiego akurat recenzenta świadczy o moralnej degrengoladzie redaktorów katolickiego pisma. Najder – oznajmił organ Komitetu Centralnego PZPR – „wprawdzie lubił prezentować się jako wybitny ‘conradolog’, ale wstawił się chyba jeszcze bardziej na innym – mniej intelektualnym – polu (...) Cięży na nim prawomocny wyrok śmierci za przestępstwa przeciw ojczyźnie”. Jedno z dwojga zatem: „Albo «Tygodnik Powszechny» chce manifestować co najmniej lekceważący stosunek do wyroków sądów państwowych (...) Albo jego zamierzanie do pluralizmu jest tak wielkie, że w imię jego usiłuje wprowadzić w ‘obieg kulturalny’ również szpiegów i zdrajców” • Radziecki miesięcznik «Znamia» opublikował wiersz Włodzimierza Wysockiego o Powstaniu Warszawskim. Przekład polski zamieścił «Tygodnik Kulturalny». Przytaczamy



dwie zwrotki: „Tam czekali każdej chwili / Czy pomoc nadchodzi / No, a nasi zmarudzili / Coś koło dwóch godzin / Chociaż wroga się nie bali / Szliby w bój od razu / Lecz niejedną tzę wylali / Czekając rozkazu (...) / Wciąż będziemy spory wiedli / Z czyjej w końcu winy / Nasi wtedy obiad jedli / Przeszło dwie godziny / Czy mam wierzyć historyjkom / Że te tzy wylano / By po nosie dać Anglikom / I Amerykanom?”. • Dyrektor Teatru Muzycznego w Gdyni Jerzy Gruza opowiada dziennikarce «Głosu Wybrzeża» o najbliższych planach repertuarowych: „Maria Nurowska napisała dla nas musical o Powstaniu Warszawskim. General Bór-Komorowski śpiewa. Szokujące? Jeżeli Chrystus może być bohaterem rock-opery to chyba wszystko jest możliwe. Mogę pani zdradzić, że jest – oszalamiający – pomysł napisania musicalu pt. *Piłsudski* • Jacek Maziarski w tygodniku «Ład»: „Gdy usłyszałem ‘Pierwszą Brygadę’ śpiewaną na kołobrzesckim festiwalu (piosenki żołnierskiej – przyp. ZM), zaś na pierwszym planie snuł się jakiś przebieraniec udający Komendanta (oglądałem to w telewizji), poczułem leciutkie uktucie niepokoju. Obyśmy nie zmienili siedemdziesięciolecia odzyskania niepodległości w kostiumowe widowisko słowno-muzyczne z maciejówkami, piosenkami, łańskimi lampasami i innymi rekwizytami pożyczanymi od Kossaka (...) Żądajmy najpierw dań podstawowych, a tych właśnie nieraz brak, nie dając się nabrać na przystawki i desery. Jeśli chodzi o mnie, chciałbym na przykład przeczytać rzetelną książkę o pokoleniu Piłsudskich, Żeromskich, Sławków i im podobnych, którzy byli ojcami odzyskanej niepodległości, ponieważ mieli odwagę pójść pod prąd, przeciwstawiając się powszechnym nastrojom rezygnacji, filozofii realistycznego konformizmu, duchowi ugody z rozbiornymi. Kim więc byli naprawdę ci ludzie, których wtedy uważano za stukniętych (dziś mówiono by o nich zapewne, że są fundamentalistami), choć historia tak szybko dowiodła, że właśnie oni myśleli trzeźwo?” • Komienda Główna Milicji Obywatelskiej poinformowała o wykryciu i aresztowaniu zabójców Jana Strzeleckiego – dwóch młodych pracowników sezonowych Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu, którzy – jak się okazało – mają na swoim koncie wiele innych napadów rabunkowych. Major Wojciech Garstka, rzecznik prasowy MSW, oświadczył, że ciekaw jest, czy sygnariusze apeli wyrażających dezaprobatę dla przynajmniej milicji i prokuratury w tej sprawie zdobędą się teraz na przeprosiny oraz czy potępią publicznie tych, którzy twierdzili, że winnymi śmierci Jana Strzeleckiego „są te same diabły, które zamordowały księdza Popiełuszkę”. Za pomoc w ujęciu zabójców wyznaczone zostały nagrody w łącznej wysokości 6 milionów złotych, nie wiadomo jednak, czy je ktoś otrzymał. „Źródło informacji znane jest naszemu pionowi kryminalnemu” – stwierdził kapitan Jan Gozdek. Bandyci pokazani w Dzienniku Telewizyjnym zachowywali się ze zdumiewającym spokojem i pewnością siebie, co skłoniło wiele osób do przypuszczenia, że sfilmowana wizja lokalna na miejscu zbrodni była mistyfikacją i że prawdziwi mordercy to jednak „te same diabły”... • Udzielając wywiadu redaktorom tygodnika «Kultura» Andrzej Kuśniewicz powiedział, że w pobliżu jego mieszkania przy ulicy Madalińskiego w Warszawie pojawiło się na murze „jasno brzmiące hasło: Bić Żydów! Nie demonizowałbym tego odosobnionego, mam nadzieję, incydentu, niemniej o czymś on jednak świadczy. Czy to się komus spodoba, czy nie”. Przyznana mu nagrodę miesięcznika «Literatura» Kuśniewicz

przekazał niedawno na odnowę zniszczonego Cmentarza Żydowskiego w Warszawie. • Znanе ze swych antysemitickich wybrków Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” wydało „Śpiewnik Grunwaldzki”. Obok *Bogurodzicy*, *Roty* oraz innych pieśni historycznych znajdujemy w nim teksty współczesne. Oto próbki: „Znak Grunwaldu jednoczył żołnierzy / Pod Narwikiem, w Berlinie, wśród kul / Dziś buduje tradycje młodzieży / Nie omija też i naszych ról”, „Na nowo się dziś jednoczymy / Wszak siły piekielne ma wróg / I grozi wojnami gwiazdnymi / W jedności wspomóże nas Bóg”. • Radcę attaché kulturalnego ambasady sowieckiej w Warszawie Jewgienija Niewiakina opisuje w tygodniku «Kultura» „literat partyjny” Aleksander Minkowski: „Żenia” – rozczuła się – „Żeńka”, „mój tęgi ogromny przyjaciel ze spiczastą bródką”, „encyklopedia personalno-kulturalna PRL”. Ileż to niezapomnianych wspomnień, wspólnych przeżyć! Ot, choćby nieudana wyprawa na ryby: „Uknuliśmy, że zrywamy się pod koniec obrad – piątkowe popołudnie i prujemy prosto do mojej wsi (...) Już będzie się kończyło sympozjum, już w towarzystwie Kazia Molka chytkiem pomknijemy do samochodu, żeby na te dwa dni dać nogę od Spraw Wielkich, kiedy dobiegnie nas uprzejme wołanie ‘Towarzyszu Niewiakini! Hop-hooooop! Ambasada dzwoooniiii!’” Nie udało się, niestety. Ale przecież tyle razy „spotykaliśmy się w naszych domach (...) raz krupniok na gorąco, raz skumbria ‘chołodnowo kopczenija’, żółta wędzona słoninka. I spory, i dyskusje do świtu bladego. – Czy nie na głowę upadli ci, co tu głoszą o ‘sowietyzacji’ polskiej kultury? Toć wasza kultura kwitnie...” • „Wszyscy jesteście omylni – czytamy w «Życiu Literackim» – 21 lipca usłyszeliśmy w transmisji telewizyjnej ze zlotu grunwaldzkiego harcerzy, że hetman Żółkiewski zginął pod Cecorą w 1610. Naprawdę było to dziesięć lat później. W 1610 Żółkiewski odniósł zwycięstwo pod Kłuszynem”. Kto właściwie omylił się 21 lipca? Sprawodawcy telewizyjni? Harcerze? Nie, nic podobnego. Błędną datę śmierci hetmana Żółkiewskiego podał – przepytując harcerzy z historii – generał Jaruzelski. Tego już, ma się rozumieć, redaktorzy pisma nie byli w stanie wydukać. • Znany krytyk i historyk literatury Jan Prokop przekazał redakcji «Tygodnika Powszechnego» pismo urzędowe o następującej treści: „Urząd Celny w Warszawie po rozpatrzeniu sprawy nadesłania z zagranicy przedmiotów zatrzymanych według protokołu z dnia 13 VII 88 r. w przesyłce nr Zw. bez nr z Anglii dla ob. Jan Prokop na podstawie art. 13 ust. 1, 3 Prawa Celnego (jednolity tekst ogł. w Dz.U. nr 57 poz. 290 z 1984 r.) orzeka przepadek 1 egz. publikacji *Przed i po* St. Barańczaka. Książka jest zbiorem szkiców literackich dotyczących wybranych utworów poetyckich, które ukazały się w kraju w okresie poprzedzającym powstanie ‘Solidarności’ oraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Znaczna część cytowanych i propagowanych wierszy z tego okresu ukazała się nielegalnie w drugim obiegu i ma charakter antypaństwowy, wyszydzający i znieważający konstytucyjny ustrój PRL, oraz podburzający przeciw jej porządkowi prawnemu. Orzeczono przepadek z uwagi na zakaz przywozu, ponieważ wymienione publikacje zawierają treść szkodliwą dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Powyższe pismo – komentuje adresat – wydaje się na pewno warte szerszego upowszechnienia. • Ustosunkowując się do oświadczenia „literatów partyjnych”, że są oni skłonni „dokooptować do istniejących struktur ZLP wszystkich chętnych do partnerskiej współpracy”

Egon Naganowski na spotkaniu z ministrem kultury i sztuki Aleksandrem Krawczukiem w Poznaniu powiedział (cytujemy za relacją wtygodnika «Wprost»): „Panie Ministrze, przecież to jest tak, jakby jakiś złodziej ograbił najpierw pana ze wszystkiego i wyrzucił z domu a nawet przywłaszczył sobie pańskie nazwisko i po pewnym czasie przyszedł proponując ‘zgodę’ – że od dziś będziecie razem mieszkać, że on się łaskawie zgadza, abyście nosili teraz obaj pańskie nazwisko”. W odpowiedzi, minister Krawczuk wyłożył kawę na ławę: „Nie zgadzam się z twierdzeniami, że nowy związek cokolwiek sobie przywłaszczył, bo przecież... stary niczego nie posiadał. Był utrzymywany przez państwo, więc władza miała formalne prawo uczynić co zechce z tym, co dała związkowi w dzierżawę”. ● Kisiel polemizuje z poglądem, że dawny Związek Literatów Polskich „wyrzązał autentyczne aspiracje narodu” przypominając, że „nawet w okresach najbardziej liberalnych nie było to miejsce przyjemne”. „Któż odważy się na heretyczne przypomnienie, że wieloletni, ogromną większością wybrani prezisi ZLP Kruczkowski i Iwaszkiewicz to wcale nie byli pogromcy cenzury i płomienni obrońcy wolności słowa, lecz zgoła przeciwnie (...) Pan Jarosław miał zwyczaj usuwania z protokołów literackich zebrzań wszelkich wzmianek o cenzurze, a tym, co go na tej czynności przyłapywali, radził, aby biorąc przykład z niego, pisali tylko o miłości i o śmierci, a wtedy się pod cenzurę nie podpada... Taki to był ojczulek dobroczyńca i ani jego, ani innych związkowych mandarynów przez długie dekady nie obchodzili nic pisarze, którzy nie chcieli się włączyć w każdą polecaną bujną i długo, nieskończenie długo wegetowali na marginesach Związku, ledwie tolerowani...”. ● Władze wyraziły zgodę na zwołanie „przez ob. Juliusza Żuławskiego Zgromadzenia Ogólnego członków PEN-Clubu w celu wyłonienia statutowych władz stowarzyszenia”. „Pozostaje tylko pytanie – zauważa «Tygodnik Powszechny» – w imię czego przez sześć lat pozbawieni byliśmy PEN-Clubu i dlaczego przez całe lata nie wolno było Juliuszowi Żuławskiemu uczynić tego, na co się dziś wreszcie zezwala”. „Sprawa nie była i nie jest prosta – oznajmił rzecznik rządu Jerzy Urban. – Chodzi o to, aby polski PEN-Club służył jednoczeniu środowiska, nie zaś jego dzieleniu. Jednakże, jak to zawsze mówiliśmy, jest to sprawa samego środowiska pisarzy”. ● W podziemnych magazynach Muzeum Narodowego w Krakowie odnaleziono zbiór plakatów rosyjskich i radzieckich z lat 1905-1920. Od pół wieku nikt ich nie oglądał. ● Wydawnictwo «Współpraca» Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zapowiada bestsellery. Dyrektor zapewnia, że w najbliższym czasie ukaze się m.in.: *Życie na Kółmie* Anatolija Żygulina, *Rewolucja 1917*, *Stalin i stalinizm* oraz *Breżniew* Roja Miedwiediewa, *Chruszczow* Fiodora Burlackiego a także zbiorowa praca zatytułowana *Białe plamy* – wybór tekstów o *pierestrójce*. ● W warszawskiej mennicy wybity zostanie medal ku czci ofiar Katynia. Medal będzie kwadratowy, na jednej jego stronie znajdzie się orzełek z oficerskiej czapki, pęknięta szabla z napisem „Honor i...” oraz tekst „Pamięci oficerów polskich zamordowanych w Katyniu”. Na drugiej stronie medalu wygrawerowane będzie słowo „Katyń” oraz sylwetki stojących nad wspólną mogiłą oficerów w rogatywkach i z rękami skrupowanymi drutem kolczastym. ● List „w sprawie Władysława Bieńkowskiego” opublikował tygodnik «Kultura». Autorka listu – Eleonora Syzdek przypominając w skrócie polityczną oraz intelektualną biografię „partyjnego dysydenta”,

„konsekwentnego bojownika o odrodzenie socjalizmu w Polsce” pisze, że „na 60-lecie Wielkiej Rewolucji Październikowej posłał on do Leonida Breżniewa obszerny tekst ukazujący rzeczywiste losy rewolucji oraz przyczyny sprawcze narastającego dramatu. Nigdy na ten list nie otrzymał odpowiedzi”. „Być może, któryś z wydawców w kraju odważy się podjąć trud wydania dzieł zebranych Władysława Bieńkowskiego (a więc i – dodajmy – jego książek opublikowanych przez Instytut Literacki w Paryżu – ZM). Byłaby to likwidacja wielkiej ‘czarnej plamy’ na obszarze polskiej nauki i myśli społecznej(...)”. Bieńkowski, który pracuje nad „książką życia” zatytułowaną *Zrozumieć socjalizm*, zapytany przez Eleonorę Syzdek, co sądzi o napisanym przez nią liście, odpowiedział: „Ekshumuje się zwykle niezujących. Pani próbuje wyprzedzać historię, wbrew ostrzeżeniu znanej sentencji, że ci, którzy wyprzedzają historię, muszą potem na nią czekać, często w niezbyt wygodnych pomieszczeniach”. • Błąd korektorski w tekście felietonisty «Polityki» zauważył Adam Galis. Zamiast słowa „łagry” wydrukowano tam słowo „lgary”. „Może to był zamierzony żart – zastanawia się Galis w liście do redakcji – tyle już nałgano o tych łagrach, że można by je nazwać ‘lgarami’”. Swoją drogą, w łagrach zamykano swego czasu także korektorów. Ba! Za jedną literówkę „Sralin” – nawet ich rozstrzeliwano. • Plastykę radziecką z epoki *pierestrojki* pokazano w Warszawie na Placu Defilad 1. Wystawa w pałacowej galerii „Marmury” zatytułowana jest „Nowi Rosjanie”. Wśród zróżnicowanych opinii zwiedzających, wyrażonych w Księdze Pamiątkowej wystawy („Wspaniałe!”, „Beznadziejne!”, „Obłęd!”, „Dno!”) na uwagę zasługuje protest turystów z Charkowa: „Nie hańbić Związku Radzieckiego! Kto na to pozwolił?” „Odnowa nie dokonuje się łatwo” – zauważa w recenzji z wystawy redaktor «Trybuny Ludu». • Uczymy się języka propagandy. Lekcja pierwsza. Biuro Prasowe Rządu o pustoszejących sklepach: „Miało również miejsce wyprzedzające w stosunku do upływu czasu zaangażowanie produktów na kierunki nie związane bezpośrednio z zaopatrzeniem rynku”. Lekcja druga. Polska Agencja Prasowa o niepokojach w kopalni miedzi „Rudna”: „Praca w kopalni „Rudna” i w innych zakładach górniczych Zagłębia Miedziowego trwa bez zakłóceń. Wbrew doniesieniom Radia ‘Wolna Europa’, o wydarzeniach z 29 lipca pamięta tylko garstka kucharzy, którzy chcą upiec pieczeń, ale brakuje im oliwy...”. W kilku dziennikach słowa „garstka kucharzy” wydrukowano wielkimi literami. • Folklor strajkowy: 1. Napis na taczkach przygotowanych do wywożenia łamistrajków z kopalni „Manifest Lipcowy” – „TAXI – strajkowy instrument demokratycznego wyrażania woli”. 2. Mur Stoczni Remontowej. Na murze podobizna rzecznika prasowego rządu w klatce po kanarku. Podpis: „Hej, Urban! Już się nie zobaczymy”. 3. Happening w Stoczni Gdańskiej – defilada wózków akumulatorowych przerobionych przy pomocy styropianu na wojskowe transportery i milicyjne suki. „Pewnego dnia – donosi «Tygodnik Mazowsze» – gdy blisko tysięcy stoczniowców z okrzykami podjechało na 70 wózkach do jednej z bram, zomowcy puciekali do swoich samochodów, obawiając się prawdziwego ataku”. „Smutne figle” – komentuje «Trybuna Ludu». • Do strajku przystąpiła Pomarańczowa Alternatywa. Wydano oświadczenie, że na ulicy Świdnickiej we Wrocławiu „nie się nie wydarzy”. • Na wysypisku śmieci w Środzkiej Ślaskiej (woj. wrocławskie) znaleziono „skarb 1000-lecia” – bezcenny zbiór klejnotów i monet z XIII-XIV wieku.

Zanim milicja otoczyła teren, ludzie opanowani gorączką złota gołymi rękami przekopali górę śmieci. Wkrótce potem, u wielu mieszkańców Srody Śląskiej przeprowadzono rewizje. Poszukuje się elementów diademów wysadzanych diamentami. Minister kultury i sztuki ustanowił nagrodę specjalną w wysokości „trzykrotnej wartości złota jako kruszcu” dla osób, które przekażą państwu skarb.

- Pierwszy prywatny teatr PRL – „Meluzyna” – wystąpił z premierą *Dekameronu* Boccaccia. Przedstawienie idzie pod tytułem *Seksameron*. Wiele scen aktorzy odgrywają nago. „Każdego widza witają panie ubrane w stroje wieczorowe, toalety pachną lasem i ziołami. W łazience jest papier toaletowy, mydło, ręczniki (...) Niby nic, ale w innych teatrach jest odwrotnie” – donosi «Sztandar Młodych», zapewniając, że dyrektor „Meluzyny” Anna Bittner-Szymańska, aktorka Teatru Dramatycznego w Gdyni i miejscowa radna „wygląda na osobę wiedzącą, czego chce i jak do tego dotrzeć”.
- Popularny magazyn młodzieżowy «RAZEM» ogłosił wielki konkurs z nagrodami. Uczestnicy konkursu odpowiadają na trzy tysiące pytań. Zaczynamy: „Kęsim’ to utrata czego? Po której stronie nosa Chruszczow miał znamię a po której stronie głowy ma je Gorbaczow? Kto śpiewał ‘du-bi-du-bi-du’?”

## WRZESIEŃ

- Wojciech Żukrowski wystąpił jako rzecznik *głasnosti*... „Z pewnością – oznajmił dziennikarce «Wieczoru Wybrzeża» – należałoby opublikować relacje o tym, co się działo po 17 września na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. W moich *Dniach kłęski* cały ten końcowy rozdział został usunięty. A były tam sceny dramatyczne. Do dziś są kłopoty z przyjmowaniem do ZBoWiDu dawnych żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, a przecież oni, strzelając wtedy, spełnili tylko swój obowiązek. Widziałem tę rzekę burych szyneli, wlewającą się w nasze miasteczka, nagły entuzjazm witających, rozbrajanie polskich jednostek, które przedzierały się do Rumunii. Gromady wyrostków znieważały oficerów, obrzynano im epolety, kopano ich czapki po bruku. Pamiętam ten straszny szloch rozpaczy i bezsily... Byłem ranny, wieziono mnie furą do szpitala w Tomaszowie Lubelskim. Mimo gorączki widziałem te nowe sztandary, które powstały po oddarciu górnego, białego pasa. Biała tasiemka, strzępiąca się ze szwu świadczyła do bólu, że to była jeszcze wczoraj chorągiew biało-czerwona... Ile było wtedy samobójstw. Ci, którzy wchodzili, chcieli się odegrać za dwudziesty rok. Niejeden z oficerów był wtedy polskim jeńcem...”
- W najnowszym 27 numerze niezależnego kwartalnika politycznego «Krytyka» przedrukowany został artykuł Genadija Popowa zamieszczony w oficjalnym czasopiśmie radzieckim «Nauka i żizń». „O czym to świadczy? – zastanawia się redakcja. – Pragniemy, by świadczyło to o naszej otwartości. O braku uprzedzeń. O zdolności do przełamywania schematów we własnym myśleniu. Sytuacja w ZSSR jest daleka od klarowności i niezwykle skomplikowana. Dlatego nasze myślenie wymaga wiedzy nieschematycznej. Nieocenzurowane pismo «Głasnost’» uznało artykuł Popowa za znaczący. Jeszcze kilka lat temu za taki artykuł można było dostać parę lat łagru”. W żadnej z polskich gazet o artykule tym nie ukazała się nawet wzmianka.
- Po raz drugi, tym razem w Warszawie (poprzednio w Moskwie) odbyło się nieoficjalne, choć legalne seminarium „Film a

destalinizacja kultury". Radziecki pisarz i historyk Natan Ejdelman wystąpił z referatem „Jesteśmy za Polską, bo jesteśmy za Rosją”. Pokazano kilka radzieckich filmów propagandowych z lat 20-tych, 30-tych i 40-tych (*Wiatr od wschodu*, *Piłsudski kupił Petlurę*, *Dwaj Polacy*), które wzbudzać miały nienawiść do Polski. Dyskutowano o „białych plamach”, Katyniu, perspektywach *pierestrojki*. „Czy mi się śniło? – mówił po zakończeniu spotkania jeden z młodych radzieckich gości. – Znalazłem się wśród ludzi, których sztukę i postawę darzyłem z daleka prawdziwym szacunkiem, choć niekiedy znalazłem ich z naszej prasy jako agentów CIA. Mogłem słuchać ich wystąpień, rozmawiać z nimi i tak znikają moje prywatne ‘białe plamy’”. Dla przyjaźni polsko-radzieckiej zrobiono w ciągu tych kilku dni więcej niż przez lata” – zauważył socjolog Jan Malanowski. „Przyjaźń bez rozdzielnika” wzbudziła niepokój władzy. Wypowiedzi paru uczestników seminarium opublikowane w «Tygodniku Kulturalnym» tak pocięte są przez cenzurę, że miejscami ledwie trzymają się kupy. • Jak pan pracował? – zapytuje polski dziennikarz radzieckiego historyka Roja Miedwiediewa. „Zdziwi się pan, ale ja nigdy nie chodziłem do archiwów. Co więcej, nigdy tego nie próbowałem. Problem w tym, że nawet pracownicy radzieckich archiwów nie wiedzą, co w nich mają. W interesujących mnie archiwach znajduje się bowiem wiele dokumentów zawiniętych w lniane worki i opieczętowanych, z napisem: „Otworzyć tylko na polecenie KC”. Tak więc, nasze archiwa dotyczące historii najnowszej nie są w ogóle zbadane. Co gorsza, nie ma u nas, jak w innych krajach, okresu tajności dokumentów, po którym automatycznie są one udostępniane badaczom. Zresztą, do tej pory archiwa KGB, Komisji Planowania czy KC były w ogóle dostępne tylko dla osób z tych instytucji”. • Podpułkownik Wiesław Górnicki, doradca generała Jaruzelskiego wystąpił z twierdzeniem, że spośród polskich oficerów zamordowanych w Katyniu „nie wszyscy byli niewinni”! Górnicki na łamach miesięcznika «Konfrontacje» kategorycznie zaprotestował przeciwko łączeniu „niewyjaśnionej sprawy katyńskiej” z Miesiącem Pamięci Narodowej, w którym hold – jego zdaniem – oddawać należy wyłącznie ofiarom hitlerowskich obozów koncentracyjnych. „W ciągu swojego życia – oświadczył podpułkownik – znałem tylko jednego wroga – Niemców, i tylko jednego wyzoliciela – Rosjan (...) Zdechłbym z głodu, wszy i ran, gdybym pewnego styczniowego dnia nie zobaczył ludzi w papachach z czerwoną gwiazdą. Owszem, kradli czasem zegarki i rowery. Ale przepraszam: czy wielki śródziemnomorski naród polski nie miał przypadkiem na sumieniu identycznych grzechów w postaci tzw. szabru? Przecież do dziś znam łobuzów, którzy mają w domu niemieckie kufle i zegary z kukułką, ale pozują na karmelitów bosych. Beze mnie, drodzy rodacy. Beze mnie”. • Lekcji liberalizmu udzielił Stefan Kisielewski w miesięczniku «Zdanie»: „W SPATiFie miałem takie zajście. Podchodzi do mnie Filler i mówi: Pogódźmy się! A on w 1968 roku napisał jakąś broszurkę, strasznie obrzydłą. Ja mówię: Dzieci mi nie pozwolą. Filler na to: Co tam, dzieci, życia nie znają, nic nie wiedzą. Napijmy się wódki. No, to napiliśmy się. Potem ja podchodzę do stolika, a tam siedzi Grzegorz Lasota. Przysiadam się i pytam: I jak pan teraz wygląda? A on: Nie zmieniłem poglądów – ani na Stalina, ani na pana! To mi się podobało! Z nim się też napiłem”. • W wywiadzie dla miesięcznika «Konfrontacje» Józef Hen oznajmił, że napisał sztukę teatralną pt. *August, August*, „krytycznie choć w sposób

zawołowany" oceniając tam postać Władysława Gomułki. Sztuka nie może uka-  
 zać się drukiem ani na scenie. „Czy mamy czekać na kolejny etap, kiedy Gomułka  
 przestanie być pod ochroną? (...) Należy wreszcie zrozumieć, że kult Gomułki jest  
 sprzeczny z odnową, ponieważ Gomułka był przeciw odnowie. Gomułka był prze-  
 ciw temu wszystkiemu, co dziś głosimy. Można się zgodzić, że był 'wiernym  
 synem klasy robotniczej', ale przecież to za mało, żeby czerpać z niego natchnie-  
 nie". • „Nieme kino”, „Kogel-mogel bez jaj”, „Smutna zabawa w kino”, „Zęby  
 bolą” – oto tytuły dziennikarskich relacji z XIII Festiwalu Polskich Filmów Fabula-  
 rnych w Gdyni. „Na ponad czterdzieści pokazanych na festiwalu filmów – pisze  
 Maciej Pawlicki – tylko jeden (*Wigilia 81* Wosiewiczza) bezpośrednio mówił o naj-  
 ważniejszym politycznym i społecznym wydarzeniu ostatnich siedmiu lat, tylko  
 jeden (*Kobieta samotna* Holland) dał poważny wizerunek naszej codziennej rze-  
 czywistości, pełny, sugestywny obraz jednego życia. Oba filmy powstały 7 lat  
 temu...”. Podczas forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich ostatniego dnia  
 festiwalu Andrzej Wajda stwierdził, że stalinowski model zarządzania kulturą  
 osiągnął dziś swój ideał w polskiej kinematografii: nie trzeba już niczego zakazy-  
 wać, wycinać, przemilczać, wszystko załatwia – autocenzura. Absurdem jest twie-  
 rdzenie, że polska publiczność odrzuca kino problemowe, społecznie zaangażo-  
 wane, bo takiego kina po prostu nie ma. Ktoś wymyślił dowcip, że w tej sytuacji  
 prezes Stowarzyszenia Janusz Majewski, twórca kasowego filmu *C.K. Dezerterzy*  
 powinien z kolei nakręcić *Dezerterów z KC*. • Jaka będzie literatura polska za lat  
 dziesięć? – zastanawia się Artur Sandauer w «Nowych Książkach». „Jeżeli można  
 stopniować nicłość po leśmianowsku, zanieistnieje jeszcze bardziej. Tylko nielicz-  
 ni, którzy będą mieli mimo wszystko potrzebę czytania, sięgać będą po książki, ale  
 raczej chyba z literatury obcych”. Czasopisma literackie w Polsce? „...to po prostu  
 kubły, do których każdy, za przeproszeniem, sika... Brać co dają i byle do przodu.  
 Na tym polega – pożałuj Boże – redagowanie (...) Tymczasem o założeniu pisma  
 powinno decydować to, że jego redaktor ma coś do powiedzenia w sensie kultu-  
 ralnym. A jest to możliwe tylko wtedy, gdy będzie to inicjatywa prywatna, kiedy  
 nie państwo będzie decydować, mianować redaktorów i dawać pieniądze, mając  
 w tym doraźny interes”. • „Rzeczywistego przełomu, jeśli idzie o swobodny roz-  
 wój kultury niezależnej od państwowego sponsora i kontrolera, oczekivalbym w  
 wypadku decyzji ministerstwa kultury zezwalającej na powstanie prywatnych  
 firm wydawniczych – pisze w «Tygodniku Powszechnym» Jan Prokop. – Jak  
 oświadczył na spotkaniu z pisarzami w Poznaniu minister Krawczuk, złożono 72  
 podania o zezwolenie na podjęcie działalności wydawniczej, ale zdaniem mini-  
 stra, stanowiłoby to zagrożenie dla państwowej wyłączności w tej dziedzinie. Jas-  
 ne, że tu psa pogrzebano i że tu śmierdzi”. Nie jest wcale powiedziane, że wszyst-  
 kie podania załatwione zostaną odmownie. Zapewne, znajdą się prywatni wyda-  
 wcy, którzy wcale państwu nie zagrażą, wprost przeciwnie. Na przykład?... • ...Na  
 przykład – Andrzej Brycht! „Gdybym był wydawcą w Polsce – a kto wie, może się  
 tym zajmę – i miał w swojej stajni Bratnego, Nienackiego i siebie (Dobraczyń-  
 skiego wykluczam, ponieważ religia mnie brzydzi), to potrafiłbym sprzedawać  
 nasze produkty nie w stu, dwustu, czy nawet czterystu tysiącach egzemplarzy, ale  
 w milionie. Każda książka, która została sprzedana w Polsce w stu tysiącach, może

być sprzedana w milionie egzemplarzy. Oczywiście to ja decydowałbym o nakładzie a nie jakiś księgarz z pipidówki. Księgarz jednak byłby szalenie pożyteczny, stałby się pożyteczny natychmiast, gdyby mu zabrać miesięczną pensję, a dać procent od każdej sprzedanej książki i odpowiednie przeszkolenie, jak produkt sprzedawać. Wiem, jak szkolić ludzi w tym zakresie, ponieważ przez kilka lat byłem managerem wielkiej firmy „Fuller Brush”. miałem pod opieką około stu ludzi, których sam musiałem znaleźć, wybrać i zatrudnić, przeszkolić w znajomości produktu, nadzorować i w razie potrzeby wywalać na łeb...”. • A oto i jeden z „produktów”, które wydawca Andrzej Brycht chciałby w PRL sprzedawać w milionie egzemplarzy – powieść Andrzeja Brychta pt. *Azyl polityczny*. Powieść drukuje na razie w odcinkach łódzki tygodnik «Odgłosy». W odcinku zatytułowanym „Tu mówi książę” bohater utworu, pisarz Duch i jego żona Georgia („takiej świetnej dupy nasi chłopcy dawno już nie widzieli”) odwiedzają paryską «Kulturę» oraz inne ośrodki polskiej emigracji. Wrażenia? „Spierdalajmy stąd – powiedział Duch. – Dziewczyno, my się tu nie uchowamy. – Pewnie że nie. Nie z tymi kretykami. Nie pasujemy do tego przedstawienia”. Brycht zapytany w jednym z wywiadów o przyczyny swojej nieudanej współpracy z paryską «Kulturą» poskarżył się: „Pewien felietonista nazwiskiem Herling-Grudziński zaopiniował, że moje opowiadania są słabe. Możliwe, ale chodziło głównie o to, że nie pasowałem do ich gry politycznej”. • Zarejestrowano Towarzystwo Pamięci Józefa Piłsudskiego w Róźnie (miasteczko na prawym brzegu Narwii). Towarzystwo liczy na razie 24 członków i w pierwszej kolejności zamierza sprowadzić do Polski pomnik Piłsudskiego z Jugostawii. Prezesem jest 37-letni mechanik samochodowy Marian Edmund Ząbek, właściciel prywatnego warsztatu. Zapytany przez dziennikarkę «Polityki», jak zamierza godzić swoje nowe obowiązki z pracą zawodową, odpowiedział: „Przyjąłem styl pracy Marszałka, choć mu jeszcze w pełni nie dorównuję: on przesiadywał w swym gabinecie do trzeciej nad ranem, ja do północy”. • Poeta Jerzy Harasymowicz, który przez długie lata „pisywał o zajączkach” uchodząc za twórcę całkowicie pozbawionego pamiętności politycznych, udzielił ogromnego wywiadu redakcji «Przeglądu Tygodniowego», gdzie ni stąd, ni zowąd oświadczył, że „odnalazł siebie w pismach Romana Dmowskiego” i od dawna już „żyje programem Narodowej Demokracji”. Zdaniem Harasymowicza, jedynym lekarstwem na dzisiejszą „ospałość”, „wołowatość”, „zdrobnomieszczanie” i „sprzedajność” Polaków może być „wyniesienie ponad sprawy ideologiczne spraw narodowych” a nawet „odrobina nacjonalizmu”. „Wiara siedzi sobie w fotelach, ogląda ułanów Dziadka i pogrąża się w melancholii. A potem (...) dla pieniędzy jest w stanie zrobić każde świństwo”. „Polska zbliżona do ideałów Dmowskiego jest dużo trudniejsza od malowanej Polski Dziadka”, „Dmowski niestety nie korzystnie wpłynąłby na naszą świadomość historyczną”. Wspominając o własnych planach twórczych Harasymowicz oznajmił, że „na razie” pisze poemat o kniaziu Wiśniowieckim. „Był on wielkim Polakiem, gdyby żył trochę później, z pewnością byłby narodowym demokratą”. • Dziesiątki tysięcy osób zwiedza „Arsenał 88” – wystawę polskiego malarstwa współczesnego w warszawskiej Hali Gwardii. Wystawie towarzyszy gigantyczna kampania reklamowa w prasie, radiu,



telewizji, środowiskowe dąsy oraz autentyczne zainteresowanie młodej publiczności. „Rozbawiona gwardia”, „między dyskoteką a kiermaszem z okazji Dni «Trybuny Ludu»”, „rezerwat beztroskiej i nieodpowiedzialnej młodości”, „oaza *permissive society*” – pisze w «Tygodniku Powszechnym» Andrzej Oseka podkreślając, że wystawa jest wydarzeniem, które „znacznie przekracza granice środowiska plastycznego. Uruchomiono na dużą skalę nowe metody edukacji. Nie przypomina ona w niczym przaśnego wychowania młodzieży w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, natrętnej ideologizacji, odgórnego narzucania wyrzeczeń. Przeciwnie, morał z „Gwardii”, tego festiwalowego zamętu zdaje się brzmieć: młodzi, korzystajcie z życia, takiego jakie jest, rwijcie skąd się da; chodźcie, gdzie się młodzież bawi i zapomnijcie o wszystkich trudnych problemach waszych i świata was otaczającego”. Kilka wpisów do Księgi Pamiątkowej wystawy: „Trochę sztuki, dużo jaj”, „Boże! Ty widzisz i nie grzmisz?”, „Po wystawie czuję nieokiełznany brak zbuntowanego kaloryfera”, *Veni, vidi, nici!*”. ● Horror po polsku. Reporter wrocławskiego «Słowa Polskiego» opisuje wydarzenia w sklepie mięsnym przy ulicy Kościuszki. Do sklepu wszedł mężczyzna w średnim wieku i zażądał natychmiastowego sprzedania mu kiełbasy. „Ekspedientka zwróciła mu uwagę, że kolejka obowiązuje wszystkich. Słyszając to osobnik wpadł w furię. Wdarł się na zaplecze, chwycił topór rzeźnicki i zaczął demołować sklep. Wyrzykując przekleństwa zaczął wyrzucać na ulicę wędliny, mięso, konserwy. O interwencję poproszono przechodzącego akurat funkcjonariusza MO. Wszedł on do sklepu i poprosił szalejącego, aby się uspokoił. Ten chwycił jedną z ekspedientek i zagroził, że ją zabije. Milicjant wezwał kolegów z DUWS Wrocław-Stare-Miasto. Przyjechały trzy radiowozy. Bojąc się o życie ekspedientki milicjanci obrzucili furiata puszkami konserw. Pod ich gradem stracił orientację i wypuścił siekiere z ręki. Obezwładniono go”. ● Co można kupić w Polsce za złotówkę? – nieustający konkurs pod tym hasłem ogłosiła redakcja «Przeglądu Tygodniowego». Wyniki – jak na razie mizerne. Dwa produkty za złotego, odnalezione po kilku tygodniach poszukiwań to: kartonik z wydrukowaną na nim tabliczką mnożenia i pudełeczko proszku na pchły. ● Popularny „tygodnik konsumentów” «Veto» ogłosił listę autorów, którym gotów jest płacić za teksty – w dolarach. „Taką ofertą – zauważa z niesmakiem «Trybuna Ludu» – redakcja «Veto» przekroczyła granice ekstrawagancji ze względu na najprostszą obywatelską godność (...) Cóż – dziś dolarowe honoraria dla wybranych autorów pozaredakcyjnych, a jutro pensyjki dla zespolu, tak?”. ● «Pro arte» – pismo Wojciecha Fibaka dotarło do kraju. Jest to snobistyczny kwartalnik przeznaczony dla kolekcjonerów dzieł sztuki. «Pro arte» sprzedaje w Polsce Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. „Na Zachodzie cena jednego numeru wynosi 40 dolarów, u nas jedynie 8 tysięcy złotych. Nic tylko tu kupować – tam sprzedawać!” – komentuje «Przegląd Tygodniowy». ● Po siedmiu latach „uśpienia” odżyła polska sekcja PEN-Clubu. W skład „nowego” zarządu weszli wszyscy żyjący członkowie „starego”. Prezesem jest Juliusz Żuławski, wiceprezesami – Artur Międzyrzecki i Egon Naganowski. «Tygodnik Mazowsze» informuje, że za rezolucją popierającą społecznie wysiłki na rzecz reaktywowania „Solidarności” głosowała podczas zgromadzenia ogólnego przytaczająca większość obecnych. „Z siedzącej razem grupy – w niej Dobraczyński,

Auderska, Rusinek, Ozga-Michalski, Sadkowski, Drozdowski – żadna osoba nie podniosła ręki. O dziwo jednak, nikt z nich nie podniósł jej również, gdy padły pytania: kto jest przeciw i kto się wstrzymał. Pozwoliło to prowadzącemu zebranie stwierdzić, że rezolucja przeszła jednogłośnie”. • Zygmunt Kalużyński oznajmił w „Polityce”, że prowadzona w Polsce kampania antystalinowska nie ma „charakteru ozdrowieńczego” jak w ZSSR, ale przeciwnie – wzmacnia polski nacjonalizm, szowinizm, klerykalizm – słowem – „pcha całą naszą kulturę daleko do tyłu”. Kalużyński stwierdził ironicznie, że gotów jest podliżyć się narodowi i zadeklamować w telewizji znany mu ze szkoły poemat Kazimierzy Iłakowiczówny o Leninie. „Leżał on (Lenin – przyp. ZM) chory, pokryty sinymi plamami, ale chciał dowiedzieć się o rozstrzelaniu polskich księży, więc wezwał żołnierza z plutonu egzekucyjnego. Ten opowiadał, jak ofiary wzniosły oczy do Nieba, co tak wzruszyło żołnierza, że rozplakał się. Chory wypelził z łóżka i własną dlonią pokrytą wrzodami udusił żołnierza. Pamiętam do dziś (...) byłem b. dobrym recytatorem”. • Andrzej Rosiewicz – twórca i wykonawca słynnej „Piosenki dla Michaiła”, którą przed obliczem Sekretarza Generalnego KPZR śpiewał na dziedzińcu Wawelu, zamęczany jest przez dziennikarzy pytaniami, o czym rozmawiał z Gorbaczowem po swoim występie. Uchylając się od odpowiedzi, Rosiewicz zapewnia, że treść owej rozmowy wkrótce już wyrazi w nowej swojej piosence. Jej roboczy tytuł: „Szept wawelski”.

## PAŹDZIERNIK

• W artykule zatytułowanym „Dialektyka porozumienia i walki” redaktor naczelny «Trybuny Ludu» Jerzy Majka przypomina „mądrą sentencję” Adama Asnyka: „Daremne żale, próżny trud, bezzilne złorzeczenia, przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia”. Sentencja jednoznacznie kojarzy się Majce z aktualną polityką PZPR: „nie może być powrotu do wypaczeń sprzed sierpnia 1980 roku, ani do antysocjalistycznej anarchii sprzed grudnia 1981 roku”. Na krótko przedtem, zanim Jerzy Majka podzielił się z czytelnikami partyjnego dziennika swoją refleksją, «Trybuna Ludu» poinformowała, że z okazji 150 rocznicy urodzin Adama Asnyka na grobie poety złożone zostały kwiaty od generała armii towarzysza Wojciecha Jaruzelskiego. • Rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban zdementował pogłoski, że Mieczysław F. Rakowski jest osobistym wrogiem Lecha Wałęsy. Urban przytoczył za «Sztandarem Ludu» fragment wystąpienia Rakowskiego na obozie młodzieżowym w Horoszkach. Nawiązując do pamiętnego spotkania z załogą Stoczni Gdańskiej z udziałem Lecha Wałęsy, Rakowski powiedział: „Wtedy w Gdańsku, rozmawiając z Wałęsą popełniłem jeden błąd, a mianowicie zakpiłem z Wałęsą. Powiedziałem, że porozmawiamy jak doktor z doktorem. W tym ferworze polemiki użyłem tego kpiarskiego powiedzenia. Potem pomyślałem, że nie było to na najwyższym poziomie. Naprzeciwko mnie był człowiek prosty, a ja znacznie bardziej wykształcony od niego, więc nie powinienem był tego zrobić. Ktoś nawet w liście zwrócił mi na to uwagę, której początkowo nie przyjąłem. Ale po upływie czasu pomyślałem, że to nie było fair...”. • Tytułowa metafora z eseju Leopolda Tyrmanda „Fryzury Mieczysława Rakowskiego” spodobała się zachodnim dziennikarzom; spotykamy ją w dziesiątkach kąśliwych komentarzy na temat

osobowości nowego premiera PRL. «Trybuna Ludu» w artykule zatytułowanym „Kociokwik i manipulacja” kategorycznie odrzuca przypuszczenia, że Rakowski jest człowiekiem o wielu twarzach, a następnie z powagą wyjaśnia, że zmiany w jego uczesaniu „wynikają z przyczyn biologicznych, a więc z malejącego z wiekiem uwłosienia”. Na koniec zapytuje „brudnych manipulatorów”, „jakby przyjęli dywagacje polityczne na temat objawów raka skóry u jednego z aktualnych prezydentów. • Władysław Machejek poinformował czytelników «Życia Literackiego», że „wracając z Miechowa samochodem wstąpił do zajazdu „Smok” w Słomnikach, aby coś zjeść”. Jedząc „po bardzo wysokiej cenie” gawędził sobie z kelnerkami o Rakowskim: „– Nie lubicie Rakowskiego? Dlaczego? – A pan? Przecież pana trochę znamy. Klóciście się. – No to co? Lubi go pan? – Co to znaczy lubię? Czy to dziewczyna? „Na koniec kelnerki westchnęły: „Jeśli ten Rakowski taki robotny, to może by przywrócił powiaty? Krakowskie teraz to taki ogryzek. Wszyscy chcą powrotu do powiatów”. „– Powinien. Kiedy się obrobi” – mruknął Machejek i zapłacił rachunek. • Pismo Władysława Machejka opublikowało kolejny fragment wspomnień Franciszka Szlachcica. Były szef bezpieczeństwa „pamiętny rok 1956” opowiada, jak to 21 października w Gliwicach „włączył się” w „pochód awanturników” zmierzający w stronę „małej jednostki wojsk łączności Armii Radzieckiej”. „Włączyłem się, idę i zastanawiam się, co robić? Nagle zagradza nam drogę kompania MO z oficerami – Władysławem Gutą i Janem Wesołowskim. Poznali mnie, a widząc na czele maszerującego tłumu szeroko otworzyli oczy i zasalutowali. Zbliżyłem się i cicho powiedziałem – przepuszcicie. Przepuścili, ktoś zauważył salutowanie i krzyknął ‘Niech żyje milicja’. Zaczęto śpiewać pieśni patriotyczne, my zaś prowadziliśmy pochód, byle dalej od jednostki.”. • Pułkownik Krzysztof Majchrowski, autor znanych esejów milicyjnych o literaturze drugiego obiegu otrzymał nominację na stopień generała brygady Milicji Obywatelskiej. Generalskie szlify otrzymali także kombatanci Ludowego Wojska Polskiego Włodzimierz Sokorski i Jan Dobraczyński. „Naród dał wojsku broń, partia – myśl polityczną” – oznajmił Zwierzchnik Sił Zbrojnych PRL – generał armii Wojciech Jaruzelski. • Jan Walc wynurzył się z podziemia na powierzchnię publikując w «Tygodniku Kulturalnym» – coraz żywiej redagowanym piśmie ZSL – ciekawy artykuł o *Dziennikach* Marii Dąbrowskiej. „Jest rzeczą szokującą – zauważa krytyk – jak bardzo za naszego życia zmienił się system powszechnie uznawanych wartości. Maria Dąbrowska, pisarka uznawana za autorytet moralny, znosi otaczające ją kłamstwo w sposób, na jaki dzisiaj już nikogo nie stać, zapisując wręcz w dzienniku, że naprawdę ważne jest to tylko, co się wie i myśli, a to, co się głośno mówi, ma znaczenie drugorzędne. Pisarka nie dostrzega trucizny, jaka zawarta jest w takim dwójmyśleniu i w swoim przekonaniu przez cały czas wykazuje się niezłomnością (...) Nie mogąc zdobyć się na sprzeciw, odmowę, wewnętrzną emigrację a zarazem nie godząc się na poddanie wymogom socrealizmu próbuje lawirować (...) Może z tego wzięła się jej impotencja twórcza, trwająca w gruncie rzeczy przez cały okres pówojenny, tak dramatycznie w *Dziennikach* relacjonowana?”. • Artur Sandauer posługując się sfałszowanym przez siebie cytatem z książki Jacka Trznadla *Hariba domowa* zaatakował w tygodniku «Polityka» Instytut Literacki w Paryżu. We wspomnianej książce

pada pod adresem Sandauera obrzydliwe wyzwisko „parch”, które jeden z rozmówców Trznadla – Wirpsza – wkłada w usta Stanisława Jerzego Leca. Sandauer cytując fragment rozmowy Trznadla z Wirpszą, mówiący m.in. o opiece, jaką nad Teatrem na Tarczyńskiej roztoczyła w połowie lat pięćdziesiątych Brystigerowa – wysoki oficer UB, opuszcza, nie zaznaczając tego, zdanie: „Sandauer to jest jej krewny”, a następnie szydzi z tekstu, który – spreparowany w taki sposób – staje się mętny. W liście do «Polityki» falszerstwo Sandauera napiętnował kilka tygodni później „Kosma Złotowski, Bydgoszcz”. • Wydawca *Utworów zebranych* Mirona Białoszewskiego – Państwowy Instytut Wydawniczy zaniedbał poinformować czytelników, że autorem wielu tekstów Teatru Osobnego był Ludwik Hering (potwierdził to swego czasu sam Białoszewski w oświadczeniu opublikowanym na łamach «Dialogu»). „Ludwik Hering (1908–1984) – pisze w «Życiu Literackim» Hanna Kirchner – z wykształcenia malarz, jeden z najbliższych przyjaciół Józefa Czapskiego (zachowała się ogromna i niezwykła korespondencja) był osobowością niezwykłą i niecodzienną. ‘Artysta bez teki’ nie wykorzystujący swoich talentów, rozdawał się w monologach, rzadko podejmując własną twórczość. Oprócz tekstów do Teatru Osobnego opublikował w latach 1945–46 kilka świetnych opowiadań o tematyce wojennej (w «Kuźnicy», w «Głosie Ludu»), z których Ślady znalazły się w antologii Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *W oczach pisarzy. Wybór opowiadań wojennych 1939–1945* (Rzym 1947). Fragmenty opowiadań Heringa weszły też w pierwszych latach po wojnie do podręczników szkolnych. • Słynny „mężczyzna w kolarskiej czapeczce” z opowiadania Janusza Andermana *Łańcuch czystych serc*, czyli Marek Kotański – groteskowy działacz społeczny zabiega o utworzenie ogólnopolskiej niezależnej rozgłośni radiowej i telewizyjnej. „Jestem już po wielu poważnych rozmowach na wysokim i bardzo wysokim szczeblu. Mój projekt spotkał się z zainteresowaniem i liczę, że za kilka miesięcy nabierze realnych kształtów”. „Od kogo radio i telewizja Marka Kotańskiego mają być niezależne?” – zapytuje dziennikarz «Kuriera Lubelskiego». „Ależ one nie będą moje! Ja tylko wystąpiłem z inicjatywą, a gospodarzami i autorami programu będzie młodzież, różne jej stowarzyszenia i grupy nieformalne. Niezależność zaś rozumiem jako nieskrępowaną samodzielność w głoszeniu i przedstawianiu poglądów oraz opinii, także kursujących obecnie w drugim obiegu. Chcę, aby młodzież mogła wypowiadać się pełnym głosem o wszystkim, co ją nurtuje, by nasza rozgłośnia była swoistym Hyde Parkiem”. • „Niektóre aspiracje studentów biegną w kierunku absurdalnym i pozbawione są roztropności. Czy rząd ma zmagać się z żaknadą?” – zapytał Jerzy Urban informując, że na kilku uczelniach studenci bojkotują zajęcia z ekonomii politycznej, ba!, żądają także „zniesienia obowiązku pobierania nauk społeczno-politycznych, socjologii oraz języka rosyjskiego, języka Tolstoja i *glasnosti* (...) Sądzymy, że profesura wyjaśni studentom znaczenie nauk, które oni radzi by usunąć z kanonu wiedzy absolwenta uczelni”. Krnąbrnym zakom „bojkotującym a nawet pikietującym” studenckie zajęcia wojskowe rzecznik rządu zapowiedział „przykrą niespodziankę” ze strony władz. • Na Placu Dzierżyńskiego w Warszawie Pomarańczowa Alternatywa zorganizowała happening „w obronie komunistycznej ojczyzny”. Milicja Obywatelska, która tego dnia świętowała akurat kolejną rocznicę swojego istnienia, ze zdumiewającą

energiją zajęła się przywracaniem „ładu i porządku”. Spalowano dziesiątki osób. Rzecznik rządu zapytany przez dziennikarkę zachodnioniemiecką, czy skandowanie haseł „Młodzież z partią”, „Dzierżyński naszym idolem” rzeczywiście zagroziło porządkowi publicznemu, odpowiedział glupkowato: „O ile wiem, Dzierżyński się nie obraził”. • Profesor Stanisław Lorentz wystąpił list do prezydenta Warszawy Jerzego Bolesławskiego: „Pozwalam sobie zwrócić się do Pana Prezydenta jako Prezes Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, ale list ten traktuję jako osobisty, bo nie zwracałem się w poruszanej sprawie do Prezydium i Plenum Zarządu Głównego Towarzystwa. W Związku Radzieckim przeprowadzana jest obecnie weryfikacja nazw ulic i placów. Przywraca się dawne nazwy. W Warszawie przywrócić należy nazwę Plac Bankowy a pomnik Feliksa Dzierżyńskiego należy usunąć. Przedstawiam Panu Prezydentowi ten wniosek z prośbą o decyzję. Uważam, że sprawę należy załatwić bezgłośnie, tak jak przed laty bez uchwał i dyskusji, w nocy usunięto z Ogrodu Saskiego wielki głaz z napisem, że w tym miejscu stanie pomnik Stalina. Łączę wyrazy szacunku i poważania. Stanisław Lorentz”. Pan Prezydent nie raczył odpowiedzieć. List wydrukował podziemny „Tygodnik Mazowsze”. • Co zrobić z Pałacem Kultury – warszawską piramidą Stalina? Tadeusz Konwicki wystąpił z propozycją przekształcenia Pałacu w pomnik ofiar stalinizmu. „Różni pisarze mają różne chybione pomysły – skomentował propozycję rzecznik prasowy rządu. – Pałac Kultury i Nauki pełni w Polsce pożyteczną rolę kulturalną i naukową. Jest darem społeczeństwa radzieckiego, darem kosztownym. Nie ciąży na nim żadne złe odium. Jest to raczej monument bezinteresownej przyjaźni, chociaż ta przyjaźń może nie przybrała wówczas pięknych architektonicznie form. Wrósł on w Warszawę. Z żadnymi zbrodniami tamtej epoki się nie kojarzy i kojarzyć nie ma powodu”. Zrozumiano?! • Senat Uniwersytetu Wrocławskiego postanowił ponowić własną uchwałę z 1981 roku odrzucającą nadane uczelni w 1952 r. imię Bolesława Bieruta. • Nakręcony na Zachodzie film Agnieszki Holland o zamordowaniu księdza Popieluszki (tytuł francuski: *Le Complot – Spisek*; tytuł angielski: *To kill a priest – Zabić księdza* wkrótce po swojej paryskiej premierze doczekał się pierwszych komentarzy w kraju. Czy zostanie dopuszczony na polskie ekrany? – Bóg raczy wiedzieć. Reżyserka w wywiadzie udzielonym redakcji „Tygodnika Powszechnego” zapewnia, że „nie jest to film agresywny”, a „producent sprzedałby go bardzo tanio, nawet za złotówki”. Zdaniem Andrzeja Wajdy, film jest symbolicznym pożegnaniem ze szkołą polską – nasze narodowe tematy szukać muszą dla siebie miejsca w kinie zachodnim, gdzie „nie sięga mściwa ręka Komitetu do spraw Kinematografii z Warszawy”. Kąśliwą recenzję z filmu, zatytułowaną „Bond zabija księdza” opublikował tygodnik „Polityka”. Znany pisarz Andrzej Kuśniewicz w liście do redakcji tego pisma twierdzi, że recenzja jest „tendancyjna, żeby nie powiedzieć funkcyjno-resortowa”, on zaś – ze swojej strony – „podziwia talent i pasję filmową Agnieszki Holland”. • Günter Grass przyjechał do Warszawy z okazji „Dni kultury RFN” w Polsce. Pisarza gościł m.in. studencki klub „Hybrydy”, który kilka lat temu zorganizował interesujące seminarium grassowskie. Autor *Blaszanego bębenka* nie mógł wziąć w nim udziału – odmówiono mu polskiej wizy. W wydanej teraz, nakładem „Hybryd”, książce *Polskie pytania do Grassa* organizatorzy seminarium opisują skandaliczne wybryki urzędników z

MSZ i Biura Rzecznika Rządu, którzy próbowali zmusić ich do odwołania imprezy. A przecież – żalą się nieboraki – „wśród zaproszonych gości znajdowała się pani Barbara Jaruzelska”. • W Gdańsku powstał nowy miesięcznik literacki «Autograf». Redaktorem naczelnym jest Andrzej Krzysztof Waśkiewicz – krytyk o mentalności głównego księgowego, „niezmordowany inwentaryzator ‘młodoliterackich’ druków i wypowiedzi nic nie znaczących” (Tomasz Burek). Nowa redakcja nie spróbowała nawet usprawiedliwić swojego istnienia. Najciekawszy tekst pierwszego numeru pisma pochodzi z lat... czterdziestych. Jest nim fragment nie dokończony powieści Jerzego Andrzejewskiego *Natchnienie świata*. Maszynopis tego utworu znajduje się w Muzeum Literatury, w archiwum konspiracyjnej akcji „Wisła”, której organizatorem był Zbigniew Mitzner. W latach 1943-44 zawierał on umowy z wieloma znanymi autorami nabywając prawa do wydania ich utworów w planowanym wydawnictwie „Wisła”, które nigdy nie powstało. • „Centralny katalog skradzionych i zaginionych dóbr kultury” rozesłany zostanie do wszystkich muzeów, antykwariatów, salonów Desy oraz do urzędów celnych i komisariatów MO w całej Polsce. • „Prywatny pogląd” na przyczyny samobójstwa Tadeusza Borowskiego ujawnił w miesięczniku «Zdanie» sekretarz KC Andrzej Wasilewski: „Mieszkałem blisko Borowskiego i tej wiosny i lata odbywaliśmy długie wieczorne spacerunki. Ostatniego wieczora pożegnałem się z nim pod jego domem chyba około 20. Tadeusz był roztrzęsiony osobistym dramatem (...) Szarpał się pomiędzy kliniką, w której żona rodziła mu dziecko, a domem dziewczyny, dla której oszalał (...) Był w stanie krańcowej desperacji, której w ciągu redakcyjnego dnia nie dawał najmniejszego wyrazu (...) Jeśli popełnił samobójstwo, to dlatego, że znalazł się w pułapce, z której nie mógł wyjść bez przekreślenia wysokich moralnych wymagań, jakie sobie stawiał. Po Oświęcimiu był w nim głód trwałych wartości, jakiegoś niewzruszonego gruntu, jakiegoś niezawodnego punktu oparcia w drugim człowieku i nie mógł stawić myśli, że sam kogoś ciężko zawiedzie. To był bezwzględny porachunek z samym sobą za słabość okazaną przez więźnia Oświęcimia, nie zaś, jak to mówiono, samobójstwo spowodowane kryzysem ideologicznym”. • Czytelnik «Tygodnika Powszechnego» zauważył ze zgrozą, że w „sejmowym” wydaniu dzieł Adama Mickiewicza z „Epilogu” *Pana Tadeusza* usunięty został czterowiersz, który trzeba niezwłocznie przywrócić: „A jeśli kiedy i Moskal się zjawił / Tyle nam tylko pamiątki zostawił / Że był w błyszczącym i pięknym mundurze / Bo węża tylko znaleźmy po skórze”. «Życie Literackie» wyjaśnia, że czterowiersz ten w autografie „Epilogu” przekreślony został ręką Mickiewicza i znaleźć go można tylko w tych edycjach *Pana Tadeusza*, które obejmują również odmiany tekstu. • W warszawskim Muzeum Literatury otwarta została wystawa *Gombrowicz*. «Kultura i Życie» (dodatek «Życia Warszawy») ogłosiła niepublikowane dotychczas fragmenty *Dziennika* pisarza z roku 1952 oraz przekład jego zwięzłej autobiografii napisanej po francusku dla celów reklamowych. Nieznane fragmenty *Dziennika* podarowała Muzeum Literatury Jadwiga Radomińska, która przyjaźniła się z Gombrowiczem w Argentynie. • „Bał powieszonych” opisała Irena Szymańska we wspomnieniu o Antonim Słomińskim. Bał wyprawiono w roku 1966, kiedy to po słynnym swoim przemówieniu

w rocznicę Października Leszek Kołakowski usunięty został z partii, a po proteście grupy pisarzy, kilku z nich, po całonocnej rozmowie w KC – także z partii usunięto, inni zaś sami oddali legitymacje. „Leszek zażądał, by wspólne przeżycia tych tygodni zamknąć jakimś towarzyskim akcentem odprężającym. Miałam duże mieszkanie i urządziłam bal (...) Leszek każdego wchodzącego łapał za rękę i nurzając ją w pudelku z tuszem brał ‘odciski palców’ (...) W jednym pokoju tańczono, w drugim toczono kameralne rozmowy, w trzecim ton nadawały różne gry i zabawy, np. ‘kim byłby, gdyby był kwiatem’ (towarzystwo wymyśla znaną wszystkim osobę i wchodzący ma zgadnąć, kto to jest zadając wyłącznie pytania typu: ‘kim byłby, gdyby był meblem’, ‘częścią ubrania’, ‘bohaterem Trylogii’, ‘utworem muzycznym’ itp.); w ‘zielonego trupa’ (pisze się rybkę bez przymiotników, taką fabułą, możliwie dotyczącą spraw aktualnych, a potem wstawia się przymiotniki proponowane kolejno przez grających, nie znających owej rybki); w ‘Botticellego’...” Po „wydarzeniach marcowych” 1968 roku, o szczegóły „balu powieszonych” dopytywały się komisje kontroli partyjnej w czasie przesłuchań... • PULS – prywatna firma usługowa powstała w Warszawie. Firma prowadzona przez Dorotę Stalińską, znaną aktorkę filmową i estradową, „organizuje imprezy artystyczne na żądanie kontrahenta”, świadczy także „usługi video: reklamy, reportaże, dokumentacje”. • W sklepie przy ulicy Złotoryjskiej w Legnicy pojawiły się telewizory i magnetowidy firm japońskich. Telewizor kosztuje 1,8 mln złotych, magnetowid – 1,5 mln zł. Jak donosi «Słowo Polskie» „w sklepie tym jest kasa mechaniczna, na której najwyższą liczbę dającą się wybić jest 9999. Aby zarejestrować kwotę 1,8 mln zł. za sprzedany telewizor, kasjerka musi wybić w kasie 200 razy po 9 tys. złotych”. • Zagadka. Co to jest? Wiersz poety opozycyjnego czy list czytelnika partyjnej gazety? „Przerażenie moje budzą postulaty reaktywowania ‘Solidarności’ Panie Redaktorze przecież to już koniec wszelkich nadziei na pokonanie jakichkolwiek dręczących Polskę kłopotów. Już opracowane są dokładne scenariusze walki o przejęcie władzy metodami doskonale znanymi wyniszczająca orgia strajków demontaż wszelkich struktur państwa zburzenie spokoju publicznego doprowadzenie do absolutnie pustych pótek i wreszcie wojna domowa nazwisko i adres znane redakcji”.

Opracował ZM

# RECENZJE

## SEZON U HERAKLITA Janina Katz-Hewetson

W eseju o *Ziemi Ulro* pisał Konstanty Jeleński: „... wiersze Miłosza zawierają blysk i urok rzeczywistości przekazanej w doskonałości zapamiętanego szczegółu, napelniają czułością do życia, bo jest jedyne i niepowtarzalne”. *Poezje* (1982), *Nieobjęta ziemia* (1984) i *Kroniki*\* potwierdzają piękną refleksję Jeleńskiego; nie tylko napelniają czułością do życia, są także nią wypełnione.

W *Zniewolonym umyśle* Miłosz czyni tę zdumiewającą uwagę o Tadeuszu Borowski, zaprzeczając oczywistej wydawałoby się tezie, iż to Oświęcim uczynił autora *Kamiennego świata* nihilistą: „Wiersze jego nie miały w sobie żadnej afirmacji świata, tej afirmacji, która wyraża się w sztuce sympatią z jaką artysta przedstawia na przykład jabłko czy drzewo... Kontemplacja zmysłowego piękna jest możliwa tylko kiedy artysta czuje miłość do tego co go otacza na ziemi”. Jak w owym fragmencie jednego z „Osobnych zeszytów” w *Poezjach*: „O piękno, o błogosławieństwo: was tylko zebrałem / Z życia, które było gorzkie i pomyłone, / Takie w którym poznaje się swoje i cudze zło. / Zachwyt porażał mnie i tylko zachwyt pamiętam”.

*Kroniki*, którym początek dały obydwie „Osobne zeszyty” w *Poezjach* i „Haftki gorsetu” w *Nieobjętej ziemi* podzielone są na dwie części: *Sezon i Dla Heraklita*. W roku 1960 Miłosz poświęcił greckiemu filozofowi wiersz-maskę, jeden z tych, w których pisząc o innych, mówi także o sobie: „Nikt jak on nie był dumny i wzdarliwy / Bo torturował siebie, wybaczyć nie mogąc, / Że chwila świadomości nigdy nas nie zmienia”. Tak podważona została teza o zmienności. Niemniej Heraklit, którego za styl pełen przenośni współcześni nazwali „ciemnym”, a który powiedział nie tylko, że „niepodobna wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki”, lecz także: „obawiamy się jednej śmierci, a już wielu śmierciom ulegliśmy”, patronuje obydwu częściom *Kronik*. Pierwszej z nich polemicznie. W wierszu „Sezon” czytamy: „W wielkiej ciszy mojego ulubionego miesiąca Października... / Celebrowałem zatrzymanie czasu”. Jest to ten sam kalifornijski pejzaż, który Miłosz opisywał od lat: najpierw obcy, powoli przyswajany, aż do stałego zachwytu, olśnienia. Sezon stabilności życia, co oznacza okres i miejsce, z którego nie można lub nie pragnie się uciec: „Rozległe państwo umarłych zaczynało się wszędzie / Za zakrętem alei, za trawnikami parków, / Ale nie musiałem tam wchodzić, nie wzywało mnie”.

\* Czesław Miłosz, *Kroniki*, Paryż, Instytut Literacki 1987, str. 75.



Celebrowanie istnienia mniej tu jest egzaltowane, bardziej stoickie i pozbawione owej czającej się pod zachłannością życia desperacji, jak w niektórych fragmentach *Poezji i Nieobjętej ziemi*. Opis miejsca na granicy życia i śmierci pełen jest spokoju, wybrany dłań język wyciosowywany łagodnie, umiarkowanie biblijny, umiarkowanie współczesny. Krajobraz podzielony został na dwie części: pierwsza jest jasna, druga pogrążona w ciemności. Śmierć, która w potocznym języku czyha, tu – jest: obecna w każdej chwili i miejscu. Ostatni obraz nie chce się jasno tłumaczyć: „Wybierałem się na bal duchów i czarowników / Na którym zjawia się delegacja w maskach i perukach / I tańczy nierozpoznana w korowodzie żywych”. W ostatnim obrazie Miłosz wprowadza na scenę bohaterów *Kronik*.

On sam jest jednym z nich. W wierszu „To jedno” powraca tak uparte w tej twórczości pragnienie roztopienia się w innym bycie, wyzbycia własnej formy: „Być samym patrzaniem bez nazwy, / Bez oczekiwań, lęków i nadziei. / Na granicy gdzie kończy się ja i nie ja”. Jak pogodzić to pragnienie z obowiązkiem czulej pamięci, z chęcią oddania sprawiedliwości ludziom za ból ich życia i przypadkowość losu? Z drugą, refleksyjną, namiętnie rozpamiętującą naturą poety? Z czułością, która w wierszu *W słoju* poświęconym posiadanym niegdyś w dzieciństwie trytonom, każe mu je „...koniugacją uchronić od nicości”?

Poezja jest formą modlitwy. Misteria, które odprawia Miłosz, są poważne: mało w nich uśmiechu, dużo tklivości i piękna. Nie oswajanie śmierci i tajemnicy istnienia, ale nieustanne zdumienie, prośba o serdeczność, o wyrozumiałość sił wyższych. Jak w poemacie „Świadomość” w *Nieobjętej ziemi*, zbioru, bez którego odczytywanie *Kronik* byłoby znacznie uboższe: „Chcę wierzyć, że siły, które są nad nami / Oddając się operacjom dla nas niedostępnym / Dotykają czasami naszych policzków i włosów / I czują wtedy w sobie to biedne ciało i krew”. Miłosz przełamuje powagę problemów z reguły nierozwiązywalnych dla ludzi niewierzących, tworząc na użytek poezji własną, baśniowo-filozoficzną religijność. Zachwyt nad naturą pozwala mu najczęściej akceptować samego siebie, zapomnieć o torturach świadomości i obowiązkach, których rzekomo nie spełnił. Z rzadka tylko jak w wierszu „Widok” (1975) wyrwa mu się znużone: „Widok był, nie wiadomo jaki, pewnie piękny”.

Istnieją różne sposoby poszukiwania i zatrzymywania straconego czasu. „Z wielości próbuję wyodrębnić najważniejsze dla mnie” – pisał Miłosz w *Nieobjętej ziemi*. W tym samym zbiorze w wierszu „Żółty rower”: „Nasza pamięć jest dziecinna i zachowuje ile nam potrzeba”. To co czyni trzy ostatnie zbiory tak niezwykłymi w jego twórczości, to wykrystalizowanie się najważniejszych spraw tej poezji: tematycznych i językowych. Nie tylko większa prostota, większa ilość wierszy o charakterze osobistym, ich nieskrywana uczuciowość. Nie kołazowy charakter, owa „forma bardziej pojemna”, którą Miłosz uprawiał od dawna, a z której w *Nieobjętej ziemi* uczynił rodzaj programu. Nawet nie próba zaaplikowania teorii Simone Weil – o której pisał obszernie w „Świadectwie poezji” – o poszukiwaniu „rzeczywistości oczyszczonej, o kolorze wiecznym, czyli po prostu piękna”. Rzeczywistość nie jest „oczyszczona”, kiedy w grę wchodzi litość i ból. To co wydaje się najistotniejsze dla trzech ostatnich zbiorów, to owa Proustowska reguła „widzieć jasno w zachwyceniu”. I widzieć jasno w rozpacz.

W *Kronikach*, podobnie jak w dwóch wcześniejszych zbiorach, uderza rezygnacja z kunsztowności, którą Miłosz zastąpił różnymi sposobami poetyckiej narracji. Żadna to

„maksymalna prostota”, lecz uporczywe dobijanie się do treści, do esencji tematu. Stąd także tak różna rytmika: płynniejsza, bardziej „poetycka” w wierszach o łagodniejszych tematach, na przykład w „Portrecie z kotem”, chropawa, bardziej hieratyczna w wierszu „Na pożegnanie mojej żony Janiny”. W jednym z tekstów prozą Miłosz mówi: „A ja staram się dzień po dniu pozbyć się słów, których dotychczas używałem i nazwać co teraz myślę i czuję a co wymyka się moim dotychczasowym słowom”.

Rozdarty na poetę „pożądającego prawdy” i poetę „dionizyjskiego” Miłosz raz jeszcze godzi w *Kronikach* swoje dwa nie całkiem sprzeczne powołania: poety natury i poety historii pamięci. Kruchość i śmierć człowieka wzruszają go do głębi. Osąd epoki bywa wyważony, „oczyszczony”, zobiektywizowany, ale bywa także jak cięcie ostrą klingą. Miłosz nigdy nie wyrzekł się historii, choć zalecali mu to Gombrowicz i Jeleński. W *Kronikach* ożywia na chwilę tych, których nie ma, i czas, którego nie ma. Układa mozaikę dwudziestego wieku arbitralnie, z kamyków przez siebie dobranych, pozornie przypadkowych. Co oczywiście sprzeciwia się regule, która powiada, że możemy sądzić epokę tylko w taki sposób, w jaki sądzili ją jej współcześni. Miłosz: „To my wiemy, oni o tym nie wiedzieli”.

Są w tym zbiorze dwa zdumiewające, jeśli zestawić je razem, wiersze, pokazujące jak różnorodny potrafi być Miłosz, a zarazem jak potrafi godzić swoje różne poetyckie natury i różne powołania. Pierwszy nosi tytuł „Jak powinno być w niebie”: „Jak powinno być w niebie wiem. bo tam bywałem. / U jego rzeki. Słyszac jego ptaki”. Piękno przyrody, akt twórczy, w którym artysta już to zdaje się dosięgać istoty rzeczy i zatracca się w niej osiagając na moment stan rajskiej niewinności – zostają z sobą utożsamione. zrównane. Drugi to „Wykład IV”, w którym Miłosz opisuje śmierć garbatej bibliotekarki w schronie pod gruzami zbombardowanej kamienicy. Prawom historii i wszelkiej liczbie mnogiej przeciwstawia pojedynczą ludzką śmierć, jej szczególne okoliczności. Dokonuje tego prerażliwie skąpymi środkami: „Szkielecik panny Jadwigi, miejsce / Gdzie pulsowało serce. To jedno kładę / Przeciw konieczności, prawu, teorii”. Niemniej w tym samym wierszu nazwie się „instruktorem od niepamiętania”.

We Wstępie do części zatytułowanej *Dla Heraklita* wyjaśnia Miłosz, dlaczego układając mozaikę historii naszego stulecia upodobał sobie *La Belle Epoque*, a zatrzymał „przed podniesieniem kurtyny w roku 1914”. Opowiada, podobnie jak uczynił to już w *Świadectwie poezji*, co przygotowało dwudziesty wiek: jakie trucizny sączy się z tamtych, pełnych słodyczy i spokoju czasów. Zatonięcie „Tytanika”, podróże Nansena, kolej transsyberyjska, dekadentyzm, prawykonanie *Święta Wiosny*, nadszanie apokalipsy. Kuzynki na plaży w Biarritz, zesłańcy na Syberii z braku lepszego zajęcia czytający *Kapitał* Marksa i przygotowujący generalną przemianę ludzkości. Pesymizm i wiara w postępek. Wstrząsająca i niezwykła opowieść, gobelin tkany z rozmaitych, swobodnie zestawianych obrazów, które czytelnik uzupełnia własną wiedzą i doświadczeniem.

Jednym z tych obrazów są „Portrety sukien”, z datą 1912. rozpoczęte notatką z «*La Gazette du Bon Ton*». Z wyliczonych nazwisk artystów-projektantów dziś znane jest tylko jedno: „panów Bakst”; jak widać było ich więcej. Miłosz wybiera nazwisko nic nie mówiące: Abel Faivre. Kreuje sytuację i wnętrze, opisuje suknię kobiety, jej spojrzenie spod przepaski z perel, moment fizjologiczny. Niepewność, zawieszenie między fizjologią a strojem. Kończy pytając o zagadkę losu: „Sute, szumiące tkaniny. Na przykład Abel Faivre. / Kim był? Jak wyglądał? Która z nich kładła rękę / Na ramieniu, kiedy rysował? Która zamknęła oczy? / I czy stały wtedy w dzbanku dale? Tulipany?”

Miłosz jest sam obecny prawie we wszystkich wierszach. Postaci są prawdziwe i wyimaginowane. Jedną z wyimaginowanych jest oficer Rudolf Groethe – rok 1944 – który ze spokojem i precyzją entomologa zapisuje, co widzi, przewidując archeologię przyszłości. Miłosz oddaje mu język swojej poezji i nawet jej filozofii jakby chciał udaremnić i wyszydzić wszystkie swoje wysiłki, pokazując do czego można użyć to najwspanialsze z narzędzi, jakie wykształcił człowiek. Rudolf Groethe także ogląda historię „oczyszczoną”, „o kolorze wiecznym”, tyle że *a priori*. I z tą różnicą, że nic go ona nie wzrusza. Ale język, jakiego używa, jest w pełni prawomocny: należy do starej, bogatej w tradycję kultury: „Ludzi nie widać przez moją lornetkę polową. / Słychać terkotanie, seriami, ręcznej broni. / Ale wiem, co niszczymy. Malutka swojskość. / Pokolenia tapet. Antyczność konfitur. / Zapach lekarstw na bronchit. Konsóle. Grzebień. / Krew, likwor szczególnie, nie zostawia śladu. / A rzeczy trwają w szczątkach. Za ileś tam lat / Ziemię będą przesiewać w metalowych sitkach / I podnosić w dwóch palcach okruch porcelany”.

„Sześć wykładów wierszem” spina historię stulecia, opowiedzianą w nich jeszcze raz, ale innym językiem. Miłosz jest personą i okiem spełniających się w nich tragedii. Ale główną postacią jest tu odrzucony przez ludzkość Chrystus. Nie udaje się uratować przed szaleństwem epoki pięknej Niemki zobaczonej przed wojną na plaży nad Adriatykiem, ani studenta z Marburga poznanego na Kongresie Obrońców Kultury w Paryżu w 1934 roku. W ostatnim wykładzie wycieczka szkolna odwiedza muzeum i teraz wszystko jest jak na spiętrzonej obrazie: nauczycielka podglądana przez dzieci, jej krucha cielesność, obraz pola bitwy na ścianie. Szczątki historii przemienione w sztukę, sztuka która się staje historią. Tak było zawsze: „Graniczna historia trwała w tym momencie / Kiedy przełamał chleb, wypił wino. / Rodzili się, pragnęli, umierali. / Takie tłumy, na Boga! Jak to jest możliwe / Ze wszyscy chcieli żyć, a nie ma ich”.

Mało która poezja daje czytelnikowi tak dokładnie, tak precyzyjnie to, o czym mu opowiada: w sferze uczuć, w sferze intelektu i w tej sferze, którą nazwę muzyczną, bo tylko muzyka potrafi wywołać ten rodzaj i jakość wzruszeń. Na tym ogromnym instrumencie, którego nikt poza nim nie posiada, Miłosz potrafi wygrać wszystkie nuty, aż do zaniku głosu, jak w wierszu „W południe” w *Nieobjętej ziemi* „Ooo śpiewało we mnie, ooo. / Jakie południe a nie będzie innego. Odbyna się to bez skoków wyobraźni, za pomocą obrazów i precyzyjnych, czytelnych w intencji, możliwych do odtworzenia skojarzeń. Dawno temu w wierszu „Ars poetica?” Miłosz pisał: „Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej, / Która nie byłaby zanadto poezją ani prozą / i pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo, / autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu”. Ale „forma pojemna” jest tylko jednym z wielu środków wyrazu, sposobem instrumentacji, wydobywania tonu, nie samym instrumentem, czy głosem. I sama w sobie nie wystarczyłaby – jak nie wystarczyłyby wszystkie inne dary uczuć i umysłu – bez Miłosza odwagi czynienia z nich użytku w poezji; próbowania jak wiele wytrzyma. Czyli według jego własnego określenia: jak wiele rzeczywistości potrafi udźwignąć. Bo o nią, dociera nie do niej, zawsze w tej poezji chodziło. Przynajmniej Miłosz tak twierdzi.

## CIEŃ PISARZA

### Wanda Zwinogrodzka

Przyznam, że odetchnęłam z ulgą, gdy udało mi się wreszcie dobrać do ostatniej strony dzienników Andrzejewskiego. Nie było to łatwe zadanie. Autor spisywał ów dziennik w ciągu blisko dziesięciu lat (1972-81) i systematycznie, co tydzień publikował go na łamach «Literatury». Spieszny rytm codziennych notatek najbardziej odpowiada dziennikarzom i felietonistom, bystrym obserwatorom współczesności, którzy świetnie czują się w jej wartkim nurcie. Narrator dziennika ma jednak odmienne upodobania. Wykreowany został na postać starego człowieka, który u schyłku pisarskiego żywota osuwa się w samotność, po trosze z konieczności, po trosze z wyboru. Maleje jego aktywność i zainteresowanie dla otoczenia. Pograża się w kręgu spraw bezpośrednio go dotyczących, aby w odosobnieniu snuć refleksję, nie zmaconą przez natłok wydarzeń. Tu wszakże forma spisywanych „z dnia na dzień” uwag stawia opór, nie pozwala swobodnie rozwinąć myśli, starannie odcedzić ważnych spostrzeżeń od błahych, nieistotnych konstatacji. W miejsce – jak wolno się domyślać: zamierzonych – krótkich esejów otrzymujemy urwane w połowie bądź zawieszzone w próżni rozważania, ułamki postrzępionych, często niezbornych, dywagacji. A chodzi przecież o kwestie najbardziej podstawowe: o kondycję artysty i rolę sztuki, o treść miłości i treść cierpienia, o obawę przed śmiercią i gorzyc ostatnich lat życia. Temat często nie mieści się we fragmentarycznej, niedoskonałej formie, porwany bieg myśli nie może sprostać zagadnieniom, powstaje dysonans, który każe podejrzewać autora o wygórowane w stosunku do możliwości ambicje, czy też – o pretencjonalność po prostu.

Lektura jest żmudna i męcząca również z innych powodów. Świat zewnętrzny przenika oczywiście na karty diariusza, ale jest to świat ograniczony: pisarz utrzymuje z nim kontakt za pośrednictwem telewizyjnego ekranu, lektury wycinków prasowych i sporadycznych rozmów ze znajomymi. Drobne wydarzenia rozrzedzonej egzystencji zyskują nieproporcjonalnie wielkie rozmiary – autor skrętnie zapisuje, jakich utworów muzycznych wysłuchał wieczorem i co przyśniło mu się w nocy. Towarzyszymy mu w jego spacerach do ZOO, dostrzegamy wszystkie zmiany pogody, wspólnie poszukujemy zagubionego gdzieś klucza do drzwi. Trudno przeniknąć właściwy cel tych zabiegów, wydaje się bowiem, że narrator sam nie bardzo wie, po co je relacjonuje. Raz twierdzi, że czyni tak, aby zmanifestować swe prawo do prywatności i przeciwstawić je stereotypowi pisarza-społecznika. Innym jednak razem mruga porozumiewawczo okiem, sugerując, że nadmiar błahych problemów powinien zwrócić uwagę czytelnika na niedomiar istotnych, czyli, mówiąc wprost: że rozpisuje się o pogodzie, ponieważ cenzura nie pozwala mu pisać o wynaturzeniach życia politycznego.

Bardzo wiele uwagi poświęca Andrzejewski swym literackim przedsięwzięciom i rozterkom, zapewne fascynującym dla wnikliwych badaczy jego twórczości, ale niezbyt atrakcyjnym dla postronnych czytelników. Kompozycję dziennika rozsadzają obszernie fragmenty prozatorskie, których literacka wartość stoi niekiedy pod znakiem zapytania. To samo powiedzieć można o włączonych w tekst „miniotworach”. Mamy więc aforyzmy w rodzaju: „Młody – oszukujesz, ale nawet się nie domyślasz, że na swoje starsze lata – ty będziesz oszukiwany.” Mamy “Monologi w kształcie dialogów” – na przykład taki:

„– Sprawiasz wrażenie przygnębionego.

–Możliwe, jestem właśnie bardzo zajęty śmiechem wewnętrznym”.

Rozciągnięte w czasie zapiski ujawniają wreszcie rozmaite niekonsekwencje myślowe, męczą czytelnika nieuniknionymi powtórzeniami. Niekiedy, swym natrętnym ekshibicjonizmem wciągają go w najbardziej intymne sfery przeżyć autora, który obradowo opisuje przebieg doskwierającej mu choroby skórnej, bądź też w nader przejrzystych aluzjach opowiada o erotycznych zauroczeniach późnej starości. Narrator obszernie rozwodzi się nad swym stanem ducha, daje upust rozmaitym lękom i obsesjom, obnaża nekającą go dotkliwie twórczą impotencję. Niejednokrotnie też ulega małostkowej próżności. Starannie wynotowuje z prasy najdrobniejsze wzmianki na swój temat, powiadamia czytelników o wszystkich zagranicznych edycjach swoich utworów, lamentuje nad niedostateczną ilością wydań krajowych. Niepewny swego miejsca w literackiej hierarchii wypuszcza zatrute strzały w stronę konkurentów (na przykład Mroźka czy Gombrowicza). Podobnym praktykom towarzyszy refleksja o charakterze etycznym, co tworzy miejscami doprawdy nieznośną kompozycję.

W trakcie lektury nie sposób oprzeć się wrażeniu, że stronice zapisywał egocentryk, pochłonięty bez reszty własnymi kłopotami. Zdumiewają zwłaszcza zapisy z lat 1980-81, kiedy sam autor wydaje się zaniepokojony swą obojętnością na bieg wydarzeń i zaczyna podejrzewać, że „zachwiane zostały stosunki pomiędzy nim i rzeczywistością w najszerszym tego słowa rozumieniu”. Wszystko to nie najlepiej przystaje do godności moralnego autorytetu, jaką obdarzony został Andrzejewski w ostatnich latach życia. Dziennik może znakomicie świadczyć przeciwko swemu twórcy w procesie przewartościowania jego pisarskiego dorobku, a nie ulega wątpliwości, że proces ten już się rozpoczął. Żeby jednak świadectwo to bez wahania wykorzystać, trzeba przejść do porządku nad kwestią na pozór drugorzędną: czy zostało ono złożone mimowolnie czy też pisarz pozostawił je świadomie i z rozmysłem?

Tutaj cała rzecz nieoczekiwanie się komplikuje. Andrzejewski z podziwu godną konsekwencją co kilkadziesiąt stron przypomina czytelnikowi, że dziennik ma charakter literacki, nie zaś – intymny. Bardzo często podkreśla, że stosuje w swym dziele zasadę selekcji i przemyślanej kompozycji. Uporczywie ostrzega też przed nadmierną łatwością, skutkiem której on – Andrzejewski utożsamiany jest z narratorem raptularza. Co więcej, zastanawiająca wydaje się zarówno rozwichrzona forma notatek – wyraźnie przywodzi ona czasem na myśl *Miazgę* – jak i tytuł nadany im w ostatnim okresie: *Gra z cieniem*.

Chyba tylko raz i to mimochodem pisarz wyznaje, że uważa swój dziennik za jedno z najpoważniejszych przedsięwzięć literackich, podjętych w ostatnim okresie twórczości. Wagę tego stwierdzenia zdaje się potwierdzać systematyczność, z jaką przedsięwzięcie to realizował. Od listopada 72 do grudnia 81 roku co tydzień publikował odcinki diariusza i czynił to bez względu na niesprzyjające okoliczności – walczył z ogarniającym go wstrętem do pisania, przezwyciężał depresję, prowadził zapiski w czasie krótkich wyjazdów, pobyków w szpitalu. Dotknięty znacznym niedowidzeniem na dwa lata przed śmiercią postanowił je dyktować, mimo, że ta nowa metoda pisarska sprawiała mu ogromne trudności.

Może to świadczyć, że autor spreparował ten zadziwiający dokument chaosu i wewnętrznego rozkładu jako zamierzony i konsekwentnie zrealizowany utwór artystyczny,

co oczywiście nie oznacza, że stanowi on literacką fikcję. Materią dzieła z pewnością są autentyczne doświadczenia i przeżycia (przynajmniej w takim stopniu, w jakim ich zapis w ogóle może być autentyczny, w co Andrzejewski niejednokrotnie powątpiewał). Wolno jednak sądzić, że te doświadczenia i przeżycia poddane zostały nadrzędnym rygorom kreacji zgodnie z wyznaniem, jakie odnajdujemy na jednej z ostatnich stron: „nigdy nie ukrywałem, iż byłem i jestem nadal pisarzem, który nie posiada większych skrupułów, jeśli chodzi o wyprzedaż towaru, który mu się akurat do pisarskiej kreacji nadaje”.

Jeśli tak, to uznać wypada, że autor na kartach dziennika nie tyle nieopatrznie zdradził rozmaite swoje słabości, lecz – całkiem świadomie odsłonił je i wystawił na widok publiczny. Po co? Oczywiście, aby stworzyć swoje ostatnie wielkie dzieło, kto wie, czy nie najważniejsze w jego artystycznej karierze?

Otrzymaliśmy bowiem w rezultacie wstrząsający zapis duchowych rozterek i fizycznych cierpień, jakie przyniosła Andrzejewskiemu starość i perspektywa nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Starośći nigdy nie zdołał zaakceptować. Bezmiar tej nieakceptacji ujawniają po części bezpośrednie wyznania, po części zaś – utrwalona niejako bezwiednie na kartach dziennika wewnętrzna dysharmonia. Śmierci ani na chwilę nie przestał się lękać, a nie mogąc tego lęku odeprzeć, stopniowo kwestionował cały swój duchowy dorobek. Tak mocno zaangażowany przez całe życie w rzeczywistość społeczno-polityczną, u jego kresu osunął się w egocentryzm i zaświadczył to na kartach dziennika w sposób aż nadto wyrazisty. Zdemaskował samego siebie jako intelektualistę, który w ciągu wielu lat nie zdołał rozstrzygnąć kwestii najbardziej podstawowych, aby wreszcie popaść w skrajne zwątpienie. Zdemaskował moralistę, który w obliczu rychłego końca nie potrafił czerpać siły ducha z budowanej przez lata skali wartości. Postawił tym samym wielki znak zapytania nad swoim artystycznym dziełem, osnutym wokół wartości, które nie wytrzymały próby. Zdemaskował wreszcie twórcę, niepewnego doniosłości własnych dokonań, pogrążonego w wiecznej rozterce między prawdą kreacji a kreacją prawdy.

Jeśli napisałem, że jest to dokument wstrząsający, to nie dlatego, że wszystkie te tematy stanowią osnowę dziennika, obsesyjnie w nim powracają. Rzecz w tym, że książka Andrzejewskiego jest ich samodzielnym świadectwem. Katastrofę intelektualną najdobitniej wyraża nie wtedy, kiedy autor próbuje ją zanalizować, ale wówczas, gdy skrzętnie notuje najbardziej pretensjonalne i jałowe refleksje, a czyni to – mimo poczucia ich ułomności. Gdy przeczy opiniiom zgłaszanym kilka stron wcześniej, obnaża niemoc umysłu niezdołnego zgłębić problemów najbardziej go frapujących. Rozmiary katastrofy moralnej obrazuje najlepiej głęboka destrukcja osobowości, zaświadczona poprzez rozwlekłe zapisy depresji, obaw i lepiej lub gorzej skrywanych kompleksów. Katastrofę artystyczną w mniejszym stopniu uwidaczniają prowadzone na kartach dziennika rozważania na temat niedoskonałości formy – w znacznie większym – niedoskonała forma danego dzieła, które męczy i nuży czytelnika nadmiarem nieistotnych szczegółów, nieporadnością partii eseistycznych, rozchwianą kompozycją. Być może wszystko to stanowiło konsekwencję raz przyjętego założenia, by skomponować „portret artysty z czasów starości”. Andrzejewski dokonał doprawdy dramatycznego obrachunku z własnym życiem odslaniając całą głębię ostatecznego upadku. Aby zaprezentować ten strzaskany obraz – strzaskał samo zwierciadło. Bezwzględność ta musi

budzić sprzeciw, jeśli widzi się w niej jedynie potrzebę zasypania pustki lawiną słów. Można jednak w ekshibicjonistycznej szczerości dostrzec świadomy gest artysty, wolę zdarcia ostatniej zasłony kryjącej zagadkę osobistego losu. A wtedy, obok sprzeciwu pojawia się także – szacunek.

Jerzy Andrzejewski, *Z dnia na dzień. Dziennik Literacki 1972-1979*. Tom 1-2; Czytelnik, Warszawa 1988. *Gra z cieniem*, Czytelnik, Warszawa 1987.

## „POMIESZANIE RZECZY”... CZYLI STAN PO ZAPAŚCI Ewa Czerwiakowska

Polska lat osiemdziesiątych. stan wojenny. szpital. Taka jest materia najnowszej powieści Jacka Bocheńskiego\*. Taki też jest jej czas i realność. Ów szpital to metafora czy może esencja polskiej rzeczywistości, a tytułowy „stan po zapaści” dotyczy nie tylko przebywającego w szpitalu bohatera; jest on również diagnozą stanu społeczeństwa polskiego. Zdradziłam w ten sposób klucz do tej książki, uprzedziłam fakty. Ale przecież rozprawienie się z polską rzeczywistością to temat nienowy, jak i nienowe jest pragnienie uchwycenia jej sedna, istoty. Dać wyraz zbiorowym doświadczeniom Polaków. Opisać detale codzienności. Dostrzec te wszystkie mrugnięcia okiem, aluzjki, jakimi posługują się (wcale nie jak szyfrem, lecz jak dobrze znanym językiem ojczystym) Polacy; te wszystkie świeżo uprawomocnione słowa i frazeologizmy. A więc – uchwycić detale w momencie ich dziania się, a jednocześnie dokonać syntezy, spojrzeć na całość. To przecież pragnienia nie tylko pisarzy, także wielu codziennych obserwatorów życia, tych wszystkich, którzy chcą dać temu życiu świadectwo, opisać skomplikowaną polską rzeczywistość w całym jej – nie do opisania – wymiarze, z dziwacznościami, z nienormalnością, która funkcjonuje jako normalność, z brakiem i nieumiejętnością dziwienia się. To nie przypadek, że najnowsza literatura, która zajmuje się tymi właśnie tematami, wyraża się najczęściej wprost, korzysta z formy dzienników lub zapisków. Rzeczywistość zdaje się bowiem przerastać inne formy ekspresji, a fikcja literacka nie dotrzymuje kroku namacalnej codzienności. Utrzymanie zaś dystansu wobec przedmiotu opisu jest trudne albo wręcz niemożliwe. Literatura wycofuje się więc na stanowisko pokory albo – jeśli kto woli – bezsilności.

Dziennik to forma wygodna, szeroka, pozwala pomieścić w obrębie jednego tekstu różne konwencje stylistyczne i zachować płynność reguł. Taką też formułę przyjął Jacek Bocheński w swej najnowszej książce. Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że napisał on dziennik. „Stan po zapaści” to oczywiście powieść; utrzymana jednak w konwencji dziennika spisywanego przez przeciętnego, na pozór, pacjenta, na przeciętnym szpitalnym łóżku. Bocheński zabezpieczył się zresztą podwójnie przed ewentualnymi podejrzeniami czytelnika, któremu mogłoby przyjść do głowy, iż jednak jest to dziennik. Po pierwsze, na początku książki umieścił notkę: „Książka ta jest fikcją literacką. Wszystkie przedstawione tu zdarzenia, instytucje, rozmowy, postacie, nie wyłączając osoby narratora, są tworamni mniemanego dziennika każąc mu wyznać, że pisze powieść, a nie „jakis tam

dziennik szpitalny w zeszycie". Po tych zastrzeżeniach czytelnik musi pamiętać, że bohater powieści nie jest prostym „alter ego” autora, że nie wolno go z osobą autora utożsamiać. Bocheńskiego zasłania więc nie tylko sama postać, ale i werbalne stwierdzenie: „on to nie ja”

Kim zatem jest narrator powieści *Stan po zapaści* i jednocześnie autor dziennika? Czy jest to po prostu człowiek, który nagle zasłabł w domu i trafił do szpitala? Ten pacjent po zapaści znalazł się w przeciętnej sytuacji, sam jednak nie jest przeciętny; jest to pacjent-obszernik, piszący wszak książkę. W którymś miejscu notuje o sobie: „Upozowany na Bóg wie kogo, nic nie robię realnie”. Przyznaje też z pokorą, iż jest „zwykłym ludzkim robakiem”, takim jak inni, wiedzącym jednak, że nie należy nim być. Pokora zdaje się być jego programową obsesją, węższy bezustannie jej przeciwieństwo – pychę. Dlatego też stara się eliminować obszary swojej refleksji, a w jej miejsce rejestrować to, na co pozwalają mu zmysły. Zaczniemy jednak od początku. Widzę go, jak właśnie budzi się i konstatuje z napiętą uwagą kogoś, kto wrócił z intensywnego oddalenia – „widzę, słyszę”. Tymi słowami zaczyna się książka.

Tak doświadczany świat musi być z natury rzeczy uproszczony; jest to jednak jakaś metoda jego opisu – to ograniczenie, świadome zdanie się wyłącznie na zmysły, na wzrok i słuch przede wszystkim. Powonienie, dotyk i smak spełniają tu jakby mniejszą rolę; może po prostu tego typu bodźce trudniej dają się zapisać? W każdym razie ów narrator-sensualista nie jest wszytkowiedzący. Rola mu przeznaczona jest znacznie skromniejsza – ma on jedynie rejestrować, nawet nie fakty, lecz wrażenia. Nie ma reagować na bodźce, lecz je po prostu wchłaniać. Nawet nie zapamiętywać, lecz zapisywać i udawać, że je zapamiętuje. Bocheński zastosował tu klasyczny chwyt, z monologu wewnętrznego rodem – w większych partiach powieści nie ma bowiem dystansu między czasem narracji a czasem fabuły. Chociaż sama powieść nie jest monologiem wewnętrznym, narrator udaje, że wszystko dzieje się jednocześnie, teraz. To leżenie, słyszenie, widzenie, zielone rajstopy pielęgniarki, zgrzyt windy, brzęk naczyń, rozmowy pacjentów, salowych, lekarzy, słowem – szara przyziemność polskiego szpitala. Nie są to wielkie czy znaczące zdarzenia. Czyjaś śmierć ma rangę równą szpitalnemu obiadowi lub sprzątananiu sali. Tak to przynajmniej zostaje zapisane.

Szpital, taka wyspa w codzienności, oddzielony od tego, co zewnętrzne, ma być dla narratora miejscem obserwacji, punktem zaczeplenia, chropowatością, spletem wielu podrzędnych i nieważnych detali, wycinkiem przestrzeni, gdzie polska rzeczywistość wdziera się tu każdą szczeliną. Szpital polski nie ma w najmniejszym stopniu cech „splendid isolation”. Szczegóły, okruchy zewnętrzności rejestruje narrator z taką samą dokładnością jak fakty szpitalne. A to brak wody, z którym musi uporać się żona, a to jugosłowiańskie koszule, które przywieziono do jakiegoś sklepu i które wyciągnęły ze szpitala dziewczyny pracujące przy „rentgenie”. Kiedy indziej jest to brak papieru, na którym nasz bohater mógłby zapisywać swój dziennik mający być powieścią. Zewnętrzność to też różowe tabletki Propranolu „z darów”, ale także pobici demonstranci, ukrywani pod innymi nazwiskami w szpitalu przez porządnymi lekarzy. Oczywiście, są to wszystkie elementy niełatwej polskiej rzeczywistości, każdy z nich niesie z sobą jakąś porcję informacji. Jednak w rejestracji narratora każdy z nich jest jednakowo ważny, albo – jednakowo nieważny. Egzystują one bowiem jeden obok drugiego. To konsekwencja zdania się wyłącznie na zmysły.



A więc szpitalny chaos, to znaczy – szpitalna codzienność. Ktoś leżący na polowym łóżku, ustawionym na szpitalnym korytarzu usiłuje ten chaos zapisać. Ale zapisać – to nie znaczy uporządkować; zapisać – to znaczy zarejestrować, udawać, że jest się mechanicznym zapisywaczem, nastawionym tylko na odbiór. Jeszcze raz od początku: pierwsze słowa tej książki to „widzę, słyszę”. One to, sformułowane w gramatycznej pierwszej osobie kierują uwagę czytelnika na postać, która te słowa wypowiada. Czy lepiej – zapisuje. Może więc książka winna zaczynać się od słowa „piszę”? Bo może od podmiotu obserwującego ważniejszy jest tu podmiot piszący, który potrzebuje nie zmysłów, lecz stukartkowego zeszytu, by zobaczyć świat? Miałby więc ten zeszyt, który żona wsadziła do torby „na drogę”, być narzędziem poznania albo szczególnego rodzaju protezą? Czegoż nie mieści ten zeszyt – ile słów, zgrzytów, jęków, szumów, przedmiotów, jaka galeria postaci. A wszystko na tle szpitalnych łóżek, zapachu niemytych ciał i brzęku „kaczek”. Czytamy więc o wymiotującej salowej, która ma twarz podobną do ptysia, o różowej pani doktor Wolskiej, piersiatej pielęgniarce. Każda z postaci jest obdarowana jakąś przeszłością, naznaczona jakimś znakiem polskiego losu. Wszystkie skazy, kompleksy, rany ujawniają się za pośrednictwem tych postaci. Na przykład taki pan Ruś, który zabił człowieka tylko za to, że ów oznajmił, iż kiedyś Polacy i Niemcy będą braćmi, a który potem długie lata pracował jako kierowca w niemieckiej ambasadzie. Albo inny – pan Hak, którego żona siedziała w latach czterdziestych w Fordonie i nosiła pożydowskie więzienne ubranie z gwiazdą Dawida na plecach. Człowiek z grzywką, który zwarował na punkcie dochowania jakiejś tajemnicy, ukrywający się działacz podziemia z plecami jak „zupa jagodowa”, umierający dziadek, pani doktor marząca o komplecie mebli „Rubens”, salowa, pani Stasia, która – jak mówi – pracowała przed wojną „u dziedzica w pegeerze”, i wiele jeszcze innych postaci, zdrowych i chorych. Wszystkich ich łączy jedno – obcowanie z totalną chorobą, to znaczy z komunizmem. Wszystko to ciekawe z osobna, niekiedy dowcipne. A jednak całość jest chaosem, magmą, której brak spoiwa. Ta powieść zdaje się nosić na sobie piętno jednego z grzechów naszego bohatera, grzechu, który wypisał sobie podczas wyimaginowanego przygotowania do spowiedzi: „pomieszanie rzeczy takie jak we śnie i podczas kataklizmów, kiedy nie wiadomo, co jest czym”.

W obrębie tak zbudowanej całości brakuje wewnętrznego napięcia. Osoby i historyjki egzystują każda z osobna, oddzielone. Jedyным spoiwem ma być tutaj postać narratora, bohatera obserwującego. On sam jednak chce usunąć się w cień, jego – jako żywej postaci niemalże nie ma. Nie jest nam dane poznać, co to za człowiek, ów rejestrator posługujący się stukartkowym zeszytem; objawia się jako postać niemal wyprana z osobowości. Nie interesuje go własne zdrowie, pobyt w szpitalu jest zaś dla niego czymś niemal obojętnym, neutralnym, niewiele go dziwi czy porusza. Wyjątek od tej reguły stanowią fragmenty „refleksyjne”, o których za chwilę. Całość książki napisana jest jednak tak, jakby narrator, umieszczony na szpitalnym łóżku nie był rzeczywistą postacią, lecz wyłącznie powieściową konstrukcją, wymyśloną w miejsce tradycyjnego narratora klasycznej powieści. Gramatyczna pierwsza osoba liczby pojedynczej wydaje się być przypadkiem, równie dobrze mogłaby to być trzecia osoba. Pacjent-obszawator nie jest równouprawnioną postacią tej powieści, potrzebny był w tej książce jedynie jako obecność. Obecność podglądająca i podsłuchująca. Można podejrzewać, że Bocheński świadomie odstąpił od tradycyjnego modelu powieściowej narracji, która już dawno straciła

swą wiarygodność. Zabieg z wprowadzeniem postaci narratora miał złamać tę formułę – w miejsce unoszącego się nad powieściowym światem przedstawionym opowiadacza, który wszędzie jest, wszystko widzi i słyszy, pojawić się miał ktoś wiarygodny, kto widzi, bo leży na łóżku, kto słyszy, bo jest fizycznie obecny. Ale okazuje się, że ten ktoś nie jest wiarygodny. Tradycyjny narrator ma jeden zasadniczy przywilej – nie musi tłumaczyć, skąd wie to, co wie i dlaczego to w taki, a nie inny sposób opowiada. Postać natomiast wprowadzona w obręb powieściowego świata winna sama się uzasadniać i tłumaczyć, istnieć w sposób bogatszy niż rejestrowanie wydarzeń, scen, bodźców. Tymczasem nasz bohater rzadko zabiera głos w szpitalnych rozmowach, rzadko przytacza wypowiediane przez siebie zdania; wyjątkiem są tu dłuższe wypowiedzi, notowane *ex post*. Przyjmuje natomiast rozmaite formuły zrelacjonowania zasłyszanych rozmów czy opowieści pojedynczych osób. Niekiedy są to cytowane dialogi, kiedy indziej zaś wtrącona w narrację mowa pozornie zależna – dłuższe fragmenty, gdzie zgrabnie oddany zostaje styl i emocjonalny nierzadko charakter wypowiedzi któregoś z pacjentów.

Bezładny tok szpitalnych opowieści i rejestrowanych obrazów łamie kilka fragmentów jakby „odautorskich”. Czy można podejrzewać, że w tych fragmentach bohater powieści urasta jednak do rangi „alter ego” autora? Owe fragmenty, zamknięte w sobie całości, robią wrażenie wtłoczonych na siłę w materię powieści-dziennika, przejścia do nich wydają się sztuczne, tak jakby zasadniczy tok narracji został nagięty dla ich potrzeb. Można im zresztą nadać odrębne tytuły, no, powiedzmy „modlitwa”, „Polacy a Zachód”, „przygotowanie do spowiedzi”, „czym jest komunizm”. Te refleksyjne passusy mogłyby pochodzić z innego dziennika, czy notatnika; mogłyby też znaleźć się w innej książce. Przyjrzyjmy się jednemu z nich, fragmentowi, pomieszczonemu w zapisie rozmowy naszego bohatera z docentem: „Wie pan, to jest w ogóle bardzo dziwny wynalazek, ten komunizm. Teoretycznie powinien być wszystko na świecie naprawić, a taką jakąś ma naturę, że każdą rzecz psuje, zwłaszcza gospodarke, samego człowieka i przyrodę. I dziś już u nas w każdej dziedzinie... czy to będzie... bo ja wiem... górnictwo czy bibliotekarstwo, czy prawo, czy leśnictwo, cokolwiek pan chce, w każdym zakresie, każdy fachowiec wymieni panu powody, dlaczego coś tam nie może przetrwać, las, kopalnia, więź społeczna? miasto, ale i książka, krowa i woda... Cały ten ustrój nie ma jakby podstaw egzystencji, bo je zepsuł. Jednak razem z nim i my ich nie mamy. W tym sęk. (...) Wyjść próbowano już różnych. Na początku jedni chcieli się z komunizmem bić, ale szybko przegrali. Drudzy na odwrót: zamiast go zwalczać chcieli mu pomóc, żeby komunizm się udał. Ci drudzy decydowali się znacznie więcej niż na kompromis, byli posłuszni, gorliwi, ciężko pracowali, ale komunizm wcale się przez to nie udał. Wtedy właśnie narobił strasznych błędów i wypaczeń. (...) Ma on taką fatalną cechę, że kiedy czuje uległość, wpada w amok i tylko stara się czym prędzej zepsuć wszystko raz na zawsze. Wielu próbowało czy nie można by go albo przerobić na jakiś lepszy, albo się z nim ugodzić w sprawie podziału: to i to psuj, trudno, ale reszty już nie psuj. Jeszcze „Solidarność” tak próbowała. A on z chętnymi do kontraktów zawsze postępował w jeden sposób. Jeśli byli zbyt silni i nie mógł ich zdławić natychmiast, pozorował zgodę, przeważnie po głośniejszych i dramatycznych targach, potem szybko oskarżał swoich kontrahentów o wiarołomstwo i już tylko czekał na dogodną chwilę, żeby znieacka skoczyć im do gardła. I nigdy nie chodziło naprawdę o rozmiary lub rodzaj tej części odstąpionej mu do psucia, czy będzie mniejsza, większa, taka czy owaka. Nie chodziło, bo on musiał

mieć w konsekwencji całość! I wiedział o tym z góry. Mianowicie, komunizm póki jest sobą, nie może oszczędzać niczego, co jeszcze poza nim istnieje, bo każdej takiej rzeczy śmiertelnie się boi. Musi ją unieszkodliwić. Zagarnąć i sparaliżować. Dlatego popełnia zbrodnie, szaleństwa, może nawet popełni samobójstwo, może podpali świat, to jeszcze zobaczymy. Ale nigdy nie wyrzeknie się psucia i nigdy sam się nie uda. Chyba żeby zmienił własną istotę. O tym już wszędzie, gdzie jest, wszystkich przekonał. Już nikt nie liczy na pożytek z niego. I nikt nie liczy na kompromis, bo nie wierzy w istnienie przedmiotu, którego kompromis mógłby dotyczyć”.

Oczywiście, można spierać się, czy właściwe jest cytowane rozpoznanie komunizmu, upersonifikowanego i dziwnie złagodniałego, niczym nieznośne dziecko. Jest to jednak spór toczący się obok tej książki albo przynajmniej – na jej marginesie. Tak jednak mogłaby brzmieć teza, której ilustracją byłoby powieściowe tło. Szpital, wycinek przetrzeźnionego opętanej komunizmem jest przecież wszechstronnie zepsuty. Brakuje też w nim „rzeczy rzeczywistych”, o które modli się bohater w innym „odautorskim” fragmencie brakuje tych „dobrze zrobionych przedmiotów”, kolorów, „murów z muru” i „chlebów z chleba”. To wszystko prawda; czy jednak cała realistyczna warstwa powieści, te wszystkie gromadzone detale miałyby być jedynie pretekstem dla wygłoszenia paru takich też? Ten mały realizm jako zasadnicza materia książki nie broni się sam. Bronią się jej poszczególne fragmenty, realistyczne scenki, zanotowane opowieści, ale wypreparowane z całości. Pomieszczenie rzeczy i nadmiar programowej pokory wydają się być skazą, nie zaś zaletą tej książki. A polska rzeczywistość – jak dotychczas – ciągle czeka na swoją wielką realistyczną powieść.

Jacek Bocheński, *Stan po zapaści*, NOWA, Warszawa 1987; Aneks, Londyn 1988.

NOWOŚĆ

Jan Nowak  
(Zdzisław Jeziorański)

**POLSKA Z ODDALI**  
Wojna w eterze – Wspomnienia  
Tom II: 1956-1976

Autor, były dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, opisuje w tej pasjonującej książce zarówno wydarzenia polityczne w kraju i w świecie, jak i codzienną pracę rozgłośni, walkę o polskie cele, a również problemy i konflikty wynikające z kierowania dużym zespołem pracowników. Ten barwny, niezwykle ciekawy pamiętnik, ilustrowany licznymi fotografiami, ukazuje się nakładem londyńskiego wydawnictwa Odnova.

Str. 404

Cena £ 12.00

Polecamy również wydany poprzednio tom I wspomnień:

WOJNA W ETERZE 1948-1956

cena £10.50

oraz trzecie wydanie książki tegoż autora

KURIER Z WARSZAWY

cena £12.00

Księgarnia przyjmuje czeki (oprócz kanadyjskich), book tokens, karty kredytowe Visa, Access, America Express, Eurocard, Mastercard Konto Giro nr 577 1455.

ORBIS BOOKS (LONDON) LTD  
Księgarnia Polska, 66 Kenway Road, London SW5 0RD ☎ 01-370 2210

# DRUGI BRZEG

## „PRÓBY ŚWIADECTWA” JAKO ŚWIADECTWO PRÓB Leonard Neuger

Skarby i siły przewieją, ogóły całe zadrzą.  
Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie,  
Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...

C.K. Norwid *Do Bronisława Z.*

### 1.

Nie dane mi było zaprzyjaźnić się blisko z Janem Strzeleckim; poznałem go osobiście podczas jego dłuższego pobytu w Sztokholmie wiosną 1988 roku, sądzę jednak, że w czasie kilkakrotnych dłuższych spotkań zbliżyliśmy się znacznie do siebie. Po raz pierwszy zetknęliśmy się po seminarium, na którym prezentowałem referat na temat motywu Żydów w powojennej poezji polskiej, potem dzielnie mi sekundował na sesji poświęconej postmodernizmowi, dzielił się uwagami w związku z opracowanym przeze mnie na tę sesję tematem. Spacerując snuliśmy długie rozmowy o twórczości Gombrowicza, o *Umyśle zniewolonym* Miłosza, o wystąpieniu Jana na seminarium Józefa Lewandowskiego, które to wystąpienie nie bardzo mi odpowiadało, czego nie ukrywałem. Uderzyło go, że w trakcie dyskusji nazwałem jego sposób ujęcia tematu – „nudnym”, to znaczy takim, które lokuje się w dość już wyeksploatowanym polu pojęć przy opisie sytuacji w PRL po 13 grudnia i później, co – moim zdaniem – pozwalało tylko na „nudne”, jałowe obracanie siatką pojęć. jałowe obracanie się w tej siatce (sieci?).

W rozmowach prowadzonych w domu, na Uniwersytecie, czy też na spacerach (lubił spacerować: wysoki, mocno zbudowany, sękaty, z jajowatą łysawą głową szedł wolnym, jakby starczym krokiem zatrzymując się co chwilę, w ważniejszych momentach dyskusji chwytając mnie za łokieć, co mnie, schowanego w skorupie kompleksów i nerwic broniących dostępu do ciała, na początku drażniło. Potem przyzwyczałem się do tego, że Jan rozmawia także przez dotyk, że pragnie zbliżenia z żywym człowiekiem (nie tylko z dyskutantem). otóż w tych rozmowach w nader delikatny, subtelny sposób próbował bronić mnie (siebie?) przed Gombrowiczem, przed – jego zdaniem – uproszczonym w mniemaniu „ukąszenia heglowskiego” przez Miłosza, przed postmodernistycznym nihilizmem wreszcie.

Dlaczego opowiadam te historie, bez wdzięku i pointy, przyznając sobie prawem kaduka racje, a przynajmniej, nawet wbrew woli, własne racje sugerując? Otóż z jednego powodu. Trzeba o Janie Strzeleckim opowiadać jak najwięcej. Są pisarze, myśliciele, publicyści itp., którzy najpełniej i do końca, a nawet poza ów koniec wypowiadają się w swym dziele pisanym. Czytając to, co po Janie zostało na piśmie, wiem na pewno, że jest to ważna, znamienna, prawdziwa, ale jednak cząstka Jana. Nie dlatego jednak, by był mistrzem oracji (nie był), nie dlatego, by te pisane teksty nie były mistrzowskie (były), tylko dlatego, że w tym, co napisał, zawsze odwoływał się do sfery uprzędnych uczynków, postępów, działań. Zawsze odwoływał się do tego, co poświadczone byciem, egzystencją; „sprawdzone sobą”, jak pisał Miron Białoszewski. choć owo „sobą” miało u Jana tyle osobisty, co społeczny charakter. Kiedy więc chcemy opisać to, co Jan Strzelecki napisał, a przecież to, tylko to zostało, jeśli chcemy zrozumieć to pisanie, musimy akt lektury poprzedzić pytaniem: jaki Jan Strzelecki był? Musimy także opowiedzieć, jaki był!

Ale: co to znaczy, jaki był? I czy taka kategoria w ogóle mieści się w warsztacie krytyka? Czy nie lepiej odpowiadać na pytanie inne: jak to się dzieje, że „Próby świadectwa” w dalszym ciągu tchną autentyzmem, a niektóre z metafor Jana, jak to słusznie zauważył jego nekrologista z «Polityki» (Andrzej Ziemiński, «Polityka» 29/1988) zachwycają trafnością. Myślę tak: na to drugie pytanie odpowiadać trzeba, eseistyka Strzeleckiego (a już na pewno „Próby świadectwa”) należy do klasyki polskiego eseju i jako taka budzić będzie i musi ciekawość. „jak została zrobiona”. W jaki sposób możliwe było „odczarowanie” polszczyzny z kamiennego istnienia w stereotypach, sztancach ideologicznych, mitach, w które zaklęta została przez złych czarodziejów nacjonalizmu i kombatanctwa, szczególnie jeśli chodzi o wystawienie doświadczeń okupacji hitlerowskiej. I to jest na pewno jeden kontekst „Prób świadectwa”. Drugi, ważniejszy od poprzedniego, jest kontekst literatury szyderczej, tej która wyszydza nie tyle to, co rzeczywiście zaszło, lecz sposoby mityzacji świata, jego Formy w sensie Gombrowiczowskim, zaszpuntowania, zafalszowania. Prowadzi to często do wylania dziecka razem z kąpielą, przesuwa bowiem, często niepostrzeżenie, pole obserwacji z egzystencji, z człowieka-w-sytuacji, czy, jak by to Jan nazwał: człowieka-w-próbie, na sposoby społecznej, fałszywej werbalizacji egzystencji, na ideologię w sensie marksowskim.

W tym wymiarze „Próby świadectwa” są książką wyjątkową. chciało by się powiedzieć: niemożliwą do napisania. Przywaracają bowiem polszczyźnie słowa – wydawało by się – zupełnie już zużyte, zmityzowane, zafalszowane – na śmierć. Takie słowa jak braterstwo, „mitość, jasność, ład, uznanie praw drugiego człowieka, pojmowanie jego istnienia nie jako łupu lub siły roboczej, lecz jako pola życia, któremu przyświadczamy i mamy ochotę pomóc” (s. 21. Wszystkie cytaty z *Prób świadectwa* pochodzą z pierwszego wydania książki, „Czytelnik”. Warszawa 1971). I najryzykowniejsze z nich: słowo „my” użyte nie w sensie konwencjonalnym, na oznaczenie obiektywizmu, czy racji intersubiektywnych, i nie w sensie zbiorowości projektowanych, lecz na oznaczenie pewnej wspólnoty doświadczeń, doznań, przywiązań stańowczych. To „my” budowane jest na dwóch osiach. Na pierwszej mieszczą się doświadczenia negatywne związane z czasem okupacji hitlerowskiej: ubóstwienia Państwa, sakralność władzy, wszechpotęgę ciała, przemocy, pogardy dla świata wartości. Owo „my” kształtowane jest tu względem

tych doznawanych kategorii i to w szczególnych okolicznościach, kiedy to każdy z osobna musi opowiedzieć się całym swym byciem, całą osobą po jednej ze stron: uznanie omnipotencji Państwa, władzy, ciała było automatycznym uznaniem przemocy, pogardy dla jakichkolwiek wartości, negacji samego siebie; uznanie samego siebie, osoby ludzkiej, nieakceptacja własnej roli niewolnika, przedmiotu – prowadzić musiała do negacji pozostałych atrybutów hitlerowskiej koncepcji historii, państwa, władzy. To „my” kształtowane jest zatem na tej osi poprzez negację tyle intelektualną (ileż to razy odwołuje się Autor do wspólnych lektur), co przeżywaną w trosce, bólu, cierpieniu, lub w pełnej gotowości do ich przyjęcia.

Druga oś buduje „my” poprzez akceptację wartości. Jeśli na pierwszej „my” krystalizowało się, jak się wydaje, dość łatwo, dość spontanicznie, odruchowo, nawet pod przymusem historii, czy jak to Strzelecki pisze „tak zwanej historii” – ze względu na usytuowanie w hitlerowskiej koncepcji świata, to na drugiej „my” samookreśla się poprzez działania pozytywne. Najtrudniejsze z możliwych. Jeśli postawieni przez „tak zwaną historię” w sytuacji niewolników nie godzimy się na akceptację tej sytuacji, to automatycznie niejako nie akceptujemy ani wyznaczonej innym roli panów, ani nie akceptujemy instancji, która uzurpuje sobie prawo do dokonania takiego właśnie podziału (czytaj: władzy), ani wreszcie nie akceptujemy kryteriów jakimi ta instancja posługuje się (czytaj: ideologii). Skoro jednak podwalinami teź ideologii są przeświadczenia o niestnieniu wartości duchowych, przeświadczenia o technologiczno-produkcyjnej wartości człowieka (czytaj: sprowadzenie człowieka do czystej cielesności), to przeciwstawienie się – tyle intelektualnie co aktywne, praktyczne, doznaniowe – oznacza poszukiwania, próby właśnie, zaistnienia w godności, braterstwie, w ładzie. Oznacza budowanie „my”, budowanie wspólnoty ludzkiej ku wartościom, dla wartości, poprzez wartości. Jeśli wspólnota wyznaczona przez pierwszą oś ma charakter negatywny, jest wspólnotą odmowy, odmowy udziału w zbrodni, współdziałania z katami, zgody na upodlenie, to ta druga jest wspólnotą prób. Nie należy lekceważyć tej pierwszej, nawet stanowcze wybory intelektualne w zetknięciu z izbą tortur, obozem koncentracyjnym, bólem nękanego ciała, pokusami przywilejów, ulgi, wolności, jaka ona by nie była – wymagały niewiarygodnie silnego wpisania w tę drugą oś. Wymagały budowania także w praktyce wartości przeciwstawnych tym przyjmowanym przez katów, również po to, by – jak pisał Strzelecki – „zbrodnia ich była większa”.

W książce Strzeleckiego nie pojawia się słowo „ja”, jest tylko „my”. „my” nie jako dowód anielstwa człowieka, od tego Autor był jak najdalszy, lecz jako dowód, że nawet w czasach najstraszliwych takie „my” zaistniało. O sobie Jan Strzelecki nie pisał. Czytelnicy obdarzeni pamięcią wiedzieli, że Autor bez wątpienia do owego „my” należał. Już po tragicznej śmierci Jana Strzeleckiego przeczytałem w numerze „Polityki” z 1988 roku list Zofii Danuty Strzałkowskiej. Oto najistotniejszy fragment listu:

Po powstaniu, w 1945 roku, przeniosłam się z rodzicami i moim przyszłym mężem do Zakopanego. Po wykryciu aparatu radiowego i gazetek Niemcy zaarrestowali mojego przyszłego męża, red. Stefana Leszka Strzałkowskiego. Obecnie już nieżyjącego, dziennikarza (*W służbie narodu, Stolica*). Mnie wyciągnęli, a raczej wygrzebali kolbami ze strychu, z siana.

Mąż mój był prowadzony w kajdankach, był śnieg, mróz i właśnie wtedy podszedł do niego mężczyzna, który włożył mu na ręce swoje rękawiczki. Był to

właśnie Jan Strzelecki. Po latach rozpoznaliśmy tę twarz w Stowarzyszeniu Dziennikarzy – dziękując mu za odwagę i serdeczność. (...)

## 2.

To jest jedna z możliwych lektur „Prób świadectwa”. Myślę, że tak odczytała ją Pani Strzałkowska i wielu innych czytelników: w ścisłym związku z kontekstem historycznym, którego dotyczy, w ścisłym związku z osobą Jana, z pokoleniem, które przeżyło okupację, a przynajmniej z tą jego częścią, która – proporcjonalnie do wymiarów swego człowieczeństwa – w owym „my” partycypowała.

Nie jest to jednak lektura jedyna, a nawet nie jest ona przez Autora preferowana. Drugi typ lektury powinien dostrzegać w tej książce próbę uzasadnienia wyborów ideowych owego „my”, wyborów socjalistycznych. Strzelecki pokazuje pełną zastrzeżeń, rezerwy, nieufności drogę swego pokolenia do wyrazistego wyboru socjalizmu. Jest to niezwykle pasjonujący sposób lektury tej książki. W zwięzłych, aforystycznych nieomal esejach, a więc w tradycji polskiej także: próbach, doczytać się można ostrej, przenikliwej krytyki złudzeń i utopii lewicy, zwłaszcza komunistów: z ubóstwieniem Historii, z uroszczeniami prymatu zbiorowości nad osobą ludzką, z relatywizacją wartości, absolutyzacją postępu itd. A jednak jest to książka, kto wie, czy nie najgoręcej optująca za socjalizmem z tych napisanych po wojnie w PRL. Socjalizm Jana Strzeleckiego ma kilka podstaw. Jedną z nich jest osoba ludzka: owa jedność myśli i działania, intelektu i uczucia, poznawania i doznawania. Drugą jest uznanie osoby ludzkiej za twórcę, za podmiot stwarzający historię. Jeśli Strzelecki mówi o „tak zwanej historii”, ma na myśli, jak sądzę, ów wyzwolony i nie poddający się kontroli osób ludzkich żywioł, ową siłę, na którą jakoby nie mamy rady prócz poddania się, prócz biernej (czytaj: nie uruchamiającej odpowiedzialności za Tego-Drugiego i świat przeżytych sobą wartości) akceptacji jej wyroków. Trzecią – istnienie świata duchowych wartości, ani wiecznych, ani absolutnych, przeciwnie: kruchych, które jednak podlegają absolutyzacji wówczas, gdy ich zagrożenie jest śmiertelne. Można powiedzieć jeszcze inaczej: wybór tych wartości jawi się jako imperatyw dzięki doświadczeniu hitleryzmu. Strzelecki używa tu metafory tamy, kruchej tamy, na którą zewsząd napiera żywioł. Ratować tę wciąż zagrożoną tamę, budować ją i umacniać – oto jedna z podstaw propozycji ideowej Strzeleckiego. Dalej? Dalej pojawia się pytanie, jakie to wartości. Są to stare, wykpione przez lewicę wartości mieszczańskie:

„Mieszczańska praworządność”, „mieszczańska sprawiedliwość” były to formuły, które w katalogu obiegowych zwrotów rewolucyjnej lewicy oznaczały postępowanie będące urąganiem z zasad sprawiedliwości, wypisanych na frontach wszystkich szanujących się państw wieku dziewiętnastego, a uznanych wspólnie za ówno przez liberałów, jak i socjalistów za owoc ducha postępu, które wkrótce posiadzie ziemię. Gorzkie szyderstwo z ową „mieszczańską sprawiedliwość” nie dotyczyło więc zasad; w świetle zasad człowiek był równy człowiekowi i prawo służyć miało i obowiązywać po równi każdego, zabezpieczając ład powszechny. Szyderstwo trafiało w odstępstwa praktyki od zasad, powodowanie wyrażonymi i nie wyrażonymi w prawie interesami obrony własności. Szyderstwo z odstępstw było tym większe, im większa była cześć dla zasad i im silniejsze przekonanie, że wraz ze zniknięciem społecznego porządku, opartego na prawie

i na bezprawiu własności, znikną wszelkie przeszkody na drodze do urzeczywistnienia sprawiedliwości doskonałej, nie okaleczanej żadną grą interesów specjalnych. (s. 75)

Hitleryzm to dla Strzeleckiego istotne doświadczenie „aż po kres nocy” wykazujące, do czego prowadzi i prowadzić musi odrzucenie tych wyszydzonych wartości, jakie konsekwencje powoduje „łatwość zaprzeczania” (s. 76). I choć „czas ten przyniósł najgłębszą klęskę socjalistycznego ruchu” (s. 81), to:

Walec totalnej wojny i totalnego terroru wyburzył stare społeczne struktury; młode pokolenie dojrzało w klimacie wspólnej walki, głodu i nadziei. Charakter wroga sprawiał, że walka o wyzwolenie narodu spletała się z walką o trwanie i rozwój najlepszych tradycji ludzkiego gatunku. Stworzyło to sytuację, w której tu, nad Wisłą, na dnie strzaskanej przeszłości narastała przyszłość o innym kształcie. Dążenia socjalistyczne stawały się jednocześnie moralną treścią i organizacyjną formułą wysiłków odbudowy zbiorowego istnienia. (s. 82)

Wiemy doskonale, że mowa tu nie o retorycznym „my”, że Autor sam sobą poświadczyl te wybory. Był w czasie okupacji członkiem socjalistycznej grupy „Płomienie”, brał udział w Powstaniu Warszawskim (AK), potem był przywódcą Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej.

### 3.

Nie jest to jednak ostatnia lektura, którą chciałbym zaproponować. Sam Autor zachęca do przekroczenia historycznego horyzontu książki. Na moim egzemplarzu pierwszego wydania *Prób świadectwa* Jan Strzelecki wpisał mi taką dedykację: „Widzisz, Leonie, właściwie czas prób zawsze trwa, tylko my nie zawsze o tym chcemy i potrafimy wiedzieć, bo nie zawsze potrafimy być w próbie, staraj się więc, o co cię prosi Jan” (Sztokholm, maj 1988). Zamieniają się historyczne parametry prób, zmieniają się uwarunkowania, ale każdy czas jest czasem szczególnym, każde pokolenie, każdy człowiek jest w próbie. Nie, nie zamierzam odczytywać *Prób świadectwa* jako książki wymierzonej przeciw wszelkim totalitaryzmom (czytaj: komunizmowi w PRL), choć takie odczytanie jest możliwe: można wszak hitleryzm, terror, obozy koncentracyjne uznać za akcydensy doszukując się istoty zła w tej książce omawianego w ubóstwieniu Państwa, władzy i ideologii, w stosunku do człowieka, dziejów, materii. Myślę jednak, że nie trzeba tego robić. Raczej proponowałbym interpretować tę książkę jako apel o bycie-w-próbie. o przyjęcie próby teraz, w każdym teraz. Dla polskiego czytelnika książki owo teraz wyznacza rzecz jasna ideologia i praktyka władzy komunistów, ale także własne uwikłania grupowe, własne pokusy myślenia totalitarnego, jak zawsze uznawanego w intencjach za nadzwyczajne, selektywne, słuszne. Ten apel odnosił się również do Autora i zaprowadził go do utożsamienia się z „my” „Solidarności”, gdzie pełni funkcję doradcy: najlepszego z możliwych, jeśli nie w sensie przedmiotowym, to na pewno w sensie kwalifikacji etycznej. horyzontu humanistycznego. Ostateczną więc próbą Jana Strzeleckiego jest moim zdaniem próba etyczno-moralna, z którą przychodzimy do świata takiego. na jaki jesteśmy skazani: ta właśnie próba każe nam zarówno w teorii jak i w praktyce nadawać światu



sens coraz pełniejszy i mężnie bronić tego sensu. I – choć tama wciąż wymaga umocnień, choć w oczach jej ubywa – tym, którzy głoszą upadek sensów i wartości. Jan zostawił książkę, w której pokazał, że da się, można, trzeba, choć „nie zawsze o tym chcemy i potrafimy wiedzieć, bo nie zawsze potrafimy być w próbie”.

Po napisaniu tej dedykacji Jan uważnie przeczytał ją, wyciągnął do mnie rękę z książką i prychnął: „Hm, strasznie patetyczne”. Niech więc i mnie będzie wolno zakończyć ten szkic podobnie: Hm, strasznie patetyczne.

## ZYGMUNT KALLENBACH\*

2-go czerwca 1980 roku, w przemówieniu wygłoszonym na forum UNESCO w Paryżu, Jan Paweł II mówił:

*„La Nation est en effet la grande communauté des hommes qui sont unis par des liens divers, mais surtout, précisément, par la culture. La Nation existe „par” la culture et „pour” la culture...”* [Naród jest zaiste wielką wspólnotą ludzi złączonych różnymi więzami, ale przede wszystkim właśnie kulturą. Naród istnieje przez kulturę i dla kultury...]

*„Je suis fils d'une Nation qui a vécu les plus grandes expériences de l'histoire, que ses voisins ont condamnée à mort à plusieurs reprises, mais qui a survécu et qui est restée elle-même. Elle a conservé son identité, et elle a conservé, malgré les partitions et les occupations étrangères, sa souveraineté nationale, non en s'appuyant sur les ressources de la force physique, mais uniquement en s'appuyant sur sa culture. Cette culture s'est révélée en l'occurrence d'une puissance plus grande que toutes les autres forces.”* [Jestem synem narodu, który przeżył największe doświadczenia historyczne, który był wielokrotnie skazywany na śmierć przez swych sąsiadów, ale który przeżył i pozostał sobą. Zachował swą tożsamość i zachował, mimo rozbiorów i obcych okupacji, swą suwerenność narodową, nie w oparciu o siłę fizyczną, ale wyłącznie w oparciu o swą kulturę. Ta kultura okazała się, w danym wypadku, potężniejsza od wszystkich innych sił.]

To są bardzo piękne, bardzo głębokie i przede wszystkim bardzo prawdziwe słowa, które chcę tutaj położyć jako motto dzisiejszego wieczoru, kiedy spotykamy się aby uhonorować Zygmunta Kallenbacha.

Zygmunt Kallenbach ma za sobą piękną kartę działalności jeszcze w Polsce niepodległej. Po ochotniczej służbie wojskowej w r. 1918, po studiach prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim, poprzez dyrekcję Państwowego Banku Rolnego w Krakowie, aż do działalności w Unji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych i w Radzie miejskiej Warszawy, solidnie zapracował na przyznany mu w r. 1938 Złoty Krzyż Zasługi.

\* „Laudatio” wygłoszone przez p. Krystynę Marek w Genewie 14 października 1988 z okazji odznaczenia Zygmunta Kallenbacha Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta. W niespełna trzy tygodnie po tej uroczystości, 2 listopada, Zygmunt Kallenbach zmarł.

Zachowujemy pisownię i ortografię Autorki.

Odnotowuję to z całym należnym szacunkiem, ale nich mi wolno będzie dzisiaj skupić się właśnie na tym, co mi się wydaje zarazem najważniejsze i najbardziej wyjątkowe, na jego zasługach dla kultury polskiej.

Byłoby zupełnie zbędne w tym gronie przypomnienie najnowszej historii Polski i podwójnego zagrożenia jej bytu: zagrożenia biologicznego i zagrożenia duchowego, czyli właśnie: utraty własnej kultury a więc własnej tożsamości. Więc tylko w największym skrócie: istnieje dokument autorstwa Heinricha Himmlera, wyznaczający przyszłość Polaków: a więc, pozostawienie przy życiu, po wytepieniu elity duchowej narodu, masy niewolników w służbie *Herrenvolku*, niewolników którym należy dać tylko wykształcenie do tej służby niezbędne: nauczyć ich czytać, pisać i rachować do pięciuset. (!) Ten zamysł Niemcom się nie udał, mimo bardzo intensywnych wysiłków; ale zaraz potem przyszło zagrożenie nowe, inne w celach i metodach, ale może właśnie przez to niebezpieczniejsze, że zdradliwsze i bardziej rafinowane. Teraz już szło nie o granicę liczenia do pięciuset, ale o uformowanie Polski na zgleichschaltowany model sowieckiej miazgi społecznej. A to wymagało, przy zachowaniu pewnych pozorów, wykorzenienia jej tożsamości kulturalnej, przy koniecznym do takiego zabiegu odciążeniu jej od świata zewnętrznego, od świata zachodniego, do którego należy. I nie mijemy złudzeń: wiemy to dzisiaj, zwłaszcza po książkach Torańskiej czy Trznadla, że takie zamierzenie miało, w swojej przewrotności, większe szanse powodzenia niż prymitywizm hitlerowski.

Polska oparła się obu tym zagrożeniom świadomym, ogromnym wysiłkiem w skali zarówno zbiorowej jak indywidualnej. Myślę, że w skali indywidualnej *casus* Kallenbach jest czymś zupełnie wyjątkowym. Bowiem na walkę o kulturę narodową porywa się człowiek pojedynczy, bez zaplecza społecznego, bez aparatu organizacyjnego, bez środków finansowych, w oparciu tylko o swoją własną wyostrzoną świadomość wagi sprawy i swoją własną determinację.

Kiedy tylko Polska zaczyna wydobywać się z nocy stalinowskiej, Zygmunt Kallenbach podejmuje swoje akcje na Kraj. Planuje dwa tory działania, oba mające na celu otwarcie duchowo wygłodzonej i wyizolowanej Polsce okna na zachód; po pierwsze, dopływ literatury naukowej do Kraju, po drugie, umożliwienie naukowcom polskim, w drodze stypendjów, choćby krótkich pobytów na Zachodzie. Bardzo to piękny projekt, tyle tylko że trochę szalony: albowiem, jak się rzekło, Kallenbach nie ma w ręku nic, żadnych instrumentów działania. Ale w tem szaleństwie jest metoda: skoro niema instrumentów działania, to należy je stworzyć. Tak więc zakłada Kallenbach w r. 1957 oddział polskiej YMCA w Szwajcarii i pod tym w świecie znanym i szanowanym szyldem nawiązuje potrzebne stosunki, zwłaszcza z uniwersytetem genewskim. Co uczyniwszy, przyjmuje na siebie jakże trudną i niewdzięczną rolę wielkiego jałmużnika: poprostu zaczyna stukać do drzwi możliwych – i nawet mniej możliwych – tego świata, poczynając od różnych wielkich instytucji, w tem i bankowych, a kończąc na Mígrosie i Kooperatywie. Trzeba zaiste i wyobraźni i samozaparca, aby podjąć się takiej jałmużniczej roli. Więc tłumaczy Zygmunt Kallenbach komu trzeba, że Polska wychodzi z wojny i koszmaru stalinowskiego, że potrzebuje nawiązania na nowo kontaktu z cywilizacją zachodnią, że trzeba pieniędzy na strumień – czy choćby strumyk – do Polski w postaci stawy duchowej i z Polski w postaci przyjazdów polskich naukowców. I dodaje: „Nie mamy żadnych wydatków personalnych i administracyjnych”. Wydaje się, że to

właśnie robi wrażenie na interpelowanych; w każdym razie reakcja jest nadspodziewanie pozytywna: napływają dary i dotacje firm, banków i samego uniwersytetu. I tak właśnie zaczyna się kallenbachowska robota na Kraj, która w swoim aspekcie stypendjalnym będzie trwała dobrych kilka lat, a w swoim aspekcie książkowym trwa do dzisiaj, czyli trzydzieści lat z okładem.

Trzydzieści lat z okładem – to się łatwo, prędko i efektownie mówi. Ale tego się nie robi ani łatwo, ani prędko, ani już napewno efektownie. I dlatego, zwłaszcza wobec doprowadzonej do przesady skromności i dyskrecji Zygmunta Kallenbacha chcę o tem powiedzieć więcej, bo są to sprawy niemal zupełnie nieznanne.

Taka działalność nie może polegać na sporadycznych wybuchach entuzjazmu i świętego ognia. Wymaga pracy żmudnej, cierpliwej, wytrwałej, systematycznej i zgoła nieefektywnej. Trzeba nie tylko mozolnie zdobywać fundusze, warunek *sine qua non*. Trzeba jeszcze systematycznie śledzić i identyfikować najważniejsze potrzeby krajowe, jak trzeba równolegle śledzić zachodni ruch wydawniczy. Trzeba nawiązać kontakt z inteligentnie wybranymi instytucjami i ludźmi w Kraju. Trzeba założyć i stale rozbudowywać dokumentację. Trzeba pisać czasem dziesiątki listów dziennie i odpowiadać na listy z Kraju. I trzeba wreszcie, w świetle tych wszystkich zabiegów, dokonywać gruntownie przemyślanych zakupów książek i organizować ich wysyłkę. Jeśli zdamy sobie sprawę z tego, że takie funkcje spełniają na świecie instytucje, organizacje, komitety, biura, z sekretarkami, wyposażeniem biurowym, całą infrastrukturą, to uświadomimy sobie cały niesamowity wysiłek Zygmunta Kallenbacha. Nie ma on ani biura, ani sekretarek, ani infrastruktury, pracuje sam, i całą tę olbrzymią robotę wykonuje metodą chałupniczą. Poświęca na to przez długie lata cały swój wolny czas poza pracą zawodową: po przejściu na emeryturę poświęca już niemal całość swojego czasu. Ten pojedynczy człowiek staje się jednosobową instytucją. I jako taka, staje się ta instytucja najszerszej znana, poszukiwana i ceniona w Kraju, na uniwersytetach, w bibliotekach, w środowiskach twórczych, wśród olbrzymiej ilości pracowników naukowych. W miarę rozrastania się tej krajowej famy rosną też oczywiście zapotrzebowania – taka to już paradoksalna nagroda: im więcej sukcesów, tem więcej pracy – jak zresztą rośnie wdzięczność odbiorców, która znajduje niejednokrotnie wzruszający wyraz.

Więc już z imponującym dorobkiem pracy na Kraj przychodzi polska YMCA na światowy kongres organizacji w Genewie, gdzie jej sprawozdanie robi najwyraźniej wrażenie, które można uznać za przełomowe: otóż nagle Kallenbach przestaje być jałmużnikiem; teraz do niego zaczynają napływać samorzutnie propozycje pomocy; jałmużnik staje się instytucją aprobowaną i subwencjonowaną.

Z biegiem czasu ogólna akcja ratunkowa kultury polskiej na Zachodzie przybiera coraz szersze rozmiary. Zwłaszcza w dziedzinie stypendjalnej włączają się w nią takie giganty jak Fundacja Forda, nie mówiąc o akcjach uniwersytetów europejskich i amerykańskich. Są to możliwości, z którymi Zygmunt Kallenbach ani nie może, ani już nie musi konkurować. Może więc spokojnie zawiesić swoją akcję stypendjalną, koncentrując się już wyłącznie i w coraz większym stopniu na akcji książkowej. Ta ostatnia zmienia formy, zmienia nawet nazwę – wobec zamanifestowanej niechęci władz warszawskich do YMKI –, ale trwa nieprzerwanie i w coraz większych rozmiarach do dziś dnia. Nie dysponuję niestety cyframi, ale można bez obawy błędu przyjąć, że przez tych zgórą trzydzieści lat dotarła do Polski amunicja duchowa w postaci wielu tysięcy książek i

publikacji zachodnich. Trzeba sobie jasno zdać sprawę z tego, co to oznacza: zasadniczą pomoc w pracy naukowców i intelektualistów polskich w Kraju, przelamanie izolacji Polski od świata, antidotum na wiadomą indoktrynację, przerzucanie mostów między Polską a demokracjami zachodnimi – w sumie, olbrzymi wkład w ratowanie substancji duchowej narodu, w ratowanie tej suwerenności kulturalnej, o której mówi Papież a bez której niema i być nie może żadnej innej suwerenności. – Wiele czynników historycznych, wiele wysiłków polskich i nie-polskich złożyło się na to, że Żelazna Kurtyna jest dzisiaj gruntownie podziurawiona. Trzeba pamiętać o tem, że jednym z pierwszych, którzy zaczęli ją dziurawić, był jeden samotny, uparty człowiek – Zygmunt Kallenbach.

W tym samym duchu i w tej samej intencji rozwija się drugi wielki tor działalności Zygmunta Kallenbacha: Fundacja imienia Kościelskich. Przypominam najkrócej: Fundacja powstała w Genewie, w r. 1961; z woli testatorki, p. Moniki Kościelskiej, zadaniem jej jest przyznawanie nagród literackich młodym pisarzom polskim zarówno w Kraju jak zagranicą.

Od roku 1964 przez dwadzieścia lat pełni Zygmunt Kallenbach funkcję prezesa tej Fundacji, w r. 1984 zostaje jej prezesem honorowym. Przez wszystkie te lata jest Fundacji duszą i, chciałoby się powiedzieć, gospodarzem. Albowiem trzeba mądrze i przezornie gospodarować zostawionym przez fundatorkę majątkiem; a jednocześnie trzeba także „gospodarować” na płaszczyźnie organizacyjnej: ustalić kontakty z odpowiednimi ludźmi i instytucjami, zapewnić jaknajszerszy i jaknajbardziej reprezentacyjny dopływ kandydatów do nagród; i wreszcie – *last but not least* – trzeba zagospodarować płaszczyznę intelektualną, tj. zapewnić możliwie najlepszemu wyboru laureatów. To wszystko stanowi olbrzymią pracę, wykonywaną z największą troską i pieczołowitością, dzięki której Fundacja zdobyła sobie jej dzisiejszy mir i, jak mówi profesor Błoński, „weszła na stałe do literackiego obyczaju”.

O rozmachu Fundacji może świadczyć fakt, że w okresie swojej działalności przyznała 90 nagród literackich w kraju i zagranicą, na ogólną sumę około 250 tysięcy franków szwajcarskich. Wśród laureatów, których listy nie sposób tu przedstawić, znajdują się czołowe nazwiska współczesnej literatury polskiej.

Nagrody Fundacji stały się nie tylko ogromnie cenionym wyróżnieniem, nie tylko poważnym a jakże często bardzo potrzebnym zastrzykiem finansowym dla młodych pisarzy, ale także, jeśli idzie o nagrody krajowe, jeszcze jednym mostem, które Zygmunt Kallenbach z takim uporem i od tylu lat przerzuca między Polską a światem zewnętrznym. W zasadzie bowiem laureaci krajowi przyjeżdżają po odbiór nagrody do Genewy i korzystają z okazji żeby zorganizować sobie wtedy pobyt czy wręcz podróż po Europie zachodniej. Umiał więc Kallenbach połączyć nagrodę literacką z elementem jakby stypendjalnym, echo jego pierwszych poczynań.

Dziś prezesura Fundacji przeszła w młodsze ręce, ale Zygmunt Kallenbach, jako prezes honorowy, nadal służy swoim ogromnym doświadczeniem, radą i pomocą. I oczywiście nadal, z niezmiennym oddaniem, prowadzi swoją własną, samotną działalność człowieka-instytucji, dostarczając Krajowi niezbędnego pokarmu duchowego.

W swoim cytowanym już przemówieniu Papież apelował:

„...*veillez, par tous les moyens à votre disposition, sur cette souveraineté fondamentale que possède chaque Nation en vertu de sa propre culture*”. [...*czuwajcie*

ze wszystkich sił, nad tą podstawową suwerennością, którą posiada każdy naród przez swą kulturę.]

Od dziesiątek lat Zygmunt Kallenbach czuwa nad polską kulturą, nie w miarę sił, ale ponad siły jednego człowieka. Od dziesiątek lat niema w tem czuwaniu załamań ani przerw. Trwa ono systematycznie, uparcie, nieustępliwie, i wtedy kiedy nad Polską niebo jaśnieje i wtedy kiedy się zaciąga.

Mówi Norwid: „Heroizm nie jest w samych bitwach, ale na wszystkich polach życia...” Z całą świadomością można i należy określić pracę Zygmunta Kallenbacha w służbie kultury polskiej jako heroiczną. Dzisiejsza uroczystość jest tej świadomości wyrazem.

*Krystyna Marek*

## **LIBELLA**

12 rue St-Louis-en-l'Île, F-75004 Paris

Metro: Pont Marie

Tél.: 43-26-51-09

**Książki polskie**  
**Książki francuskie dotyczące Polski**  
**i Europy Wschodniej**  
**Przekłady z j. polskiego na francuski**

Katalogi bezpłatne wysyłamy na żądanie  
Książki wysyłamy na cały świat

# ARCHIWUM EMIGRACYJNE

## FRYZURY MIECZYŚŁAWA RAKOWSKIEGO

### Leopold Tyrmand

*...Nie wierzę już w rewolucję jako w sąd nad światem. Wierzę tylko w rewolucję, która przeobraża nas samych...*

Henrik de Man, *Zur Psychologie des Sozialismus*

#### 1.

Bardzo słusznie. Niemniej posłużę się oświadczeniem de Mana w sensie różnym od przezeń zamierzonego. Czasownik „przeobraża” pojmuje on jednokierunkowo i pozytywnie, de Man jakby mówi: „Nie róbnmy rewolucji, przeobrażajmy się sami w stronę dobra...” Ślicznie, lecz czy nie bardziej jest interesujące, jak rewolucja dokonana przeobraża nas samych, wszystkich, różnych? I to wielokierunkowo. Szukając miłych typowości mogliśmy zabrać w truzimy, lecz gdy olśniewająca wielokierunkowość metamorfoz, ich bogactwo i różnaitość rozprzestrzenię się zaskakująco przed nami jak obraz op-artu – unikniemy bez trudu spospolićen.

Mieczysława Rakowskiego wprowadzam do moich tegorocznych rozważań nad światem na zasadzie uczuciowej obojętności. Jest to człowiek, o którego nigdy mnie życie nie zazębiło. Witał się ze mną zawsze uprzejmie i bez zainteresowania, jak ja z nim. To, co wiedzieliśmy i sądziliśmy o sobie, nie podlegało zmianom w ciągu lat. Byliśmy ideowymi wrogami, lecz nie łączyła nas nienawiść. Nawet przyglądałem mu się – mimo programowej odrazy i negacji – z przyjemnością: było w nim także coś zabawnego, co potwierdzało moje ogólniejsze przypuszczenia, a zawsze jest miło mieć rację. W 1958 roku Klub Międzynarodowej Prasy zaprosił mnie na publiczną dyskusję na temat artykułu w «Tygodniku Powszechnym», w którym domagałem się, po raz pierwszy w kraju od końca wojny, rewizji pojęć o powojennych Niemczech. Wywołał on falę sloganowego oburzenia w prasie komunistycznej, uwłaczające epitety ze strony emigracji, zaś «Tygodnik» zřęcznie odciął się ode mnie. Przyjąłem zaproszenie z masochizmem samobójcy, który przepada za publicznym rozszarpywaniem na strzępy. Tymczasem nie było tak źle. Pastwiła się, co prawda, nade mną endeko-komunistyczna koalicja w imię Stalingradu i wozu Drzymala, ale liczna na sali młodzież uniwersytecka, i ta nieco dalej w latach, wypowiadała się z zastanawiającym pragmatyzmem i ostentacyjnie okłaskiwała moje co bardziej prowokacyjne zagrania. Dyskusji przewodniczył redaktor Rakowski i fungował, przyznać trzeba, z wymuszoną lecz oczywistą bezstronnością sędziego, który marzy o zwycięstwie swojej jedenastki, ani na chwilę nie zapominając o godności arbitra. W kilka lat później zaproponowałem Rakowskiemu druk I części niewydanej

powieści. Było to pociągnięcie taktyczne: druk *mojej* powieści w *jego* «Polityce» był ewentualnością surrealistyczną i gdy wręczałem mu maszynopis, żaden z nas dwóch nie traktował tej sytuacji na serio. Mnie, w moich wojnach o paszport i wydanie książki, potrzebne było zdanie: „Właśnie «Polityka» rozważa druk *mojej* powieści...”. które rzucane umiejętnie w różnych gabinetach podczas różnych rozmów czyniło pewne wrażenie. Po czym Rakowski zatelefonował, oddał mi maszynopis (którego zapewne nie przeczytał) i rozstaliśmy się w uśmiechach, rewerencjach, grzecznościach, bez uraz i we wzajemnym zrozumieniu, o jaki numer chodzi. Albowiem i Rakowski załatwiał przy tym swój numer – cholernie mu wtedy zależało, ażeby uchodzić za liberała, który zastanawia się nad każdym maszynopisem z każdej strony. Zresztą, gdyby uważał, że moja strona jest jednak trochę za daleko nawet na liberalizmy, to przecież nie mógł odmówić rozpatrzenia: obnosiłbym się wtedy po Warszawie z nowym dowodem prześladowań, tym razem ze strony «Polityki».

Rakowski jest również syndromem, jak Kott, tow. Błatmanowa czy pan Boło, o którym będzie mowa poniżej. Ktoś może mnie spytać, dlaczego – atakując syndromy – traktuję Rakowskiego z obojętnością. Odpowiedź nie będzie łatwa. Nawet reprezentując niebezpiecznie rozprzestrzeniony gatunek Kott, tow. Błatmanowa czy pan Boło budzą głównie obrzydzenie. Rakowski jest zjawiskiem trudniejszym. Można go zresztą wygodnie steoretyzować, ale po co? Indywidualizacja i ucieleśnienie uzmysławiają lepiej grozę przeobrażeń, o których de Man nie mógł jeszcze wiedzieć.

## 2.

Historia fryzur Mieczysława Rakowskiego jest historią zwycięskiego i rządzącego komunizmu w Polsce. Rakowski ma tzw. doskonałe pochodzenie społeczne: jest synem chłopskim z Pomorza. Na początku komuniści o niczym tak nie śnili jak o chłopskich synach-autentykach: z góry mieli przygotowane wierszyki o zachodniostowiańskich, naprawdę aryjskich rolnikach, co to w biedzie lecz niezłomnie operali się nawale germańskiego imperializmu. Produkt jest zatem zdrowy, mocno zbudowany, jasnowłosy i ujmujący na oko. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, Rakowski nosił na głowie, jak to się mówi, szopę – ogromny, blond-kędzierzawy tłumok, dający mu wygląd na pozór tuzinkowy, w gruncie rzeczy zaś pieczołowicie opracowany. Była to pełnia stalinizmu i Rakowski, wraz z niejakim Wyszackim (ostatnio redaktorem «Stolicy»), wprawiał się w zawód komunistycznego oprawcy słowa drukowanego u boku sławnego w owym czasie kata, szefa Wydziału Prasowego KC, Stefana Staszewskiego, późniejszego buntownika. O Staszewskim powiedział mi przed wiekami (przy stoliku w warszawskiej YMCA, gdzie mieszkaliśmy sobie podówczas u młodzieży chrześcijańskiej) redaktor Immanuel Birnbaum – ostatnio z «Süddeutsche Zeitung», a w ogóle nestor środkowo-europejskiego dowcipu: – Staszewski? Trzeba uważać. Żyd-blondyn, rzecz przeciwna naturze, nigdy nie wiadomo, co zrobi... – co okazało się prorocze w świetle wydarzeń Października. W okresie, o którym mowa, Staszewski nie był jeszcze nonkonformista, lecz stupaja, zaś Rakowski nazywał się instruktorem Wydziału Prasowego, czego znaczenie tonęło w odmętach komunistycznego eufemizmu. Aparycja zaś była skrupulatnie dobrana: należało podkreślać niezbyt obciążającą wieśniaczość przy pomocy uczesania i stroju, dbając jednocześnie o znamiona rozwoju umysłowego na twarzy,

łatwe do zidentyfikowania z rozwojem klasowej i partyjnej świadomości. Od zręczności takiego przypasowania zależało wiele, czasem kariera, i Rakowski umiejętnie rozwiązał zagadnienie. Włos nosił płowy, kręcony, sztywny, wzdęty i budzący natychmiastowe uczucia solidarności u tych wszystkich na nowych posadach partyjno-rządowych, których metryk nie można byłoby się doszukać w metropoliach większych od Konina, Przasnysza czy Wejherowa. Ubrał się schludnie i bez krawata, w bezkształtne wiatrówki i płaszcz watawany w ramionach, za to do samych kostek. Z daleka nie różnił się niczym od owej młodzieży gromadzko-powiatowej, wyglądającej jednakowo i w ORMO i w spółdzielni i w świetlicy „Służby Polsce” i na procesji Bożego Ciała i na wieczorku POM-u, której forma zespala się tak pięknie z wyobrażeniem golonki, kajaków na wiślanych plażach, piwa „Dubeltowe” i melodii *Besame Mucho* pod papierowymi lampionami wokół hasel o współzawodnictwie pracy. Ta właśnie młodzież była podówczas urodą socjalizmu i pieprzykiem etapu, od jej udziału zależało tak wiele. To ona miała spolonizować, a zarazem spopolizować rosyjsko-żydowsko-inteligencją kadrówkę, kładącą właśnie fundamenty w głębinach dialektycznych pułapek. Mniej zdolni szli do wojska i do UB na oficerów, zdolniejszym przyswajano materializm i teorię nadwartości. w pocie czoła lecz za wszelką cenę. Do póź modnych i szyku chwili należało subtelne podkreślanie parobczańskich treści psychofizycznych w służbie intelektu, kultury i nowej Polski. Z tym, że na ludowo-świeżych wargach instruktora Rakowskiego błąkał się już wtedy uśmiezek, wsparty uważnym spojrzeniem dość żelaznych oczu, z którego wynikało, że uśmiechający się zna na pamięć teorię zaostrzania się walki klasowej wraz z postęпами socjalizmu, i że Józef Wissarionowicz może ufać ludowi wiejskiemu polskiego Pomorza, który zrobi wszystko jak należy w myśl dialektycznych przepisów na wznoszenie się w górę.

Na dyskusji w Klubie Międzynarodowej Prasy Rakowski miał włos skrócony, acz ciągle jeszcze blond-barankowy, karakułowaty i na jeża, żeby nie odstręczać nowej administracji przesadnym dandyzmem. Ubrany był w dwurzędówkę typu granatowy tenis z CDT. schludnie i tym razem przy krawacie. Śmiał się oficie i z całego serca, zwłaszcza z co gwałtowniejszych antyoficjalnych akcentów. Był bardzo miły i starał się nie wprawiać mnie w zakłopotanie. Mimo powierzchownego kontaktu wyczuwało się jakąś zasadniczą inność. Była to inność osiwiiała w troskach niepowodzeń, nowa giętkość tych, którzy już wiedzą, że trzeba inaczej. Jeszcze ubierają się statecznie i skromnie, lecz już z socjalistycznego waszecia, co pozwala nie bać się ironii i śmiać się z tego, przeciw czemu pięć lat temu wyciągało się nagan. Tow. Rakowski, w ramach powikłań etapu, demonstrował z wdziękiem i jak umiał najlepiej to, co było niełatwe do zrozumienia, lecz nieodzowne do dalszego istnienia. Zresztą robił to zręcznie i taktowniej od wielu innych. Tym razem miałem do czynienia z redaktorem naczelnym «Polityki» i – już wkrótce – prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

### 3.

Rys historyczny (z pamięci): kiedy Gomułka doszedł faktycznie do władzy, natychmiast zatrał na odwrót. Ale zatrał tak, że tylko najcwańsi usłyszeli. Mniej cwani, którym jeszcze różne surmy i synkopy z festiwalu jazzowych w uszach grały, nie usłyszeli tego trąbienia i dziś dogorywają w SPATiF-ie z Januszem Minkiewiczem przy jednym



stoliku bądź cieszą się szacunkiem całej Łomży w zamian za piastowane funkcje w miejskiej bibliotece. Rakowski usłyszał *message* niezwykle chwytliwym uchem, zaś niewykluczone jest, że sam Gomułka mu je z bliska przegwizdał, albowiem mówiono podólczas, że stosunki między nimi są więcej niż rodzinne. Nie znam poszczególnych szczebli kariery Rakowskiego, lecz gdy stanął w ogólnonarodowych reflektorach po Październiku, wszyscy wskazywali na zażyłość nowego Szefa z bierutowskim instruktorem prasowym. Jak, co, dlaczego – tego nie wiem, ale wiem, że posada się natychmiast wykroiła na medal.

Potrzebne było pismo. Nie byle jakie. Takie, co to znalazłoby formułę usprawiedliwiająca matactwa ideowopolityczne odzierające Polaków z tego, co wydawało się im, że wywalczyli. Należało to uczynić cienko, delikatnie, w oparciu o najnowsze osiągnięcia, w stylu nie przypominającym przedhistoryczny prymitywizm Jakuba Bermana. To pismo miało trafić *wi do*, miało stać się kuźnią nowych koncepcji i super-pralnią starych kombinacji i lotrostw, które tyle razy już zawiodły w rewolucyjnym „stawaniu się” i w socjalistycznym budownictwie, a które ciągle jeszcze trzeba było czyścić, nicować, farbować i używać na nowo. Kto wymyśli nową wersję starych przecherstw? Takie było zlecenie i za to leciała wielka premia. Już działała «Trybuna Literacka», dodatek tygodniowy do «Trybuny Ludu», w której Putrament, Żukrowski i paru innych starali się ocalić Nieprzemijające i Wartościowe z ubiegłego okresu, jakby cokolwiek warte było ocalania poza wysokością honorariów. Właśnie likwidowano autentyk, «Po prostu», prawdziwy czynnik przemian i jedyny ośrodek prawdziwej walki o prawdziwe coś, jaki marksiści polscy poczęli i powili z własnego łona po raz pierwszy w tym stuleciu od czasów Róży Luksemburg. Pozostawała masa upadłościowa pod postacią metody, potrzebny był egzekutor. Dlaczego właśnie Rakowski? Jakie miał kwalifikacje, czym się zapisał w skorowidzu zasług i umiejętności? Tego znów nie wiem, znam go tylko po wynikach. Na rozruch otrzymał piękne przedsięwzięcie: «Trybunę Literacką» sfuzjowano z «Trybuną Wolności» – teoretycznym organem KC, wydawanym w 6-cyfrowym nakładzie na użytek inicjatywy prywatnej, której sklepiki uważały jej papier za nadający się najlepiej (?) do pakowania śledzi; nikt zresztą w ciągu 20 lat nie dostrzegł innego zastosowania tego periodyku – oraz z czasopiśmie o megalomańskim tytule «Świat i Polska», poświęconym jakoby polskiej (?) polityce zagranicznej (?) i czytwanym wyłącznie przez redaktora, korektora i ich rodziny. Amalgamat ten umiejscowił się w stylowym budynku w Alejach Jeruzolimskich, przy murze którego Niemcy rozstrzeliwali Polaków (dzięki czemu uniknął ciosów odbudowy) i gdzie jeszcze w 47-mym widniała fotografia Antka Rozpylacza na nagrobkowej emalii. I przybrał nazwę «Polityka».

Nie piszę rozbioru krytycznego ani studium o «Polityce». Nie mam po temu kwalifikacji, czasu ani zainteresowań. Ale wiem, naskórkowo i na potoczny użytek, czym to pismo jest. Przede wszystkim jest nieudaną próbą kradzieży: miało ukraść «Po prostu» jego znaczenie i to się nie udało. Niemniej nie stało się imitacją. Wypracowało własne, dość wyraźne oblicze, wraz z wszelkimi śladami szpetoty. Jego początkowa koncepcja sprowadzała się do odwoływania Października i był to program przerażający w swej prostocie. Polacy, w myśl tego programu, osiągnęli *politycznie* wszystko co było do osiągnięcia, dalszy rozwój przemian prowadziłby do anulacji socjalizmu, zaś anulować go nie wolno nie tylko ze względu na Ruskich, którzy mogliby się poczuć dotknięci, lecz ze względu na niewzruszalny fakt, że socjalizm jest dobry. Co nie znaczy doskonały.

Będziemy więc go ulepszać. Ale teoria jest OK, nie podlega rewizjom, nie wymaga ulepszeń. Zaś z praktyką różnie bywa i główną zdobyczą Października – który był Ogromnym, Wspaniałym Osiągnięciem! – jest to, że będziemy mogli ją sobie przedyskutować. Co nie znaczy zmieniać. Model społeczny jest OK, tu o żadnych zmianach nie może być mowy, ale gdzieś tam wykonanie szwankuje i nasi reporterzy pisząc będą obszerne sprawozdania na ten temat. System ekonomiczny jest prawidłowy, lecz tu i ówdzie występują nieprawidłowości, które będziemy oświetlać i analizować. W polityce zagranicznej stoimy po właściwej stronie, zaś wśród naszych sojuszników będziemy rozglądać się za braćmi, którzy myślą i czują jak my, choćby to był i Togliatti, bo to co mówi jest słuszne i piękne, nawet jeśli niepraktyczne z naszego punktu widzenia. Interesuje nas także krzywda społeczna i nie uchylamy się od jej tropienia, jak również od piętnowania korupcji, dogmatyzmu, nepotyzmu, kacykostwa, głupoty, prywaty, kumoterstwa, które w ubiegłym okresie przykrywane były błędnie pojętą racją stanu. Socjalizm to jawność, otwartość, umysł, racjonalizm, nauka, socjologia, ankiety, nowoczesność i nienaruszalnie słuszna zasada społecznego istnienia. Od czasu do czasu i to tu, to tam naruszają ją ludzie ułomni, słabi, ograniczeni, czasem ze złej woli, czasem z nieświadomości, czasem na skutek skomplikowanej gry społecznych współzależności czy klasowych uwarunkowań, których mroki i pseudozagadkowa nieprzenikalność muszą w końcu ustąpić promieniom jedyne, współczesnego, naukowego i postępowego światopoglądu. W ten sposób, poprzez Październikowe oświecenie i światły absolutyzm, «Polityka» wróciła do obskuranckiego, poznawczego misz-maszu, w którym – jak wykazało doświadczenie – nie sposób żyć, a tym bardziej budować. Albowiem każdy, kto żył 20 lat tam, od Janka Muzykanta do profesora Infelda, ma raz na zawsze wmurowane w świadomości, że:

- to SYSTEM jest zły, zgniły i deprawuje ludzi, którzy w NIM stają się zli, że zaraża złem każdego, kto go dotknie, zaś dobrzy muszą zginąć w jego trybach,
- komunizm to ludzkość oszukana i to, co głosiły o nim pokolenia marzycieli, ideologów i pisarzy zanim obłókl się w kształt, jest nadużyciem dobrej wiary publiczności, a mianowicie:

1. że będzie prawdą (przyniósł uświęcenie kłamstwa w niespotykanym dotąd wymiarze);
2. że będzie sprawiedliwością (stał się gigantycznym inkubatorem wielkich i małych krzywd);
3. że przyniesie prawdziwą wolność (przyniósł najlepiej skonstruowaną niewolę każdego przejawu życia i każdej komórki społecznej w stopniu nieznanym najstarszym tyranom);
4. że uszlachetni wyzwolonego z więzów eksploatacji człowieka (upodlił go i uwikłał we władztwo głupoty, niskich instynktów, płaskości, przyziemności i we wzajemne wyniszczanie o nieznanych przedtem cechach wyrafinowania).

Są to jednak problemy, którymi «Polityka» nie zajmuje się nawet w drodze najodleglejszych aluzji. Socjalizm jest świętą krową, jeść jej nie wolno, ale że odżywiać się trzeba, przeto – jak wszystko co żyje pod czerwoną gwiazdą – musi żyć na numer. Numer «Polityki» jest dość prosty i polega na zręcznym podstawieniu ersatz'u w miejsce autentycznego problemu czy autentycznej odkrywczosci. Orwellowskie prawo równych i równiejszych przeobraża się tym razem w prawo troski i tzw. obiektywnej troski. «Polityka»

troszczy się o Polskę i socjalizm i los człowieka i dystrybucję i chuligaństwo i prawa ruchu ulicznego i felczerów i teorię kwantów na uczelniach i jakość smarów i służbę zdrowia i nieznaną aspekt pilsudczyzny *obiektywnie*, to znaczy nie chodzi jej o *Ding an sich* (co byłoby zgubnym subiektywizmem w tym wypadku), lecz o jego funkcję w gomułkowskim komunizmie. W perspektywie 50 lat lenino-stalino-kuninizmu jest to pewne osiągnięcie, kult jednostki i dogmatyzm zakazywały wszelkich trosk *en bloc*, wychodząc z założenia, że wszystko jest w niebywałym porządku. Najprostszy empiryzm poucza nas jednak, że *taka troska* jest z moralnego i społecznego punktu widzenia Jednym Wielkim Opasłym Niczym – jak rzekłby Kubuś Puchatek. Te słowa ludzie «Polityki» czytają nabrzmiali krzywym rozgoryczeniem: wszak oni jedni wiedzą, ile ich wysiłków zostaje zastopowanych, jak muszą walczyć i użerać się o każde śmielsze słowo, jak ciężko jest zrobić to nawet, co tak łatwo mnie (sukinsyn!) przychodzi pomniejszać. tarzać w błocie i szyderstwach. Rzecz w tym, że ich zmagania i gorycz są bez znaczenia, w moralno-społecznym systemie odniesienia nie liczą się, w ogóle ich nie ma. Komunizm polega właśnie na tym, że każdy w nim walczy, dysząc ciężko, z kimś głupszym i gorszym od siebie, powszechność tej walki sprawia jednak, że sama w sobie nie jest ona żadnym walorem: dopiero jej kierunek i jakość ustawia ją w akiejs hierarchii wartości i znaczenia. «Polityka» pracuje na pozytywne zafrasowanie losem szarego człowieka, szarej spółdzielczości, szarej, szeregowej obrabiarki i post-październikowej, wyemancypowanej z socrealizmu prządki, która używa makijażu firmy Lechia i wody kolońskiej „Przemysławka” i „ma” zagadnienie, czy czasem aby jest właściwie spożytkowywana seksualnie i technologicznie. Ta pseudo-rzeczowa, pseudo-społeczna, pseudo-odpowiedzialna namiastka zaangażowania w rzeczywistość sprawiła, że «Polityka», której marzeniem jest być rzecznikiem, a zarazem krynicą mądrości gomułkowo-postępowej inteligencji, technicyzycznej nowej klasy, petrochemicznego neopozytywizmu i stoczniowej pracy organicznej – w istocie stała się uwielbieniem i mini-Biblią pana Bolo.

Pan Bolo jest postacią opierającą się syntetycznym portretem, dlatego choćby, że pochodzi z oszalamiająco różnych regionów społecznych. W latach ludowej demokracji spacerował w płaszczach z kamelharu, pachniał lawendą i przynależał głównie do śląsko-krakowskiej inicjatywy prywatnej. Inicjatywa prywatna jest najbardziej heroiczną grupą społeczną w Polsce: jej nadludzkie i bohaterskie zmagania z komunizmem, biurokracją i aparatem fiskalnej eksterminacji usuwają w cień klechdy greckie, walkę żeglarzy z żywiołem czy osadników z morderczą bezdusnością natury w pustyniach i puszczach. Tak dumna i wspaniała postawa w wojnie z wrogiem publicznym nr 1 powinna zapewnić inicjatywie prywatnej miłość i poważanie reszty społeczeństwa, jednak jakoś tak nie jest i kiedyś przyjdzie mi się tym szerzej zająć. Pana Bolo nie należy zresztą identyfikować z inicjatywą prywatną, pełno go wśród lekarzy, adwokatów, inżynierów, gęsto od niego od zarania na państwowych posadach, przeważnie w handlu zagranicznym. Pan Bolo zaludniał niegdyś Jastarnię i Zakopane, teraz spędza wakacje w demoludach, bądź na „Transylwanii”, bądź po prostu w Paryżu, bowiem pan Bolo nie ma trudności z paszportem, z dewizami i w ogóle z tym co trzeba. Od Października pan Bolo ma wartburga, potem škodę, potem fiata i tak dalej, nie obowiązują go koszmarny kolektywnej lokomocji. Po Październiku pan Bolo zmienił także styl noszenia się, czerpiąc inspirację z wzmoczonego obrotu filmów zachodnich przebrał się w nylony, orlony, laminaty, zamszowe kurtki. Rodzinnie i społecznie pan Bolo jest synem Augusta Bęc-Walskiego

z «Przekrojowego» *cartoon*'u z lat 40-tych, stereotypu reakcjonisty, byłego posiadacza i religianta; jest Bęc-Walskim zgniecionym przez walec drogowy stalinizmu, a zatem *kompletnie* przystosowanym, który po Październiku stał się rdzeniem tzw. małej stabilizacji. Ideowo i towarzysko pochodzi przeważnie ze sfer endecko-oenerowskich, jest więc tradycyjnym antysemitą, ale i na tyle nowoczesnym snobem, aby o niczym tak czule nie śnić jak o przechadzce pod rękę z Adolfem Rudnickim przez załoczone Krupówki. Jednym słowem – pan Bolo to pozytywny kombinator, jeden z tych, którym nie zależy, którzy nic nie wiedzą, bo wiedzieć nie chcą. Bo ich to nie obchodzi. Powodziłoby się im identycznie dobrze w sanacyjnej Polsce i w faszystowskiej Polsce i w komunistycznej Australii. Przycichli na chwilę podczas wojny, bo gry toczyły się ostre i za każdą rzecz można było beknać za wysoką cenę, ale odżyli czerstwo i rumianie w komunizmie, w całej okazałości, we wzbogaconej niepomierne florze gatunków. Gdy im powiedzieć czy ukazać jacy są, oburzają się bezgranicznie, bo oni przecież nic złego i w porządku, a także krytykują i opowiadają dowcipy i są dobrze z wszystkimi. Dlaczego zaraz potępić, że ktoś jest dobrze z Jaszczukiem czy Tokarskim, co w tym złego? Bo i co tu się bić? Tak zawsze było, jest i będzie, że silniejszy górą, a mądrzejszy z nim. Opowiadano mi o reakcji pewnego pana Bola na *Porachunki osobiste*: podobno wyzywał mnie od ostatnich za to, że opisując otwarcie moje starania u dygnitarzy Bezpieczeństwa „psuję innym”. Pan Bolo rozumuje: „starał się”, „załatwił sobie”, „dali mu” i „prysnął”. Jakże nieetycznie! Zepsuł innym, bo teraz nie dadzą się starać. Humanizm, wolność i zasady to dla pana Bola chała, ale w końcu pan Bolo jest idiotą i nie rozumie, że załatwianie i dawanie jest w totalizmie ponadczasową funkcją systemu i nic tu się nie da zepsuć. Pod koniec tygodnia pan Bolo kupuje «Politykę» i «Przekrój», kładzie oba pisma zgodnie do kieszeni drzwiowej swego teraz już volkswagena czy BMW i zasuwa nad Zalew. «Przekrój» daje mu błogość *to-be-in*, «Polityka» rozgrzesza go. Dzięki niej pan Bolo odczuwa społeczne zaangażowanie, społeczny frasunek i społeczną troskę. Dzięki niemu nakład rośnie.

Cichą tragedią «Polityki» jest, że ma się ona za pismo gomułkowatych Judymów i Siłaczek, zbrojnych w telewizor i motocykl marki „Junak”. W rzeczywistości jest pismem pana Bola.

## 4.

Przypuszczalnie zasadniczy przełom w życiu Mieczysława Rakowskiego nastąpił w początkach lat 60-tych. Harmonizował, jak zawsze, z podskórnymi tendencjami w polskim komunizmie. Kończył się okres uwarunkowań i instrumentalizmu, nadchodził czas osobowości. Już nie żelazne prawa scjentyzmu, litera leninowskiej ewangelii czy podręczniki politycznej gramoty określały historię na codzien, lecz wolna gra sił między osobowościami. Dominowała ciągle jeszcze *personality* Szefa, lecz już rosły inne. Kliszko, spowiednik i Arlekin. Moczar, konfederat powiatowy, któremu powiodło się na szczeblu wojewódzkim i wyżej, Cyrankiewicz, stary bilardzista, duży kozak w tasowaniu znaczonych kart tak, żeby wszyscy myśleli, że talia jest w porządku, Gierek, zarządca gigantycznego parkingu strzeżonego, zwanego także Katangą. Były różne wzloty i upadki, błyski Zambrowskiego i Strzeleckiego, szybko gasnące w podmuchu silniejszych wiatrów, lecz prawidłowość zyskiwała na wzięciu i jeśli ktoś chciał brać udział, musiał być kimś. Zaś najlepiej jest być kimś z własnego pastwiska, skreowanym przez własne.

niepowtarzalne soki na tzw. wyjątkową indywidualność. Rzecz w tym, by trafić we właściwą charakteryzację.

Wtedy też ujrzałem ponownie Rakowskiego, tym razem na premierze warszawskiego STS-u. Już sama sceneria była sygnałem: oto tu, w płyciutkim lecz zawsze jeszcze dołku stołecznego rewizjonizmu, przez który, jak się go w porę nie zauważy, i nogę można złamać – faworyt Gomulki w arcy-nowej stylizacji, którą – co tu ukrywać – zafrapował mnie. Cały w zachodnioeuropejskich beżach, zamszach, skórach, olwkach, butach koloru butelki, brylował, dzielił uśmiechy, łaski, *bon-mot'y*, szybciutkie riposty kwalifikujące go do równouprawnień w tym środowisku ozdobnych rozgoryczeń i zyletkowych konwersacji. Nie miał w sobie zresztą nic z pana Bola, przeciwnie, reprezentował jego śmiertelnego wroga – swingowca, beatnika, be-bopowca, sfrustrowanego egzystencjalistę z ciągotami do elegancji i odpowiednią siłą nabywczą w dewizach, wymodelowanego na Saint-Germain-de-Prés i bohaterach filmów nowej fali. No i włosy, fryzura, uczesanie, determinanta całości, akcent naczelną i najmodniejszy: tym razem były krótkie, płaskie, proste, szcześnie do przodu, lecz nie na Tytusa, zaś krojem francuskim lansowanym ostatnio przez Maurice'a Roneta. To było imponujące! Pojąłem z mety, jakiej siły charakteru wymagało prostowanie owych krępkich blond kędziorców, zwiniętych ongiś w stalowe spirale, jakiej determinacji i woli trzeba było, by je położyć na płask! – O Boże... – jęknąłem z podziwem – ...skąd te ciuchy? – To proste – odparła stojąca przy mnie dziewczyna. – Wilkomirska.

Nie wiem, kiedy Rakowski ożenił się z Wandą Wilkomirską, słynną skrzypaczką, ale wiem, kiedy małżeństwo to zaczęło przynosić owoce. Mianowicie w epoce narastającego znaczenia osobowości. W mglistą przeszłość odpłynęła surowość kurtek i zgrzebny purytyzizm aparycji na wieśniaka, dostatek i jego manifestacje stały się walorem na giełdzie dokonań. Już wolno było mieć i domek jednorodzinny i willę urzędową antykami i mały jacht na jeziorach i tapety z Hamburga – to podkreślało prawdziwość rozwoju. W tych warunkach Wilkomirska była na wagę złota. Jest to podobno bardzo dobra skrzypaczka, ceniona w świecie muzycznym po obu stronach rowu; być może, nie znam się na tym, wiem tylko, że nikt z polskich muzyków tak często, obficie i lukratywnie nie wyjeżdżał, zwłaszcza za Stalina. Nie ma w tym zresztą nierozwiązalnej tajemnicy, po prostu Wilkomirska pochodzi z zasłużonej, partyjnej rodziny i sama od dziecka jest chlubą różnych Komsomołów i ZMP. W komunizmie są też dobrzy i lepsi, i dobra skrzypaczka, jeśli jest córką starych komunistów i zaczęła wcześniej koncertować w czerwonym, pionierskim krawacie, jest *lepszą* skrzypaczką na tej samej zasadzie, na jakiej hrabia-poeta był *lepszym* poetą od tyka-poety w feudalizmie. Partia ją wychowała, dzięki partii wszystko i zawsze, partia jest z niej dumna, nic więc dziwnego, że łatwiej jest znaleźć się na liście artystów propagujących polską muzykę zagranicą, łatwiej wyjechać, łatwiej kupić samochód w adenauerowskich Niemczech, łatwiej uzyskać nań zwolnienie z cla, łatwiej kupić nowy gdy stary już niemodny, i tak dalej. Małżeństwo Rakowski-Wilkomirska jest cennym, nieodpartym przyczynkiem do obyczajów epoki i w moich oczach stanowi balzakowską wręcz próbę finansowego uniezależnienia się komunistycznego działacza politycznego w komunizmie. Albowiem, i to wymaga podkreślenia, zarówno w Paryżu pana de Rastignac jak i w Warszawie tow. Rakowskiego o niezależności polityka, o jego zdolności do politycznego manewru, do szerokości myślenia, do pozornych lub mniej pozornych aktów nonkonformizmu, decyduje niezależność finansowa

i wyzwolenie się z obaw o doraźny zarobek. A jakże to pomaga w budowaniu osobowości! Boję się, że bez inwestycji Witkomirskiej Rakowski nie dałby rady przedzierzgnąć się w «Przekrojowego» *playboy'a*, mimo że radykalna zmiana fryzury ujawniła w nim całkiem atrakcyjną przystojność – kawał chłopca, uśmiech otwarty, rysy mocne i męskie, trochę taki pomorski Steve McQueen – bowiem wyemancypowani rolnicy w średnim wieku i odpowiednio na głowie przycięci mieli i mają swój urok i wzięcie w salonach stolic. Pewne koła w Polsce uwielbiają, jak ktoś recytuje im pisma Gramsciego w takim właśnie, «Przekrojowym» moderunku i tu Rakowski utrafił w dziesiątkę, choć na marginesie przyjdzie nam zauważyć, że tak instruktor KC jak redaktor i prezes SDP Rakowski śmiertelnie «Przekroju» nienawidzili i domagali się palenia na stosie pierwszych, co takie fryzury nosili. Cóż więc tak go odmieniło? Czy przemiana jest bebechowa, czy tak sobie z wierzchu i po fryzurze?

## 5.

W połowie lat 60-tych zarysował się (w potężnym skrócie) układ następujący: Gomulka i Kliszko wyizolowani, Cyrankiewicz w dyspozycji, Ochab emeryt, zaś wokół nich skotłowana magma, z której dochodzą różne krzyki: „Moczar!”, „Gierek!”, „Młodzi sekretarze!” To ostatnie zawołanie łączono kilka lat temu z nazwiskiem Rakowskiego, zwłaszcza wśród Amerykanów, którzy z dziecięcą łatwowiernością notują wszystko, co im się w Warszawie podsuwa. Amerykanie doszli do następującego wniosku: ponieważ sekretarze sekretarzy KC i Politbiura dobierani są w drodze skrupulatnego stażu i załatwić przez nich można mnóstwo, należy więc przypuszczać, że stanowią skryzalizowaną siłę polityczną i należy ich brać pod uwagę jako ewentualnego partnera. Byli młodoturcy, są młodzi sekretarze, zaproszono więc Rakowskiego do Ameryki, gdzie spędził parę miesięcy, rozmawiał z Kennedym i otrzymał tzw. *red carpet treatment* jako ewentualny partner i siła. Naiwnościom Amerykanów nie ma końca, żyją oni ciągle jeszcze pod czarami Szeherazady, nie wiadomo więc, co sobie po tej wizycie obiecywali; w każdym razie, na początku, zachwyceni swingowym wyglądem i fryzurą nr 3, łykali grzecznie tępawe slogany o koegzystencji, lekko zniuansowane w zależności od rozmówców (Departament Stanu czy amerykańska lewica). Wpadli we wściekłość dopiero, gdy po powrocie do Warszawy Rakowski opublikował książkę o podróży pt. *Ameryka wielopiętrowa*, w której napisał wszystko inaczej niż mówił. Był to w istocie stek kłamstw, symplactw i kpin z inteligencji czytelnika, ale trudno jest mieć pretensje do Rakowskiego, że pisze źle i głupio: nie jest on pisarzem ani dziennikarzem, a tylko instruktorem prasowym, redaktorem i prezesem SDP. Zaś Amerykanie i tak nigdy się nie uczą, że nie jest ważne, co polityczny pieczeniarsz mówi u nich, ale to, co mówi u siebie w domu – i chyba dlatego przegrają walkę o świat, co nie daj Boże! Jedynym więc beneficjentem podróży był Rakowski: amerykańskie stypendium i globtroterstwo przydało mu trochę aury tolerancyjnej przystępności dla różnych porozumień. I o to mu głównie chodziło.

Pozycja społeczna, przyczółek polityczny (Rakowski jest członkiem czy zastępcą członka KC), niezależność finansowa, aparycja i egzotyczny *sex appeal* swingującego intelektualnie i towarzysko marksisty są potężnymi atutami w formowaniu indywidualności na użytek wielkiej kariery. Ale jakiejś ingrediencji ciągle jeszcze brak, ciągle czegoś nie dostaje, ciągle jeszcze nie jest się formatem ani kalibrem. Z pomocą przyszła

wypróbowana w historii technika: skoro trudno jest samemu być osobowością na miarę, trzeba złączyć wysiłki z innymi, którzy są w tym samym położeniu. W ten sposób powstał triumwirat Starewicz–Żółkiewski–Rakowski. Zeszli się, porozumieli i wywiesili firmę: liberalizm.

Co znaczy ten „liberalizm”? Nic i bardzo wiele. Każdy z triumwirów aż do chwili, gdy ujawnił się jako neoliberal, ma za sobą piękne i bogate *dossier* totalniaka, dzierzymordy, stalinowskiego stupai, cynicznego hipokryty, służalczego lokaja. Starewicz i Żółkiewski nie wymagają prezentacji, nazwiska ich mówią same za siebie, pola kultury i administracji partyjnej, które uprawiali przez 20 lat z bezwzględnością hitlerowskich *gauleiter*ów, usiane są znakami ich wyrafinowanych okrucieństw na rozkaz. Liberalizm idej, obyczajów czy zasad jest przedmiotem ich całościowej pogardy, od młodości ukorzyli się przed gwałtem dokonywanym na prawdzie i moralności, weszło im to w krew, uwielbili przemoc, którą nazwali rozumem lub koniecznością i uznali za wartość zabsolutyzowaną i najwyższą. Ponadto w komunistycznym dekalogu liberalizm jest grzechem śmiertelnym, słowo to cuchnie, kojarzy się z chorobą ciała i umysłu, gniciem komórek i rozkładem psychicznym. Cóż zatem skłoniło triumwirów do tak hazardowego pociągnięcia? Co sprawiło, że ich sztandarowy *agent provocateur*, Alicja Lisiecka, nie wahała się przed używaniem terminu „liberałowie” nawet w tak niebezpiecznie plotkarskich tawernach jak stołówka ZLP, który – powtórzony Gomulce i Kliszcze – niósł niebezpieczeństwo krwawych rozliczeń w rozmowach za wypolsterowanymi drzwiami? Podejmowali to ryzyko otwarcie i świadomie. Lisiecka, stara polityczna *demi-mondaine*, wyrządzająca przez lata całe krzywdy w imię słabo sprecyzowanych rozróżnień dobra i zła, działała tym razem ostrożnie, po zegarmistrzowsku wyregulowana, i wypowiadała słowa uważnie zażywane przez triumwirów. Cóż zatem słowo to znaczyło dla nich, że mimo odrazy i strachu brali je w ręce jak płaza i wznosili wysoko w górę tak, aby wszyscy wokół widzieli, że je trzymają?

Walka o schedę po Gomulce jest w toku. *Challenger*ów jest kilku. Małomiasteczkowa postać Moczara rośnie na Rakowieckiej jak skomputeryzowana potęga wszystkich polskich Krotoszynów, Kłajów i Mław do kupy wziętych – dzika siła, bezbrzeżna dynamika spółdzielni masarskich i owocarskich, kótek ogródkowych, bufetowych z Zamojszczyzny, gdzie każdy miał kogoś w partyzantce, teraz już nie bardzo wiadomo w jakiej. Moczar różnie patriotyzmem, inni wojują maczugami ekonomiki, stopy życiowej, lodówki dla każdego, jeszcze inni biją na feudalne przywileje aparatu. Wcisnąć się ciężko, do kogo, czego i jak odwoływać się ma kolejna alternatywa? Do czego jak nie do wolności, do swobód, do haseł, które zawsze w Polsce mają zbyt wśród zdezorientowanych, a w najgorszym wypadku wśród inteligentnych pragmatyków, którzy w swym gruźliczo-chronicznym dążeniu do rwania permanentnych więzów ciągle jeszcze wierzą w zasadę politycznego sprzedać-kupić, tu poprzec, tam wyszarpać. Najgorzej jest z własną przeszłością triumwirów. Żółkiewski, po tysiącach akcji represyjnych, na czele których stał, budzi wymioty, gdy mówi o wolności. W wewnętrznym kodzie postów bezpartyjnych w Sejmie Starewicz nazywany jest Fagasem: wiadomo, że dokona każdej egzekucji na zlecenie Pana. Rakowski... Co tu robić i po co sięgnąć? Za co więc chwycić się jak nie za wypróbowaną wśród Polaków wizję wallenrodyzmu.

Polacy uwielbiają wallenrodyzm. Nikt nie napisał o tym zjawisku piękniej od pana Adama i chyba wyrostki żadnego narodu nie wzdychają tak tkliwie za życiorysem

szlachetnego przeniwercy. Może dlatego Polacy tak uwielbiają i wzdychają, bo nigdy nie mieli pojęcia, jak to robić, nie ma w ich historii Taileyrandów, którzy tak imponują ich elicie umysłowej, znudzonej własną wersją politycznej spekulatywności w wykonaniu ociężałych Druckich-Lubeckich i Wielopolskich. Komunizm wraz z odmetem swych moralnych pułapek wzmógł niezwykle tęsknoty za wallenrodzizmem, a także jego prestiż społeczny: na dobrą sprawę każdy partyjniak chrzczący dziecko w kościele uważa się dziś nie bez racji za Wallenrodka. Komunizm, zwłaszcza polski, cudownie się do talleyrandowskich praktyk nadaje. Dlaczego, na przykład, o partyjnych ludziach, którzy są *zupełnie* jednakowi, mówi się różnie, czasem aż do śmiesznych polaryzacji opinii? W demokracji odczynnik polityczno-moralny funkcjonuje od święta, przy specjalnych okazjach, lecz w komunizmie ten sam lakmus tyra na codziennym, codziennie ujawnia nowy wybór, nową konieczność wartościowania, w każdej sprawie i okoliczności inaczej, zawsze i nieuchronnie w perspektywie obyczajowej etyki i w odniesieniu do interesów innych ludzi. Stąd ogrom ambiwalencji i całkowita nieprzydatność zbiorczych etykietek. Ten jest dobry, kto jest dobry dziś, tu, teraz i w konkretnej sprawie. Polityk w komunizmie nie odpowiada za swój program, tylko za swoją przyzwoitość na codzień, jest ona jego jedynym atutem i tytułem w oczach społeczeństwa, co – przyznać trzeba – jest raczej dziwnym paradoksem. Wybory w komunizmie to rzecz przezabawna nie dlatego, że szopka i fałsz, lecz dlatego, że wyborca najpoważniej kieruje się w swym akcie wyborczym nadzieją, że wybrany poseł *nie będzie realizował* tego, co głosi w swym programie, że jest dostatecznie „porządny”, aby tego nie wcielić w życie. Perspektywy wallenrodzizmu są więc bezkresne, ale triumfirowie, bazując na nim, poszli dalej i wymyślili coś jeszcze lepszego.

Aczkolwiek – nic nowego. Magiczna formuła i zaklęcie 50 lat urzeczywistniania komunizmu zawierające się w słowach: „on chciał dobrze” nie jest niczym nowym. Po raz pierwszy zastosowano ją do Marksa i Engelsa, kiedy okazało się, jaka przepaść otwiera się pomiędzy tym, czego chcieli a tym, co w imię ich chęci zmagistrowano. „Oni chcą dobrze” – mówiono o Leninie i Dzierżyńskim, gdy można było myć ręce we krwi w rynsztokach wokół Butyrek i Łubianki. To samo powtarzali kretyni zbierający na MOPR przed wojną, gdy ktoś przypadkiem bez taktu wspomniał o Stalinie dorzynającym swych najdroższych giermków. Po wojnie długo korzystał z tego ideologicznego *gadget'u* Hilary Minc: pół Polski powtarzało: „On chce dobrze”, podczas gdy ekonomiczny cudotwórca parł z entuzjazmem ku ostatniemu etapowi kolektywizacji, czyli zrównaniu chłopca z ziemią. Totumfacy Cyrankiewicza od dwóch dekad zapewniają, jak on chce dobrze, a tu lata mijają i co? Dodają więc, że bez niego byłoby tysiąc razy okropniej, ale my tego nie wiemy, jak byłoby bez niego, bośmy jakoś nigdy nie byli, natomiast aż za dobrze wiemy, jak jest z nim. Gomułka długo jeszcze prolongował swą karierę na „on chce dobrze”, szeptanym przez zaprawionych zauszników podczas popaździernikowych bankietów, kiedy już każdy nad Wisłą kto miał oczy widział, że on chce najgorzej. Melodia jest zatem wypróbowana i liczne Lisieckie ruszyły na Warszawę z idiotycznym uniesieniem w oku i gromkim zawołaniem: „Oni chcą dobrze, jeszcze teraz nie mogą robić dobrze, ale jak im pomożecie i poprzecie ich w walce z tym ciemnym rzeźnikiem z łódzkiego UB, gburem i analfabetą, wtedy oni dojdą do naczelných znaczeń i zrobią wam dobrze...”

Przedziwna jest fizjologia kłamstwa i funkcja przeinaczeń w komunizmie: totalniackie kłamstwo jest bezwysiłkowe, sprężyste i żywotne jak toksyna, której zawsze prze-



ciwstawić trzeba nową, z trudem zsyntetyzowaną surowicę. Jakże łatwo przychodzi klamać esesmanom na procesach w Niemczech: rozkaz, musieli, nie wiedzieli. My wiemy, że jest to żrąco-palącym odwróceniem prawdy, ale jak dezynfekować, filtrować, odkłamywać, rozplątywać? Żółkiewski rozpedził w swoim czasie bestialsko rewizjonistyczną «Nową Kulturę» na rozkaz Gomulki – czy wtedy też chciał dobrze, nie mógł inaczej, musiał? Dlaczego nie pojechał do Krynicy tłumaczyć, że otyli żyją krócej? Dlaczego przyjął zlecenie, a dziś mruga, że on tego nie chciał, zaś chciał dobrze? Po proteście 34 Rakowski ogłosił wstrętny artykuł w «Polityce», pełen topornych oskarżeń, bezsensownych lecz nienaruszalnych w swej prostackości leninowskiego scenariusza. Dziś, kokietując różnych 34 swą jakoby alternatywną postawą, daje do zrozumienia, że musiał, że konieczność, że wyższa, on tak nie myślał i nie chciał, on chciał dobrze, a reszta to taktyka i gra. Mit gry jest jednym z najzręczniejszych ukutych: cała maszynaria wyobrażeń i przemyślnie rozsiewanych pogłosek służy w komunizmie stwarzaniu legend, że toczy się jakaś gra, gdzie nic się nie toczy, że jacyś o coś grają, gdy nie ma żadnych stawek, przegranych, wygranych, programowych różnic i utraty posad, a ciągle wszystko po dawnemu. Nie znaczy, że nie istnieją walki frakcyjne, istnieją. ale to właśnie jest zupełnie co innego: autentyczne frakcje zwalczające się w walce o faktyczną władzę i różnice zdań wbijają sobie autentyczne noże w autentyczne plecy – ale frontem, do narodu, na pokaz, na fotografiach prasowych toną w czułościach, uściskach, objęciach, karesach. Im bardziej i ciszej ktoś szepce na ucho, że on jest przeciw, tym rozsądniej jest wierzyć, że on jest za; im bardziej daje do zrozumienia, jak on chce dobrze, tym ufniej należy sądzić, że on chce bardzo źle. A zresztą: gdzie są gwarancje? Żółkiewskiego, Starowicza, Rakowskiego znamy od 20 lat: czy cokolwiek w ich przeszłości skłania nas do przypuszczenia, że chcą naprawdę dobrze? Dlaczego wcześniej nie chcieli? Dlaczego przez 20 lat chcieli bardzo źle? Dlaczego nic nigdy nie uczynili, co wskazywałoby na pozytywny kierunek ich chcenia? Gdzie w końcu naród szukać ma rozróżnień między taktyką a zdrowym rozsądkiem?

Polsko-stalinowska szkoła psychologiczna ma na swym koncie poważne osiągnięcia, całkiem nieznanne na Zachodzie. Między innymi bardzo drobiazgowo zbadła korelację pomiędzy czynem, słowem a myślą u tzw. prawdziwego człowieka. Okazało się, że prawda o człowieku nie pozostaje w żadnym spoistym i logicznym związku z jego czynami, słowami i myślami, a te ponadto nie pozostają w odpowiedzialnej wzajemności względem siebie wzajemnie. Że prawdy o człowieku nie mówią jego czyny udowodnił już całkiem sumiennie Dostojewski. Także prawdy tej nie ujawniają słowa, albowiem wiadomo, że działacz przemawia z otulonej czerwonym sztandarem trybuny nie wierząc ani w ćwierć słowa tego, co mówi. Natomiast okoliczność, że można wykonać serię daleko posuniętych łajdactw, lecz jeśli się przy tym myślało, że może to niezbyt przyzwoite, albo komunikowało swoje wątpliwości przy kawiarnianym stoliku znajomym, choćby szepem na ucho – to TO się nie liczy. Odkrycie niniejsze stanowi prawdziwą rewelację i triumf polskiej psycho-moralistycznej szkoły, także na gruncie tradycyjnej moralności chrześcijańskiej, która skłonna była rozgrzeszać nieświadomość (...on nie wiedział, co robi...), ale która w osłupieniu przyjąłaby tezę, że ktoś jest niewinny, ponieważ miał pełną świadomość i dobrze wiedział co robi, a nawet w przypiływie nadświadomości rozprawiał o swych sceptycyzmach ze znajomymi przy wódce. Te zdobycze poznawcze moralistyki polskiej przeniknęły na nieszczęście głęboko do społeczeństwa

i Starewicz, Żółkiewscy, Rakowscy wznoszą na nich gmachy nadziei, a także różne konstrukcje destylacyjne do dyfuzji własnych nikczemności.

## 6.

W Polsce mówi się: „On ma teraz trudności...” Znaczy to, że człowiek, który był naszym śmiertelnym wrogiem, egzekwował nasze fizyczne bądź duchowe unicestwienie z bezduszną siłą mechanizmu, planował je chłodno nazywając je służbą sprawie, bądź postępek społecznym, bądź historyczną koniecznością – patrzy nam ostatnio psio i przymilnie w oczy, szukając utajonych porozumień i fałszywego, zażenowanego koleżeństwa. Iluśmy takich widzieli... Potrafili się wkradać w nasze współczucie, czasem wręcz w nasz podziw. Nie potrafili nas tylko nigdy przekonać, że gdy się skończą ich trudności – rezultat tego, rzecz jasna, że chcieli dobrze – zmieniają się, będą inni, lepsi. Albowiem widzieliśmy i takich, którzy przezwyciężali trudności, wracali do łask i władzy, potencjału wpływów i możliwości. I pozostawali tacy sami – zakłamanymi czcicielami ohydnych przemocy.

Właśnie mówi się ostatnio, że Rakowski ma trudności. Trudno mi coś o tym powiedzieć. Musiałbym go zobaczyć. Wszystko zależy od tego, jak się czesze.

*Postscriptum*

Ujrzałem Rakowskiego raz jeszcze. Ładne parę lat po opuszczeniu kraju. Mniej więcej w roku 1973, o ile mnie pamięć nie zwodzi. Mieszkalem w Connecticut, nieopodal Nowego Jorku; właśnie przybył w te strony Jerzy Turowicz, powiadomiono mnie także, iż w jednej z lepszych galerii przy Madison Avenue otwiera się wystawa Jana Lebensteina, więc całkiem poważny wernisaż. Udaliśmy się przeto z Mary Ellen, moją nową żoną, na Manhattan i po drodze opowiadałem jej, kto to Turowicz, a kto Lebenstein, jako że dość ją interesowali ludzie z Polski, zwłaszcza w mej z lekką idealistycznej interpretacji. Odebraliśmy Turowicza w Fundacji Kościuszkowskiej, skąd już spacerem osiągnęliśmy niedaleką galerię. Wszedłszy, spostrzegłem grupkę ludzi pośrodku sali, ktoś wyciągnął ramiona do Turowicza, który z kolei pociągnął mnie za sobą i tak oto, w łonie owej gromadki, znalazłem się oko w oko z Rakowskim. Fryzury w «Kulturze» sprzed paru lat zadzwoniły mi w mózgu jak alarm, nie powstrzymując się jednak ani chwili wyciągnąłem ku niemu rękę. Zawahał się, zacerwienił i zmienił na twarzy, ale podał mi swoją. Po czym odwrócił się do mnie plecami i to był koniec towarzyskiego kontaktu.

W drodze powrotnej, w samochodzie, Mary Ellen spytała, dlaczego pan, z którym się witałem, tak ostentacyjnie zademonstrował swój brak aprobaty dla tej okoliczności w ogóle, zaś jak gdyby dla mojej osoby w szczególności. Wdrożyłem ją wobec tego w kontekst wydarzenia. Opowiedziałem jej, kim jest Rakowski, wytłumaczyłem tło polityczno-socjalno-moralne, a także co o nim napisałem i dlaczego. Powiedziała: „Zabawne. Ja bym teraz nie była w stanie określić, jak on się czesze. Tak jakoś nijako. bez zwracania uwagi. Może zmitologizowałeś go nieco w tym swoim eseju. Tak dla metafory”. Pomyślałem, że i ja nagle popadłem w jakiś brak spostrzegawczości. Czyżbym nie zwrócił uwagi na fryzurę, nadrzędny element moich sądów o nim? „To groźne – powiedziałem.

– Fakt, że w godzinę po spojrzeniu na Rakowskiego nie bardzo wiem, co miał na głowie, nie rokuje nic dobrego...”

W tym roku, gdy czytałem, że został wicepremierem odpowiedzialnym za rokowania z „Solidarnością”, przypomniałem sobie ową refleksję i zrobiło mi się smutno i niewygodnie. Jak zawsze, gdy zdarza mi się raz jeszcze ujrzeć błysk grzechu w twarzach ludzkich lub cień zła pośród bieżących wypadków dnia.

*Fryzury Mieczysława Rakowskiego* ukazały się w «Kulturze» (Paryż) 1967, nr 10 (210). *Postscriptum* opublikowane zostało w j. angielskim w «Survey» (London), Summer 1982, Vol. 26 no 3 (116).

DRUGIE WYDANIE

Tymon Terlecki

SZUKANIE RÓWNOWAGI

Szkice literackie i publicystyczne

*U korzeni*: Europejskość i odrębność kultury polskiej. Kultura Drugiej Niepodległości. *Pod uderzeniem kłeski*: Do emigracji polskiej 1945 roku. Po dziesięciu latach. O socjalizmie chrześcijańskim. Do podstaw romantyzmu społecznego. Dramat Guglielma Ferrero. *Wokół Mickiewicza*: Mickiewicz i my. Śmierć patetyczna. Notatki o Mickiewiczu. *Wobec dwu tragedii*: Mimo wszystko jestem frankofilem. „Alle Juden raus...” *Dalekie zbliżenia*: Leonardo da Vinci i Paul Valéry. Marginalia kopernikowskie. Conrad w kulturze polskiej. *Wycieczki w plastykę*: Kossovski of Aylesford. Marian Bohusz-Szysko — malarz z inspiracji religijnej. *O dwu przyjaciółach*: Wierzyński czyli poeta. Andrzej Bobkowski. *Moi dwaj współcześni*: Dylan Thomas. Sztuka pisarska Leszka Kołakowskiego. *Norwid i Eliot*: „Pójdź ze mną”. Światła nad ziemią jałową. *Zamknięcie. Skorowidz nazwisk.*

Str. 418

Cena £7.50 plus przesyłka (lub równowartość w innych walutach)

POLSKA FUNDACJA KULTURALNA  
23 Coleridge Street, Hove, Sussex BN3 5AB, Great Britain

**NOWOŚĆ**

**4 tom serii „Świadectwa”**



**Od Genewy do Jałty**

Rozmowy radiowe

**EDWARD RACZYŃSKI  
TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI**

**cena £6.50 plus przesyłka**

**Puls Publications  
BCM Box 697, London WC1N 3XX  
United Kingdom**

**NOWOŚĆ**

**3 tom serii „Świadectwa”**



**O «KULTURZE»**  
**Wspomnienia i opinie**

**cena £7.50 plus przesyłka**

**Puls Publications**  
**BCM Box 697, London WC1N 3XX**  
**United Kingdom**



muzeum ruchu  
rewolucyjnego

## NOCNE TELEFONY BRONIEWSKIEGO

„Dziwny to był człowiek – pisał Marek Hłasko o Władysławie Broniewskim – oficer legionów, komunistą nie należący do partii, więzień naszych kapryśnych braci, najbardziej polski poeta jakiego można sobie wyśnić – a komunizm potrzebny mu był tylko z jednego powodu: ponieważ on, Broniewski, najbardziej lubił pisać o komunizmie. Żadne inne względy nie mogły tu wchodzić w rachubę i nie interesowały go zupełnie. Był przy tym zadziornym szlachciurą; opowiadał mi, że Bierut zaprosił go kiedyś do Belwederu i wzięwszy go pod ramię poszedł z nim do ogrodu a w pewnym momencie powiedział: 'Towarzyszu Broniewski, już najwyższy czas, abyście napisali nowy Hymn

Narodowy', Broniewski wystąpił do wszystkich klania się rewolucji radzieckiej po polsku, czapką do ziemi. (...) Broniewski mógł być śmiertelnie pijany i zataczać się z kąta w kąt, ale z chwilą, kiedy ja mu deklamowałem na przykład 'Ulicę Miłą' i pomyliłem się choćby o jedno słowo – natychmiast korygował mnie i to w sposób dość ostry. (...) Więzień Stalina, kiedy, zapytawszy mnie co o nim sądzi, usłyszał, że trudno mi go sądzić, ponieważ boję się bandytów, przed którymi nie ma gdzie uciec – dostał ataku furii (...) ważne było dlań jedynie to, że on, Władysław Broniewski, napisał wiersz na cześć człowieka, którego ja obraziłem. Pobiegł na górę dygocząc z wściekłości; po jakiejś chwili zbiegła na dół przerażona służąca i powiedziała mi, abym wynosił się natychmiast, ponieważ pan Broniewski jest pijany i dzwoni do Urzędu Bezpieczeństwa. Złapałem palto i rażno wybiegłem w mrok”. (*Piękni dwudziestoltni*, Instytut Literacki, Paryż 1966, s. 48-50).

A oto w jaki sposób opisuje ten incydent Włodzimierz Sokorski:

„Pewnej dusznej nocy wybuchnął skandal. Marek Hłasko, zapewne w stanie niezupełnie trzeźwym, wspominał Broniewskiemu poemat o Stalinie. Władek wściekł się i po dzikiej awanturze wyrzucił Hłaskę za drzwi. Też te nocy zdarzył mi się. Był niestychanie wzburzony. Pieklił się, krzyczał, przeklinał. – Taki gówniarz – wrzeszczał do telefonu – taki zasrany gówniarz. Co on wie o życiu, walce, terrorze, wojnie i Stalinie! Kiedy siedziałem na Daniłowiczowskiej, po zamknięciu «Miesięcznika Literackiego», Marek chodził pod stołem i nosił koszulę w zębach. I dlatego nie on, ale ja miałem prawo

napisać poemat o Stalinie. Miałem nawet obowiązek, żeby sprawy wielkości, klęsk, upadków i ostatecznych zwycięstw wyjaśnić jego pokoleniu. O Stalinie można tak albo inaczej – krzyczał – można prorokować, co by było, gdyby było. Jednak nie kto inny, a on wygrał wojnę i wygrał w Poczdamie sprawę Polski. Niezależnie od wszystkich potrzebnie i niepotrzebnie ujawnionych faktów Stalin pozostanie postacią historyczną jako budowniczy komunizmu. I o tym napisałem. O tym i tylko o tym. I gówniarzom wara od tego'. – Po dłuższej chwili, kiedy się nieco uspokoił, dodał: 'A swoją drogą Marek jest facetem z talentem. I szkoda, że pozbawiony charakteru. To go zgubi. Można mieć za złe Stalinowi i Bierutowi, nie wolno jednak wyskoczyć z nurtu. Marek wyskoczył i dlatego wyrzuciłem go za drzwi". (Notatki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975, s. 116)

„Po roku 1956 ten stary i chory człowiek – dodaje ze swojej strony Hłasko – miał na tle odwagi, że do mnie, pętaka, podszedł i powiedział, że prosi o przebaczenie. Nie że przeprosza, ale że prosi o przebaczenie. Zrobiło mi się nieprzyjemnie; poszliśmy znów na wódkę i znów Broniewski mnie korygował aż do chwili, kiedy wspólnie straciliśmy przytomność usnąwszy na jednym łóżku, przy czym ja spałem przytulony do niego, jak szczenię do suki. (...) Na całe dla mnie szczęście, ludzie nie brali nocnych telefonów Broniewskiego na serio; mogło się to skończyć w sposób dla mnie mało zabawy". (Piękni dwudziestoletni, s. 50-51)

ZM

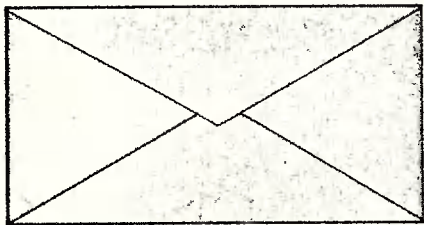


## MÓWI BENNY LUTKIEWICZ

(Z audycji Radia Polonia – rozgłośni PRL na zagranicę – nadanej 19 listopada 1988)

Chciałbym kilka słów powiedzieć o rodzinie Przypkowskich. Jest to rodzina szlachecka, bardzo stara, wywodząca się sprzed wielu wieków. W jej rodzinnym dworze znajduje się muzeum Przypkowskich. Zbiory obejmują wiele cennych eksponatów, w tym stynne zegary słoneczne. Kolekcję tę państwo Przypkowscy przekazali państwu; dwór pozostał w ich rękach. Państwo Przypkowscy są szlachtą pracującą, nie przeszkadza im to jednak prowadzić w swym dworze „kółka smakoszy”, które skupia ludzi znających się na dobrej kuchni i lubiących dobrze zjeść. Krąg ten jest nader ekskluzywny, liczy sobie nie więcej niż 20 osób. Najdostojniejszym członkiem towarzystwa jest były premier Józef Cyrankiewicz, znany również jako wytrawny smakosz. Biesiady odbywają się raz lub dwa razy do roku, gdy kuchnia dworska u Przypkowskich czuje się na siłach podać do stołu coś rzeczywiście oryginalnego. Ostatnią ucztę, jak słyszałem,

zwołano, by spożyć pawia udekorowanego w XVII-wiecznym stylu oraz sztufadę według przepisu z tego samego stulecia. Z tego co wiem, nie był to zresztą szczyt tamtejszych możliwości kulinarnych; dochodziły mnie słuchy o daniach bardziej jeszcze oszałamiających. Dla przykładu: do stołu podano raz szpacze jęczyczki w śmietanie. Nie muszę chyba mówić, ile szpaków trzeba było upolować, by móc przyrządzić takie danie. „Kółko smakoszy” jest grupą bardzo hermetyczną; żeby dostąpić zaszczytu uczestniczenia w biesiadzie trzeba mieć naprawdę doskonałe koneksje. Nic też dziwnego, że państwo Przytkowscy nie szukają rozgłosu.



*Drodzy Panowie,*  
dwanaście lat temu Jerzy Jaruzelski opublikował w Warszawie szkic Mackiewicza a konserwatyści (chodziło o starszego, Stanisława), i stało się wówczas wiadomem, że autor zabrał się do opracowania następnego tomu, który miał być solidną biografią Cata-Mackiewicza. Ta właśnie książka, po tak wielu latach, niedawno ukazała się na rynku\*. Składa się ona z dwóch części bardzo nierównych co do objętości, talentu i wartości historycznej, mianowicie 30 stron listów Mackiewicza do M.K.Pawlikowskiego i 300 stron własnego tekstu Jaruzelskiego.

Listy Cata to istne perełki humoru, tryskające życiem, niezwykle oryginalne

tak w koncepcji jak i w języku, którym są pisane. Te otwarte, pisane bez hamulców listy stanowią cenny materiał do poznania Mackiewicza. Tylko szkoda, że tak niewiele, i z wykropkowanymi opuszczeniami.

Niestety to co sam Jaruzelski napisał pozostawia bardzo wiele do życzenia z powodu politycznej tendencyjności autora i słabego opanowania materiału źródłowego, a wreszcie z powodu niewystarczającego kalibru intelektualnego autora do analizowania postaci takiej jak Stanisław Mackiewicz. Jako całość książka jest po prostu żenująca w swoich brakach. Niestety cechy te charakteryzują wiele prac historycznych publikowanych w PRL-u i Jaruzelskiego „dzieło” nie jest bynajmniej wyjątkiem.

Jaruzelski przyswoił sobie tak obecnie modne w PRL-u ewolucyjne zapatrywanie na historię Polski, według którego tzw. II Rzeczpospolita była jedynie etapem rozwojowym na drodze do obecnego narodowego państwa „ludowego”. Ta szkoła myślenia, którą można nazwać moskiewsko-rogaływkową, a której głównym propagatorem był Zbigniew Żaluski, dyktuje, że przyjazny (a właściwie służalczy) stosunek do Sowietów obowiązuje polskiego pisarza przede wszystkim, zaś z II Rzeczpospolitej, rządów emigracyjnych i suwerennych Polskich Sił Zbrojnych należy przyswajać i wychwalać wszystko oprócz przejawów antykomunizmu – które muszą być bezwzględnie potępione. Z takiego właśnie moskiewsko-rogałykowego punktu widzenia Jaruzelski w swoim tomie przedstawi

\* Jerzy Jaruzelski, Stanisław Cat-Mackiewicz, 1896-1966, Wilno-Londyn-Warszawa, Czytelnik, Warszawa 1987, 354 ss., 55 zdjęć.



ocenia działalność S. Mackiewicza – co często prowadzi do wypaczenia rzeczywistości i do błędnych, niesprawiedliwych ocen.

Braków u Jaruzelskiego jest tak wiele, że trzeba by właściwie książkę przepisać, żeby je wszystkie sprostować; ograniczę się więc do ważniejszych. Najprzód kapitalna kwestia stosunku do Rosji i Niemiec. Program głoszony przez Mackiewicza – rozczłonkowania Rosji sowieckiej i ekspansji polskiej na wschód, przy współpracy Niemiec, nazywa Jaruzelski „polityką urojonych możliwości”, twierdzi, że program ten „stanowił odosobniony fenomen w krajobrazie życia publicznego II Rzeczypospolitej” i „nie miał popleczników” (s. 201 i nast.). Nie odpowiada to rzeczywistości. Po pierwsze całe polskie planowanie wojskowe aż do 1938 roku (kiedy i Cata program uległ zmianie) było oparte na właśnie takich założeniach, było zwrócone całkowicie frontem na wschód. Także podobny duch ożywiał polską służbę dyplomatyczną (np. rozmowa wiceministra Szembeka z amb. Grzybowskiem 10 12 38, Teki, tom IV, ss. 378-9). Wreszcie ruch „prometejski”, który dążył właśnie do rozczłonkowania Rosji sowieckiej, był finansowany i popierany przez polskie władze. A więc program Mackiewicza wcale nie był urojony ani odosobniony, lecz bliski oficjalnej polskiej polityce.

Jaruzelski uważa za „plamę na honorze” Mackiewicza jego ujemny stosunek do wileńskiej lewicy akademickiej (s. 17), która była na sowieckich usługach, i potępia krytyczną wobec Sowietów jego książkę Lata nadziei (Londyn, bez daty, ca. 1946), oceniając ją jako „najslabsze z tego co napisał” (s. 282). Niech mi wolno będzie zacytować zakoń-

czenie tej książki Mackiewicza: „Musimy walczyć. Musimy nadal szukać sojuszu z Anglią i Ameryką (...) lecz sojusz ten musimy oprzeć na bliższym, samodzielnym porozumieniu z innymi państwami europejskimi, musimy wejść do porozumienia państw europejskich (...) A zwłaszcza unikajmy w przyszłości rad prowokatorów i nie przelewajmy krwi dla wywołania propagandowych efektów.” Taka deklaracja programowa strasznie się panu Jaruzelskiemu nie podoba.

Czasem Jaruzelski stara się przyłepić Catowi fałszywą prosowiecką etykietkę. Oto na s. 270 pisze on, że Cat „nigdy – nawet w najcięższych miesiącach nie wierzył w załamanie Armii Czerwonej”. Chociaż to prawda, że Cat wcześniej niż większość rodaków zaczął przewidywać możliwość zwycięstwa Sowietów nad Niemcami, powyższe sformułowanie Jaruzelskiego wprowadza czytelnika w błąd, sugerując jakoby Cat oczekiwał sowieckiego zwycięstwa z aprobatą. Wprost przeciwnie! Patrzył on na tę możliwość z największą obawą; pisał w swojej broszurze Cała prawda (styczeń 1942): „Gdyby Rosja przetrwała w tamtej wojnie do zwycięstwa aliantów, to niewątpliwie ministrowie Mikołaja II żądaliby dla siebie Galicji i Poznańskiego. Brak Rosji w Wersalu sprawił uznanie niepodległości Polski. Gdyby w uzyskaniu zwycięstwa nad Niemcami (w tej wojnie) Rosja sowiecka miała być czynnikiem głównym – nie tudźmy się – czekałyby nas podczas konferencji pokojowej jak największe niebezpieczeństwa” (s. 33). Sprawdziło się! – chociaż konferencji pokojowej jako takiej nie było.

Zgodnie z moskiewsko-rogatywkową doktryną, Jaruzelski ma za złe Mackiewiczowi nie tylko jego anty-

sowieckość, ale także jego opozycję wobec przedwrzesniowych rządów. Zarzuca mu, że przeszedł do opozycji z zemsty za utratę mandatu poselskiego (s. 196), że przed zesłaniem do Berezki uprawiał krytykę jedynie „osobistości”, a opozycję „wobec reżymu” zaczął uprawiać dopiero po wydosłaniu się z tego obozu koncentracyjnego (s. 239), którego założenie w swoim czasie pochwałal (s. 233). Z okresu paryskiego Jaruzelski znowu oskarża Cata o personalizm: „linią pierwszą był atak personalny” i „w istocie regulował osobiste długi” (s. 246). Nie tu koniec niskich insynuacji. Jaruzelski w ogóle przedstawia Mackiewicza jako postać małą, właściwie kartą intelektualnego, traktuje go wyniośle i protekcjonalnie poklepuje po plecach jako „gawędziarza historycznego” (s. 190), „gadulę” (s. 58), wreszcie człowieka, który „wie niewiele – nie rozumie nic” (s. 216). Powtarza opinię Micewskiego, że Mackiewicz zawodzi w próbach syntezy, że to jest jego najstarsza strona (ibid.).

Wszystko to jest tak dalekie od prawdy, że aż humorystyczne. Rosjanie mają zgrabne określenie na takie wypowiedzi: Sobaka łajet na tunu.

Rolę Cata w polskim Londynie tak podczas wojny, jak i po niej Jaruzelski redukuje do rozmiarów niemal jakiejś groteskowej pantomimy. Jego wojenne broszury są przedstawione w książce (s. 269 i nast.) jako mało znaczące przyczynki z krańcowej prawicy, podczas gdy w rzeczywistości odegrały one, obok «Walki» Doboszyńskiego i «Wiadomości» jak najbardziej istotną rolę, formując polską opinię przez publikowanie złowieszczących sowieckich not (zatajonych przez Sikorskiego) i patriotyczną agitację na tym tle, zmuszając

rząd do zmiany stanowiska. Dzięki temu nie pojechaliśmy po wojnie „ciupasem” w otwarte ramiona tow. Bieruta i dzięki temu istnieje tu dotychczas „Mała Polska” – ku podziwowi ludzi z PRL-u. Co do okresu powojennego, Jaruzelski oparł się na Londyniszczu i Zielenych oczach, pożałowania godnych książkach Cata pisanych już w PRL-u jako usprawiedliwienie przeskoku na drugą stronę barykady, a stąd pełnych chorobliwej anglofobii i innych zniekształceń. Dlatego i obraz Jaruzelskiego daleki jest od prawdy.

Jaruzelski nie ma racji pisząc, że po wyjeździe do Warszawy „na emigracji nie szczędzono Cata” (s. 292). Redaktorami trzech kluczowych czasopism, mianowicie «Kultury», «Wiadomości» i «Dziennika Polskiego» byli przyjaciele Cata, którzy potraktowali ten wyjazd nader pobłażliwie, i zgodnie z tym ukształtowała się emigracyjna opinia publiczna. Dla porównania, Miłosz, pod różując w przeciwnym kierunku o kilka lat wcześniej, miał znacznie trudniejszą sytuację, gdyż jedynie «Kultura» go poparła, a dwa pozostałe pisma zwróciły się przeciwko niemu. W rezultacie dopiero po nagrodzie Nobla emigracyjna opinia przyjęła go bez zastrzeżeń.

Omawiana książka ucierpiała także od wysoce niekompletnej znajomości źródeł. Jaruzelski nie zapoznał się należycie z głównymi publikacjami Cata, tj. z wileńskim Słowem, londyńskim Lwowem i Wilnem, z londyńskimi broszurami, ani z jego głównymi artykułami w londyńskich «Wiadomościach» i opuścił szereg „kamieni milowych” jego publicystyki. Jaruzelski nie wie (przynajmniej nie wspominał w książce żeby wiedział) co na temat

Cata napisali ludzie tak mu bliscy jak Karol Zbyszewski, brat Józef Maciewicz, prof. Swianiewicz, Paweł Starzeński i Tadeusz Katelbach. Swianiewicz i Starzeński nawet nie figurują w indeksie książki; nawet miejscowy PRL-owski Putrament, który napisał sporo istotnych rzeczy na temat Cata – nie został w pełni wykorzystany: Żeby przepracować ok. 20 lat nad jednym i tym samym pisarzem, ciągle mieć tak fundamentalne braki w czytaniu na jego temat – to swego rodzaju osiągnięcie.

Nie są to braki formalne, lecz istotne, gdyż odbijają się na zawartości książki. Na przykład Jaruzelski pisze (s. 60), że w „Słowie” Cat „wstępniaki rezerwował sobie, sporadycznie ustępując miejsca Studnickiemu lub jakiemuś konserwatywnemu nudziarzowi”. Brednia! Mam pod ręką numery «Słowa» z artykułami wstępnymi Henryka Dembińskiego (trzy), pralata Meysztowicza (dwa), arcyb. Edwarda Roppa, prof. Morelowskiego, dra Charkiewicza (dwa). Żaden z nich nie był ani Studnickim ani „konserwatywnym nudziarzem”. Henryk Dembiński nie pojawił się w „Słowie” z «Żagarami», lecz pisywał tam od stycznia 1929. «Żagary» nie zaczęły wychodzić w jesieni 1931 i nie funkcjonowały przy «Słowie» przez pół roku (s. 61), lecz zaczęły się w kwietniu 1931 i funkcjonowały 13 miesięcy. Nieprawda, że kampania Cata przeciwko Dembińskiemu i jego grupie rozwinęła się dopiero w związku z procesem komunistycznej organizacji Front w r. 1936 (s. 61): już wiosną 1932 r. Cat opublikował osiem artykułów przeciwko tej grupie i Dembińskiemu. O drugim procesie lewicy akademickiej z grudnia 1937, w którym Cat był poważnie zaangażowany – w ogóle nie ma w książce mowy.

Jaruzelski przemilczał sprawę chuligańskich napadów na Cata w tym okresie przez reżymowego „socjalistę” Jerzego Wrońskiego i jego kompana Tadeusza Brodowskiego, a także przykrą sprawę pobicia przez oficerów legionowych docenta Cywińskiego, w której Cat odgrywał ważną rolę. Jaruzelski zniekształcił historię wybrania do sejmu w r. 1938 szefa OZON-u gen. Skwarczyńskiego, kosztem kandydatury Cata (s. 177 i nast.) i całkowicie pominął londyński proces Cata z Zawadzkiem–Żencykowskim, który spowodował zamknięcie «Lwowa i Wilna» i walnie przyczynił się do jego wyjazdu z Anglii. Jaruzelski powtarza bez sprawdzenia legendy na temat Cata, np. twierdził (s. 328) że jego Stanisław August nosił dedykację „Smukłonogiej”. Tymczasem w londyńskim wydaniu Gryfa z r. 1953 (o którym Jaruzelski pisze) nie ma w ogóle żadnej dedykacji, zaś w krajowym Pax-u z r. 1956 jest grecka dedykacja „Algesidoro”, która nie ma nic wspólnego z nogami, lecz oznacza zadawanie bólu (w formie czasownikowej).

Ogólne odczytanie Jaruzelskiego co do wileńskiego i londyńskiego tła działalności Cata jest niedostateczne i popełnia on w tej dziedzinie szereg błędów, których już nie będę tu wylizczać.

Cat wierzył mocno, że miłość i kobiety wywierają zasadniczy wpływ na działalność publiczną, szczególnie u człowieka wybitnego – za jakiego niewątpliwie siebie uważał. Tymczasem Jaruzelski potraktował ten przedmiot powierzchownie i bez zrozumienia. Analizy zagadnienia w ogóle brak, z kobiet, które odegrały rolę w życiu Cata, Renata Ostrowska jest przejawskrawiona, zaś inne – niedoświetlone, szczególnie żona Wanda; a o ostatniej kobiecie

*Cata nie ma nawet wzmianki w książce. Zdanie Jaruzelskiego, że w stosunku do kobiet Cat był szarmancki nad miarę (s. 58) demonstruje jak powierzchownie zna on swój przedmiot. Bowiem szarmanteria była u Cata jedynie cienkim naskórkiem na potrzeby towarzyskie, a w rzeczywistości traktował on kobiety jak zwierzę łowną, wobec której żadne reguły nie obowiązują, a „catch as catch can” jest zasadą.*

*Podobnie kiepsko jest u Jaruzelskiego z drugą pasją Cata – jeźdźnictwem, ale nie będę już tą sprawą zajmować miejsca. W ogóle o ile jego teksty na temat Mackiewicza-polityka i publicyści charakteryzują się głównie tendencyjnością, to na temat Mackiewicza-człowieka zasadniczą ich cechą jest niezrozumienie go. A nad obiema króluje słaba znajomość przedmiotu, po prostu ignorancja. Jeszcze w 1981 r. Kazimierz Okulicz mówił mi, że Jaruzelski do tej biografii zabiera się nieodpowiednio, że nic dobrego z tego nie wyjdzie, wobec czego on sam wycofał się z dalszego udzielania mu informacji. Miał rację!*

Z poważaniem

Zdzisław A. Siemaszko

10 listopad 1988

## DO NABYCIA

**Marian BRANDYS**

Moje przygody z historią . (II wyd., £3.75)

**Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI**

Podróż do Burmy . . . . . (£3.75)

**Maciej POLESKI**

Mały jawniak . . . . . (£4.50)

**Janusz ANDERMAN**

Brak tchu . . . . . (£3.75)

**Ewa BIEŃKOWSKA**

Dane odebrane . . . . . (£4.50)

**Jerzy PILCH**

Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej . . . . . (£5.00)

**Olgięd WOŁYŃSKI**

Głos z Gułagu . . . . . (£5.00)

**Władysław BARTOSZEWSKI**

Los Żydów Warszawy 1939-1943 . . . . . (II wyd., £4.00)

**Bronisław MAJ**

Zagłada Świętego Miasta . . . . . (£4.00)

**Jan POLKOWSKI**

Wiersze (1977-1984) . . . . . (£4.00)

**Tadeusz ŁEPKOWSKI**

Rozważania o losach polskich . . (£6.50)

**Rita GOMBROWICZ**

Gombrowicz w Argentynie . . . . (£8.00)

**Kraj lat dziecińczych**

Zbiór wspomnień . . . . . (£7.00)

**O «Kulturze»**

Wspomnienia i opinie . . . . . (£7.50)

**Milan KUNDERA**

Życie jest gdzie indziej . . . . . (£7.00)

**E. RACZYŃSKI, T. ŻENCZYKOWSKI**

Od Genewy do Jalty . . . . . (£6.50)

## WARUNKI PRENUMERATY / SUBSCRIPTION RATES

**Prenumerata roczna (4 nry) / Annual subscription (4 issues):**

pocztą zwykłą / surface mail . . . . £15.00

pocztą lotniczą / air mail . . . . . £20.00

Prenumerata dla bibliotek, instytucji i organizacji jest wyższa o 50% / There is a 50% surcharge for libraries and other official bodies.

**Egzemplarze pojedyncze / Single copies:**

pocztą zwykłą / surface mail . . . . £4.10

pocztą lotniczą / air mail . . . . . £5.20

Należność za prenumeratę oraz wpłaty na fundusz wydawniczy prosimy przesyłać w formie czeku/PO/IMO wystawione go na / Payments and donations should be sent as a cheque/PO/IMO made out to Puls Publications i przesłanego na adres / and sent to BCM Box 697, GB-London WC1N 3XX, Great Britain

nieregularny

# PULS

kwartalnik literacki

W OSTATNICH NUMERACH

## PULS 35

Adam Ciolkosz Jej spuścizna • Leszek Kołakowski Faust • Aleksander Wat Omarchadzew • Z przekładów poetyckich Janusza Szpotańskiego • Marek Nowakowski Różowe wielbłądy • Ewa Lipska Wiersze • Kazimierz Orłoś Wszystkiego najlepszego • Marek Zieliński Zbuntowane medium • **Pojedynki** Leszek Szaruga: Co nam mówi Andrzej Szczypiorski? • Sandauer kontra tłumacze • **Przegląd kulturalny i niekulturalny** Krzysztof Penderecki-doktorem h.c. Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu • Tomasz Burek: Stalinizm jest wciąż fotogeniczny • Jan Zieliński: Jerofiejew o Rozanowie • Deklaracja polityczna Polskiej Partii Socjalistycznej • **Recenzje** Janina Katz-Hewetson: Miesiące – lata (o *Miesiącach* Kazimierza Brandysa) • Piotr Wandycz: Nie bójmy się prawdy (o *Rozważaniach o losach polskich* Tadeusza Łepkowskiego) • **Kwartał** • **Archiwum emigracyjne** Recenzje Jerzego Stempowskiego • **Muzeum ruchu rewolucyjnego** • **Sow show** • **Poczta**

## PULS 36

Michał Heller Glasnost' • Wiktor Woroszyński Brodski 1988 • Życ w historii (fragment rozmowy z Josifem Brodskim) • Aleksander Wat Coś o potędze poezji • Zbigniew Machej Wiersze • **Literatura bez granic. Międzynarodowe spotkanie intelektualistów w Paryżu** Władimir Maksimow: Przed otwarciem obrad • Jean-François Revel: Intelektualiści wobec władzy • Alain Besançon: Odpowiedzialność inteligencji sowieckiej dzisiaj • Tomas Venclova: Kraje bałtyckie w godzinie próby • Wiktor Woroszyński: Paradoxy wolności • **Wywiad «Pulsu»** Milovan Đilas • **Jerzy Malewski** „Prawda historyczna, której zmienić się nie da” • **Pojedynki** Ewa Turkuć: Leopolda, czyli ręce za lud walczące... • **Polski kształt neurozy** (listy do „Solidarności”) •

**Przegląd kulturalny i niekulturalny**  
Wiktor Woroszyński: Być umiarkowanym – dziś w Polsce ○ Kazimierz Orłoś: „Różne barwy Nikity” czyli „popipsiało się aż do rozbolenia” ○ Jan Zieliński: Biali, cisi i ciemni ○ Nowy katalog *Nowej* • **Kwartal** • **Recenzje** Andrzej Werner: Portret komunisty z lat młodości (o *Zostało z uczyty bogów* Igora Newerlego) ○ Janina Katz-Hewetson: Był sobie raz... (o *Szpetnych czterdziestoletnich* Agnieszki Osieckiej) • **Archiwum emigracyjne** Aleksander Bregman: Flagi • **Muzeum ruchu rewolucyjnego** • **Sow show** • **Poczta**

### **PULS 37**

Zbigniew Brzeziński Pęknięcia w bloku • **Sowiecki komunizm – aby odszedł w spokoju...** (Rozmowa George’a Urbana z Władimirem Bukowskim) • **Marek Ciesielczyk** KGB – struktura i organizacja • **Kazimierz Zamorski** Kolega • **Janusz Szpotański** Wykłady uczonych radzieckich na Uniwersytecie Warszawskim • **Leopold Łabędź** Adam Schaff – dumny recydywista • **Ernest Bryll** Wiersze • **Marek Nowakowski** Niezłomny z „Bristolu” • **Kornel Filipowicz** Wiersze • **Fotografia „Witryny”** Krzysztofa J. Baranowskiego • **Jerzy R. Krzyżanowski** Dekady • **Aleksander Jurewicz** Wiersze • **Pojedyunki** Leszek Szaruga: Paraliteratura ○ Ryszard Czarnecki: *Wokół Rozważań o losach polskich* • **Puls roku 1987** Pomarańczowa Alternatywa • **Przegląd kulturalny i niekulturalny** Kazimierz Orłoś: Po co wycięto krzewy? ○ Jacek Grynycz: Trefna biesiada w Jerozolimie ○ Krzysztof Rutkowski: Towarzystwo Iksów i Urząd Bezpieczeństwa ○ Anna Husarska: Sandinowscy prenumeratorzy ○ Klamry (V) ○ Nagroda «Wiadomości» • **Kwartal** • **Recenzje** Jerzy Malewski: Przeszłość jako żywa rana (o twórczości Włodzimierza Odojewskiego) ○ Janina Katz-Hewetson: Modlitwa za zmarłych (o *Kadiszu* Henryka Grynberga) •

**Drugi brzeg** Rafael F. Scharf: O Michale Borwiczu • **Archiwum emigracyjne** Stanisław Thugutt: Nowy człowiek • **Muzeum ruchu rewolucyjnego** • **Sow show** • **Poczta**

### **PULS 38**

**Jan Kucharzewski** Należało zdać sobie sprawę... • **Rozmowa** Andrzeja Mietkowskiego z **Wiktorem Suworowem** • **Jan Gerhard Miara** nieskończoności • **Zbigniew Mentzel** Gdy osuwa nam się kopiec... • **Jerzy Pilch** Hierarchia banknotów • **Pojedyunki** Leszek Szaruga: Realista • **Kazimierz Zamorski** Ekipa • **Feliks Topolski** Portrety polskie • **Stanisław Barańczak** Koszmary i piosenki • **Przegląd kulturalny i niekulturalny** Andrzej Werner: Białe plamy a zdrowie kultury ○ **Stefan Kisielewski**: Menażeria bez słonia ○ **On nie wróci?** • **Kwartal** • **Recenzje** Krzysztof Powoski: Cień Iwana Groźnego (o *Jak współżyć z secealizmem* Zdzisława Łapińskiego) ○ **Ewa Czerwiakowska**: *Weiser Dawidek* – pamięć obudzona (o powieści Pawła Huelle) • **Drugi brzeg** Ryszard Czarnecki: O Józefie Rybickim • **Archiwum emigracyjne** Michał Sztejn: Odezwa do Emigracji Polskiej • **Muzeum ruchu rewolucyjnego** • **Sow show** • **Poczta**

**PULS**  
przeczytaj  
i zabierz  
do  
Polski

# WZNOWIENIE

2 tom serii „Puls Politicus”



Los Żydów Warszawy 1939-1943

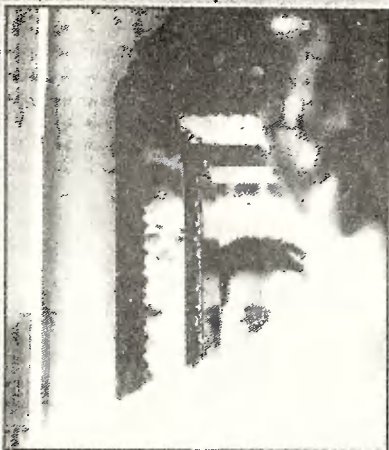
**WEADYSEŁAW  
BARTOSZEWSKI**

cena £4.00 plus przesyłka

**Puls Publications  
BCM Box 697, London WC1N 3XX  
United Kingdom**

**NOWOŚĆ**

**1 tom serii „Sąsiedzi”**



**Życie jest gdzie indziej**

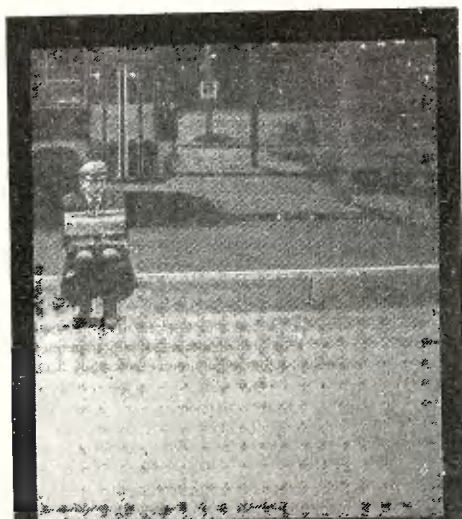
**MILAN  
KUNDERA**

**cena £7.00 plus przesyłka**

**Puls Publications  
BCM Box 697, London WC1N 3XX  
United Kingdom**



**NOWOŚĆ**



**Wyznania twórcy  
pokatnej literatury erotycznej**

**JERZY PILCH**

**cena £5.50 plus przesyłka**

**Puls Publications  
BCM Box 697, London WC1N 3XX  
United Kingdom**

1. Hyde Park. Każdy ma prawo coś powiedzieć. To cenne. Wchodzi się na skrzynkę i mówi. Kto chce, niech słucha.

2. Opinia publiczna jest czymś więcej. Tu ludzie tworzą koalicje, zbierają zwolenników. Dzielą się, łączą, zwykle rozmaicie w różnych sprawach, i mogą mniej więcej wiedzieć, kto na dany temat myśli podobnie. Ale opinia publiczna bywa mniej sprawiedliwa niż Hyde Park: nie wszyscy wydają gazety.

3. Spektakl (chór, przedstawienie teatralne). Tekst i podział ról są tu znane (choćby niektórym) przed występem. Chór może nawet nie śpiewać jednym głosem i mogą w nim być soliści, ale na improwizacje i nieoczekiwane wydarzenia niewiele jest w nim miejsca.

4. Doradzanie. Tu zaczyna się związek mowy z podejmowaniem decyzji. Doradca mówi, król (prezydent, przewodniczący, pierwszy sekretarz) słucha. Ludzie postronni i nawet wtajemniczeni nie muszą wiedzieć, kto doradza i z jakim skutkiem. Król nie musi tego ogłaszać. Doradcy czasem niezbyt dokładnie wiedzą, jakich mają kolegów, a czasem intrygują przeciw tym, których znają: chcieliby zdobyć większą przychylność królewską, wyłączyć innych – niekiedy w dobrych intencjach, bo chodzi im o sprawę.

5. Rada Królewska. Tu już wiadomo, kto jest doradcą. Słucha się ich łącznie i doradca wie, co mówią inni. Oczywiście, zdarza się, że rada królewska istnieje, ale ucho władcy jest też nastawione na głosy z boku, spoza rady. Doradcy jawni zabiegają o przychylność tajnych lub ich zwalczają. Publiczność stara się te układy zrozumieć.

6. Negocjacje. Tu są wyraźne strony (uczestnicy) i wiadomo, kto jest kim. Ktoś sprzedaje, ktoś inny kupuje, przedsiębiorstwo targuje się ze związkiem zawodowym, ZSSR ze Stanami Zjednoczonymi. Negocjuje się po to, by podjąć decyzje, które mogą być bliższe kompromisowi lub kapitulacji (a wtedy można czasem zerwać negocjacje).

7. Parlament. Tu ludzie mówią prawie jak w Hyde Parku, ale jeśli parlament nie jest tylko teatrem, coś z tego wynika i to czasem w sposób z góry nie przewidziany. Parlament niekiedy powstaje z rady królewskiej. Miał być jedynie wysłuchiwany, ale ogłasza, że będzie podejmował decyzje. Władcy (sekretarzowi, przewodniczącemu) to się nie podoba, ale czasem źle na tym wychodzi. Parlament się utwierdza, jak to się stało dawno temu w Anglii i we Francji. Zwykle parlament jest wybierany, rada królewska pochodzi z nominacji.

Dopuszczane w Polsce do głosu zbiorowości oficjalnie mówiące wahają się między teatrem a radą królewską. Ten mieszany styl panuje w KC, w Sejmie, w Radzie Państwa, w Radzie Konsultacyjnej. Obecna demokratyzacja proponowana przez władze przebiega pod hasłem: trochę mniej teatru, trochę więcej rad. Propozycja rozmów okrągłego stołu zmierzała do utworzenia jeszcze jednej rady królewskiej, utrzymującej pewną niejasność. Pozwolono mianowicie wierzyć, że zaplanowano negocjacje.

Opozycja w Polsce miała parlamenty: zjazdy delegatów. Przypominała też parlament Komisja Krajowa. Obecnie jest trochę opinii publicznej, król i doradcy. Rady królewskie tworzy się i rozwiązuje. Do parlamentu daleko. Czy to dobrze i czy demokracja jest siłą czy słabością? Władcy często chcą władać niepodzielnie i nie chcą wiązać sobie rąk. Ale przy negocjacjach i w parlamencie dobrze jest czasem mieć moc powiedzieć, że się czegoś nie może, bo wyborcy by tego nie lubili.

Demokracja stawia granice: w gronie doradców, a nawet w radzie królewskiej dba się, by króla nie denerwować. Gdy doradca staje się parlamentarzystą, jest silniejszy. Negocjator, który kogoś reprezentuje, jest trudniejszym przeciwnikiem i może być mniej ustępliwy. W porównaniu z teatrem (lub cyrkiem) różnica jest jednak widoczna – nawet wtedy, gdy po prostu doradcy umawiają się, kto ma być powołany do rady, a opinia publiczna wie o tym niewiele.

1988